

Bronisław Sroka SJ

„Kajtek”

DLA CIEBIE WIEŻY,
PĘTA NIEZELIŻYWE

wspomnienia
[nie tylko] więzienne



**DLA CIEBIE WIĘZY,
PĘTA NIEZELŻYWE**

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

Bronisław Sroka SJ „Kajtek”

**DLA CIEBIE WIĘZY,
PĘTA NIEZELŻYWE**

wspomnienia [nie tylko] więzienne



WARSZAWA 2019

Okładka

MAŁGORZATA PODZIOMEK-KOTECKA

Redakcja

KATARZYNA ZIĘBIK

Korekta

MAGDALENA BAJ

Skład i łamanie

MAŁGORZATA PODZIOMEK-KOTECKA

© Copyright by

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

– KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI

PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU,

WARSZAWA 2019

ISBN 978-83-8376-858-8

Zapraszamy:

ipn.gov.pl

ksiegarniaipn.pl

Spis treści

Wprowadzenie	9
Kilka danych z życiorysu	13
Kilka wspomnień z dzieciństwa	13
Mój Budapeszt 1939–1945	14
Pasterka 1939	15
„Nocne rodaków rozmowy”	16
„Słowo honoru” radzieckiego oficera	18
Powrót	23
Gdańsk	26
Kozi pastuch	31
Konspiracja	35
Podziemna Kolonia	42
Ostatnie dni wolności	50
Aresztowanie i UB	57
Sing-Sing	89
Rozprawa	98
Sztum	105
Jaworzno	123
Kopalnia	137
Kartoflarnia	141
Wolność!	154
Zakończenie	161
Posłowie	164
O autorze	166

Spisane słowa dedykuję moim śp. Rodzicom

*Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe!
Dla ciebie zjadłę smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezłżywe.
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe,
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.*

Tytuł zapożyczono z tekstu pieśni Ignacego Krasickiego z poematu *Myszeida*, napisanej po gorzkich doświadczeniach związanych z konfederacją barską i rozbiorem Polski. Utwór po raz pierwszy opublikowano anonimowo w 1774 r. w „Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych”. Ukazywał on miłość ojczyzny jako najwyższą cnotę obywatelską, przez co stał się hymnem Szkoły Rycerskiej.

Wprowadzenie

Już od ponad 50 lat, czyli od dnia mojego wstąpienia do zakonu, moi przyjaciele nalegali i nalegają na mnie, bym spisał swoje wspomnienia więzienne. Aż do dziś były to nalegania bezskuteczne. Sądziłem bowiem dotąd, że nie ma zapotrzebowania na moje więzienne opowieści. Było nas przecież wielu, bardzo wielu. A ja byłem tylko jednym z tysięcy młodych Polaków, którzy w tamtym trudnym dla Polski okresie przeszli przez piekło ubeckiego śledztwa, a następnie – po zapadnięciu wyroku – przesiadywali swoje młodzieńcze lata w więzieniach PRL. Atmosferę tamtych lat trafnie określił jeden z ubeków, który później był moim śledczym. Gdy tuż po aresztowaniu wprowadzono mnie po raz pierwszy do pokoju przesłuchań, zawołał zdesperowany: „I znowu smarkacz! Jeszcze jeden małaolat! (Miałem wtedy 16 lat). Cóż to się porobiło z tą polską młodzieżą, że drzwiami i oknami wpycha się do więzienia!”.

Rzeczywiście. W tym wypadku trzeba przyznać komuchowi rację. W tamtym czasie młodzież polska nie żałowała ofiar. Całkowicie świadomie płaciła wysoką cenę długoletnich wyroków za swój protest przeciw zniewoleniu ojczyzny. I niech to brzmi choćby nie wiadomo jak patetycznie, ale taka jest prawda – ówczesni młodzi Polacy byli świadomi tego, że ich protest to obowiązek, który spadł na barki naszego pokolenia. Trzeba go więc przyjąć i spełnić z godnością. Więc go spełniali.

Staraliśmy się jednak zawsze pamiętać o tym, że ci, którzy żyli o jedno pokolenie wcześniej, musieli za swoją miłość do Niepodległej zapłacić jeszcze wyższą cenę – bezwzględnej, krwawej walki zbrojnej przeciw okupantom.

Ale w oczach komunistycznych okupantów także i ten opór, który stawiało im nasze pokolenie, przedstawiał się naprawdę groźnie. Fakt, że tylu młodych Polaków „drzwiami i oknami wpycha się do więzienia” i gotowych jest przelewać krew w obronie niepodległości, przerażał samych ubeków. Byli świadomi przede wszystkim tego, że owe tysiące więzionych przeciwników komunizmu kompromitują ów tak zachwalany przez nich ustrój i to kompromitują haniebnie. Wołają bowiem głośniej niż wszystkie megafony propagandowe razem wzięte, że komunizm w swym sowiecko-peerelewskim wydaniu jest ustrojem znienawidzonym przez naród polski.

A taka świadomość stresuje i odbiera pewność siebie.

Potem zaś wstąpiło na arenę dziejów następne pokolenie Polaków – pokolenie KPN, ROPCiO i Solidarności. Komunizm został odrzucony jak zdezelowany, nikomu niepotrzebny rupieć.

A zatem nasza ofiara, ofiara tych, którzy „drzwiami i oknami pchali się do więzienia”, miała sens. Była celowa i potrzebna. Ostatecznie zwycięska.

Pomyślmy w takim razie, jakże fałszywie i krzywdząco wobec Polaków brzmi na tym tle owa słynna wypowiedź pewnego „wybitnego opozycjonisty”, a ściślej kilku „wybitnych opozycjonistów” lat osiemdziesiątych, których ówczesne gazety opozycyjne określonego postkomunistycznego nurtu usiłowały wykreować na najwyższe autorytety moralne Europy, a może i świata.

Oto, jak mniej więcej brzmi owo orędzie wybitnych mężów opozycji: My, Polacy, powinniśmy wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy. Otóż, wszyscy daliśmy się zauroczyć komunizmowi. Wszyscy też w taki czy inny sposób jesteście umoczeni we współpracę z komuną. Albowiem wszystkich nas oczarowała komunistyczna ideologia, marksistowski materializm dialektyczny. Wszyscy zatem jesteście winni.

Podobnych kłamstw i insynuacji pojawiało się w tamtym czasie wiele. Wszystkie one miały swój określony cel: rozgrzeszyć i uniewinnić w oczach narodu komunistycznych kolaborantów. Chciałoby się w tym miejscu głośno zawołać: Ludzie! Mówcie we własnym imieniu! Nie przypisujcie swoich łajdactw całemu narodowi. Pomnijcie na to, że gdy wy zauroczyliście się doktryną marksistowską i po pachy moczyliście się haniebną współpracą z komunistycznym okupantem, część narodu tułała się po peerelowskich więzieniach i obozach pracy, właśnie dlatego, że nie chciała się dać umoczyć!

* * *

Z jeszcze jednym kłamstwem propagandowym chciałbym się tu zmierzyć. Otóż propaganda marksistowska chętnie nazywała fanatykami tych, którzy podjęli odważną, nieprzejednaną walkę z okupacją komunistyczną. Ileż to razy słyzałem to wyzwisko miotane przez ubeckich śledczych także pod moim adresem. Niestety, tym samym epitetem posługują się dziś obficie liberałowie z „Gazety Wyborczej”. Dla nich fanatykiem jest każdy, kogo stać na to, by bronić wartości wyższych niż pieniądź. Dlatego najbardziej typowym przykładem fanatyków są dla mnie powstańcy warszawscy. Przyznaję uczciwie, że osobiście po stokroć wolałbym być nazwany fanatykiem niż malutkim, bezideowym tchórzem.

* * *

Niech mi jednak wolno będzie powrócić jeszcze choćby na chwilę do mojego usprawiedliwiania się, dlaczego dopiero teraz zdecydowałem się przystąpić do spisywania wspomnień z moich młodzieńczych, więziennych lat. Otóż przyznaję uczciwie, że nigdy nie miałem zamiaru pisać czegoś w rodzaju pamiętnika. I nadal nie mam. Jeśli już miałbym cokolwiek napisać, to najwyżej coś, co byłoby świadectwem tamtych czasów. Czasów niewątpliwie trudnych, ale i pięknych zarazem – bo ludzie, którzy w owych czasach żyli i je tworzyli, byli piękni. Zgodnie z tym, co mówi starożytny mędrzec: „Jaki piękny jest człowiek, który jest Prawdziwym Człowiekiem!”. A Prawdziwy Człowiek, to ktoś więcej niż tylko kombinat do przetwarzania produktów żywnościowych.

Niedawno poczułem się jednak zobowiązany do tego, by mimo wszystko sięgnąć do wspomnień i doświadczeń z okresu mojej więziennej młodości. Oto bowiem stwierdziłem ze smutkiem, że w tej naszej wymodlonej, wycierpianej, wywalczonej w krwawym trudzie Rzeczypospolitej nie dzieje się dziś wcale lepiej, niż to było za komuny. Nadal toczy się bezsensowna walka z religią, nie wiadomo w czyim interesie i dla czyjego dobra. Nadal więc, jak w PRL, usiłuje się odebrać Polakom, a zwłaszcza naszej młodzieży, poczucie głębszego sensu życia. Nadal szaleją kłamstwo i obłuda. Zniekształca się prawdę historyczną, wypacza polską historię i tradycję narodową. Ośmiesza uczucia i postawy patriotyczne.

W dalszym ciągu zagrożone są owe dwie najcenniejsze wartości, bez których trudno stać się Prawdziwym Człowiekiem – religia i patriotyzm. Wartości te są źródłem niezłomnej siły i mocy przetrwania w najtrudniejszych nawet opresjach. Doświadczyłem tego osobiście. Strach pomyśleć, co by ze mną było, gdyby w czasie okrutnego ubeckiego śledztwa, gdy wybijano mi zęby i przez szereg dni i nocy nie pozwalano spać, zabrakło mi wiary.

Dzisiaj jestem w pełni świadom, że to właśnie wiara oraz to przekonanie, że moje cierpienie ma sens, ponieważ podejmowane jest w wielkiej sprawie, której na imię POLSKA, dodawały mi siłę i pozwalały przetrwać. Chciałbym bardzo, aby to, co tu piszę, było głośnym wołaniem: „Ludzie! Nigdy nie pozwólcie odebrać sobie wiary w Boga i miłości do Ojczyzny! Bez tych wartości trudno żyć na uczciwym, ludzkim poziomie. Trudno być Prawdziwym Człowiekiem”.

* * *

Do dzisiaj z szacunkiem i wzruszeniem wspominam moich towarzyszy z celi więziennej, z którymi dane mi było cierpieć za Polskę. Byli dla mnie umocnieniem w wierze i przykładem wierności ojczyźnie. Traktowali mnie jak młodszego

brata, bo co najmniej przez rok byłem zawsze najmłodszy spośród nich. Z uwagi na mój młody wiek wołali na mnie Kajtek.

Wielu z nich cieszyło się szczerze i prawdziwie, że mogą spełnić swój obowiązek względem ojczyzny i choć bywało ciężko, choć cierpienie było niekiedy trudne do zniesienia, a katusze więzienne zdawały się czasem przekraczać miarę ludzkiej odporności, ci młodzi ludzie nie załamywali się i nie tracili pogody ducha. Wielu z nich podkreślało w chwilach szczerości, że gdyby zaszła taka potrzeba, to bez wahania przyjęliby na siebie jeszcze sroższy wyrok. Jeśli zdarzała się w tamtym gronie zadróżka, to właśnie tego rodzaju – koledzy z niższymi wyrokami, np. 5 lat więzienia, zazdrościli tym, którzy mieli 15 lat do odsiadki. Na takich patrzono z szacunkiem.

Szczerze dziękuję Panu Bogu za to, że pozwolił mi, jako młodemu chłopcu, żyć pośród tych wspaniałych ludzi. Tęsknię czasem za nimi, zwłaszcza gdy muszę z bezsilnym gniewem patrzeć na to, co się dziś w Polsce dzieje.

Chciałoby się znów skrzyknąć: „Boże Piastów! Boże Sobieskich! Boże Łupaszaków! Gdzie są chłopcy z tamtych lat!? Oj! Chyba już dziś nie ma takich...”.

* * *

Czuję, że w tych moich więziennych opowieściach znajdzie się zapewne sporo pobożności. Ale proszę mnie zrozumieć: odchylenie zawodowe.

Kilka danych z życiorysu

Gdy mnie ktoś pyta, skąd pochodzę, zawsze czuję się lekko zakłopotany. Przyczyną jest fakt, że urodziłem się nie tam, gdzie powinienem.

Z narodzeniem moim było tak. Rodzice moi pochodzili ze Śląska – matka z Cieszyńskiego, ojciec z Zaolzia. Po ukończeniu studiów i uzyskaniu przez ojca doktoratu z prawa, w 1921 r. zostali skierowani przez Rząd RP do pracy dyplomatycznej przy Konsulacie Polskim w Bratysławie. Dlatego też, zarówno mój starszy brat Bolesław, jak i ja, tam się urodziliśmy, ja w 1936 r.

W sierpniu 1939 r. całą rodziną przyjechaliśmy na urlop do Polski. Tu zaskoczyła nas wojna. Już we wrześniu ojciec otrzymał pilne polecenie z Warszawy, by nie wracał do Bratysławy, lecz udał się do Budapesztu. Tam będzie potrzebny przy organizowaniu pomocy dla polskich uchodźców. W ten sposób znaleźliśmy się w stolicy Węgier, gdzie spędziliśmy całą wojnę. Tam też rozpocząłem swoją edukację w węgierskiej szkole.

W sierpniu 1945 r. powróciliśmy do Polski i zamieszkaliśmy w Gdańsku. Odtąd Gdańsk stał się moim ukochanym miastem. Tu ukończyłem szkoły, tu trafiłem do więzienia i zostałem skazany na 5 lat przez Rejonowy Sąd Wojskowy. Stąd wreszcie poszedłem do zakonu. Ale za gdańszczanina bynajmniej się nie uważam. Za kogo więc mam się uważać? Skąd pochodzę? Serce mi podpowiada, że miejscem mego pochodzenia jest kraj moich przodków, moich rodziców. A zatem jestem Ślązakiem zaolziańskim, choć na Zaolziu spędziłem zaledwie kilka krótkich dni mojego życia.

Kilka wspomnień z dzieciństwa

Chciałbym w tym miejscu opisać mój pierwszy w życiu kontakt z Wojskiem Polskim. Z tym prawdziwym Wojskiem Polskim – bo to wojsko, w którym służyłem w latach 1956–1958, trudno nazwać polskim. Była to armia całkowicie uzależniona od obcego mocarstwa, w której panowała ideologia obca chrześcijańskiej tradycji narodu polskiego.

Był wrzesień 1939 r. Zmierzaliśmy całą rodziną do Budapesztu, by wypełnić polecenie władz polskich. Byliśmy jeszcze na terenie Polski, ale kierowaliśmy się prosto ku granicy węgierskiej. Jechaliśmy furmanką przez południowo-wschodnie

Kresy. Na dłuższy postój z noclegiem zatrzymaliśmy się w Worochcie nad Prutem. Miałem wtedy niewiele ponad trzy lata. Niespostrzeżenie wybiegłem z domu, w którym mieliśmy nocować i pobiegłem nad rzekę. Było jeszcze jasno, świeciło słońce. Gdy zobaczyłem rwący, czystutki nurt, naszła mnie nieprzeparła ochota, by się wykąpać. Jedynym problemem było to, że nie umiałem jeszcze zdejmować butów. Zacząłem się szamotać ze sznurówkami. Na szczęście bezskutecznie. Wtem zobaczyłem wokół siebie kilkunastu uzbrojonych żołnierzy z orzelkami na hełmach... drużyna, pluton? Zawołałem do najbliższego: „Niech mi Pan pomoże zdjąć buty!”. Zorientował się, co mam zamiar zrobić. Spytał tylko, gdzie mieszkam, wziął mnie na ręce i zaniósł do matki. Matka zastygła przerażona, gdy zrozumiała, jakie groziło mi niebezpieczeństwo.

Później, gdy jeszcze trwała wojna, często wracałem do tego wydarzenia. W mojej rodzinie, i nie tylko w mojej, panował wtedy kult polskiego żołnierza. Ojciec płakał ze wzruszenia, gdy słuchał komunikatów z Londynu o zwycięstwach polskich lotników w bitwie o Anglię w 1940 r. Pamiętam też wybuch radości na wieść o zwycięstwie polskich żołnierzy pod Monte Cassino w 1944 r.

Dla mnie, 8-letniego wtedy chłopca, był to wielki powód do dumy, że widziałem polskich żołnierzy i rozmawiałem z nimi. Ale może lepiej nie pytać o treść tej rozmowy...

Mój Budapeszt 1939–1945

W Budapeszcie znaleźliśmy się w październiku 1939 r., po doświadczeniu różnych przygód i tarapatów wojennych.

Węgrzy przyjęli polskich uchodźców nad wyraz serdecznie i gościnnie. Doświadczyliśmy wówczas jeszcze raz wyraźnie, że naród węgierski jest spośród wszystkich narodów nam, Polakom, najżyczliwszy. Zresztą obydwie nasze narody na przestrzeni dziejów niejednokrotnie udowodniały, że ową bezprzykładną, legendarną już przyjaźń traktują poważnie. Oto kilka przykładów, jak solidnie do tej przyjaźni podchodzili Węgrzy w 1939 r.

Otóż na uporczywe naleganie Hitlera, by Węgry wzięły udział w wojnie przeciw Polsce, ich minister spraw zagranicznych Csaki wysłał Führerowi depezę następującej treści: „Nie jesteśmy skłonni brać udziału w zbrojnej napaści na Polskę. Jeśli Niemcy zagrozą użyciem siły, oświadczam, że na oręż odpowiemy orężem. Budapeszt, k-ń 1939 r.”.

Ponieważ jednak nalegania Hitlera na rząd węgierski nie ustawały, sam premier Węgier wysłał wodzowi III Rzeszy depezę: „Węgry nie mogą przedsięwziąć żadnej akcji militarnej przeciw Polsce ze względów moralnych. Pál Teleki, lipiec 1939 r.”.

Wciąż jeszcze za mało znany jest fakt, że dywizja węgierska stojąca we wrześniu 1944 r. pod Warszawą (ok. 10 000 żołnierzy), gdy otrzymała rozkaz dowództwa niemieckiego, ażeby ruszyć przeciw powstaniu warszawskiemu, po prostu zbuntowała się i odmówiła wykonania rozkazu: „Przeciw Polakom walczyć nie będziemy!” – brzmiała krótka odpowiedź. Każdy, kto choć trochę zna się na sprawach wojskowych, wie, że odmówienie wykonania rozkazu wyższego dowództwa, to sprawa bardzo niebezpieczna.

Mamy za co być wdzięczni naszym węgierskim przyjaciołom.

Pasterka 1939

W tej atmosferze życzliwości rodzice bez trudu znaleźli mieszkanie w centrum Budapesztu. Ojciec zgodnie z poleceniem władz polskich rozpoczął pracę organizacyjną wśród polskich uchodźców na Węgrzech.

By zilustrować atmosferę tamtych dni, ową serdeczną życzliwość i współczucie, którymi w latach wojny darzyli nas Węgrzy, niech mi wolno będzie przedstawić tu pewne wydarzenie, którego byłem świadkiem. Echo tego wydarzenia powróciło do mnie ponad 50 lat później.

Było to latem 1996 r. Miałem wtedy okazję spędzić kilka dni w Budapeszcie. Aby odprawić mszę świętą, poszedłem do tzw. kościoła skalnego oo. Paulinów nad Dunajem. To miejsce znane jest doskonale wszystkim Polakom, którzy lata wojny spędzili na Węgrzech. Kościół ten, wbudowany w głęboką grootę skalną, węgierscy paulini udostępniłi wtedy uchodźcom wojennym z Polski. Było to jedno z tych kilku miejsc na terenie Budapesztu, gdzie w latach wojny Polacy mogli się gromadzić w każdą niedzielę na mszy świętej odprawianej przez polskiego duszpasterza. Do dziś pozostały w grotcie polskie pamiątki z wojennych lat. Pozostał przede wszystkim obraz Matki Bożej Częstochowskiej.

Wszedłszy do zakrystii skalnego kościoła, zastałem tam bardzo już posuniętego w latach ojca paulina. Poprosiłem w jego ojczystym języku, który znam jeszcze z lat emigracji, o możliwość odprawienia mszy świętej. Gdy dowiedział się, że jestem Polakiem, głęboko się wzruszył i zaczął wspominać: „Pamiętam wasze wojenne msze święte. Tego nie da się zapomnieć! W pamięci utkwiła mi zwłaszcza wasza pierwsza wojenna pasterka, w której uczestniczyli także Węgrzy. Płakali jedni i drudzy, największe jednak wzruszenie wzbudziły dwie pieśni śpiewane pod sam koniec mszy. Jedną z nich miałem jeszcze możliwość usłyszeć wielokrotnie. Polacy śpiewali ją do końca wojny na zakończenie każdej niedzielnej Eucharystii. Bardzo bym chciał jeszcze raz ją usłyszeć”.

Nietrudno było odgadnąć, o jakiej pieśni mówił paulin. Zanuciłem: „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki...”. Rozpoznał ją od razu i sam próbował nucić ze mną. Po chwili poprosił jednak, bym spróbował przypomnieć sobie także tę drugą pieśń, która według jego relacji wywołała wśród Polaków zgromadzonych na swej pierwszej emigracyjnej pasterce tak wielkie wzruszenie, że nie byli w stanie dośpiewać jej do końca. Odgadłem bez trudu i zanuciłem. Nie mogło to przecież być nic innego, jak tylko ostatnia zwrotka najbardziej znanej polskiej kolędy, którą do dziś śpiewa się nieomal obowiązkowo na każdej pasterce. Zanuciłem więc: „Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą...”. Wzruszony Węgier potwierdził, że jest to właśnie ta uroczysta melodia, którą słyszał wtedy, na polskiej pasterce. Wyraził przy tym zdziwienie, że tak szybko odgadłem, o jaką pieśń mogło chodzić. A ja po prostu wpadłem na to na podstawie relacji mego ojca, który wraz z całą rodziną, a więc i ze mną, 4-letnim wówczas brzdącem, obecny był w Grocie podczas tamtej pamiętnej pasterki. Zapamiętał ją, jak widać, dobrze, skoro już u schyłku życia, miał wtedy 86 lat, na jednej z ostatnich Wigilii spędzonych w rodzinnym gronie przyznał, że nie może bez wzruszenia śpiewać kolędy *Bóg się rodzi*, bo mu się przypomina pewna pasterka, na której tę właśnie kolędę śpiewano, ale nie dośpiewano do końca, bo coś chytało ludzi za gardło.

Czy można się dziwić polskim uchodźcom wojennym, że wtedy, 24 grudnia 1939 r., mieli kłopot z dośpiewaniem do końca kolędy, która przypominała im to wszystko, co na skutek zawieruchy wojennej musieli porzucić – ojczyznę miłą, dom i majątność całą, i polskie wioski z miastami.

„Nocne rodaków rozmowy”

Psychologia dowodzi, że doznania z młodości mają znaczący wpływ na całe dalsze życie. Osobiście tego doświadczyłem. Jednym z takich doświadczeń, które rzutowało później na moją postawę oraz wpływało na moje poglądy polityczne i światopoglądowe, było uczestnictwo w spotkaniach rodaków na obczyźnie. Na emigracji, w czasach niewoli Polacy szanowali się o wiele bardziej niż dziś. Potrzebowali siebie nawzajem. Pamiętam, że po wyjściu z niedzielnej mszy świętej nie rozchodziliśmy się od razu do domów, lecz długo jeszcze staliśmy przed kościołem, dzieliliśmy się nowinami i krzepiliśmy się słowem nadziei.

Często, przeważnie w niedzielne wieczory, rodacy spotykali się w mieszkaniach prywatnych. Nie były to bynajmniej tylko spotkania towarzyskie przy herbatce. Miały raczej charakter obrzędu religijno-patriotycznego, w którym często uczestniczył któryś z naszych polskich kapłanów.

Jako 8-letni chłopiec wielokrotnie brałem udział w takich spotkaniach i zawsze głęboko je przeżywałem. Odbywały się one także w naszym mieszkaniu. Ponieważ zaś mój starszy brat należał do Związku Harcerstwa Polskiego, więc goście, którzy nas odwiedzali, wywodzili się przeważnie z kręgu działaczy harcerskich. Byli to przedstawiciele środowiska szczególnie otwartego na wartości religijno-patriotyczne. Gromadziło się u nas do 15 osób.

Jakże potrzebne były umęczonym rodakom tamte spotkania! Jednogłośnie podkreślali to wszyscy ich uczestnicy. Wychodzili z nich pokrzepieni i umocnieni w swojej miłości do Polski. Przede wszystkim zaś wychodzili umocnieni w wierze. Religia, bowiem odgrywała wówczas, i zawsze odgrywa, ogromnie ważną rolę w życiu narodu.

Spotkanie zaczynało się modlitwą za Ojczyznę, śpiewano też polskie pieśni religijne i patriotyczne. Następnie w wielkim skupieniu i z uwagą słuchano Pisma Świętego – najchętniej czytań z Apokalipsy św. Jana, ponieważ w niej można było doszukać się proroctw dotyczących klęski owych dwóch bezbożnych bestii – nieprzyjaznych Bogu i chrześcijańskiemu narodowi. Gwoździem programu zazwyczaj była gawęda historyczna, którą wygłaszał jeden z drużynowych, druż Bronisław – z zamiłowania historyk. Ojciec mój wysoko oceniał poziom tych gawęd. Były solidnie przygotowane i wygłaszane językiem prostym i sugestywnym. Przed rozpoczęciem każdej z nich śpiewano zawsze starą pieśń harcerską, która choćby ze względu na samą swą treść była niejako wstępem i przygotowaniem do gawędy:

Płonie ognisko i szumią knieje,
drużynowy jest wśród nas.
Opowiada starodawne dzieje,
bohaterski wskresza czas.

O rycerstwie spod kresowych stanic,
o obrońcach naszych polskich granic...

Podobnie jak w czasach rozbiorów i Wielkiej Emigracji, tak i na spotkaniach Polonii budapeszteńskiej padały słowa zachęty do wielkiego zrywu moralnego, do świętości życia, do uczciwości oraz wierności ojczystemu prawom. By nie okazać się małym człowiekiem, niegodnym wielkiej historii swojego narodu, by nie być dla narodu zawadą w jego świętej walce o niepodległość.

Niezapomniane to były chwile chyba dla każdego z uczestników tamtych spotkań. Sam wiele skorzystałem z owych nielegalnych rozmów, za które w kraju groziłaby śmierć. Pamiętam je dobrze, choć byłem wtedy jeszcze bardzo młody.

Pamiętam tamte płonące uniesieniem twarzy, tamte słowa wypowiedane z żarliwą miłością do Polski, tamten uroczysty nastrój. Ponieważ osobiście przekonałem się, jak wiele mogą dać młodemu człowiekowi takie „nocne rodaków rozmowy”, przeto gdy byłem już kapłanem, gdzie tylko mogłem, organizowałem dla młodzieży kółka historyczne, które nazywaliśmy żartobliwie „zebraniem kółka różańcowego”. Oczywiście były one nielegalne i dlatego władza komunistyczna ścigała ich uczestników. Wielu z nich do dziś podkreśla, że były one wówczas bardzo potrzebne.

„Słowo honoru” radzieckiego oficera

Był początek lutego 1945 r., tuż po zdobyciu stolicy Węgier przez wojska sowieckie. Zdarzyło się wtedy coś, co niewątpliwie wywarło wielki wpływ na moje późniejsze zapatrywania polityczne, zwłaszcza na moją postawę wobec ZSRS.

Od wiosny 1944 r. Budapeszt stał się obiektem silnych nalotów bombowych alianckiego lotnictwa. Na ogół bywało tak, że nocą bombardowali Anglicy, zaś w dzień, ze względów humanitarnych, przeważnie w niedzielę, nadlatywali Amerykanie. Ich naloty trwały szczególnie długo, od rana do późnego popołudnia. Właściwe działania wojenne mające na celu zdobycie stolicy Węgier rozpoczęły się dokładnie w Wigilię 1944 r. Tego właśnie dnia wojska sowieckie rozpoczęły ciężki ostrzał artyleryjski miasta. Nagły huk bliskich wybuchów (mieszkaliśmy obok dworca kolejowego, który był jednym z celów ostrzału) oderwał nas od spożywania uroczystej wieczerzy w gronie kilku polskich rodzin. Rozpoczęło się regularne oblężenie miasta, które trwało do pierwszych dni lutego, a zakończyło wraz z wejściem armii sowieckiej. W kamienicę, w której mieszkaliśmy, trafiło 17 pocisków większego kalibru. Nasze mieszkanie szczęśliwie ocalało.

Wiedzieliśmy o zbrodniach popełnionych przez Niemców na Polakach, a także o ich butnym zachowaniu względem ich węgierskiego sojusznika, w związku z tym wzrosła nasza sympatia do Rosjan. Szczególnie zyczyliśmy im jak najszybszego zwycięstwa. Ich wkroczenie do miasta przyjęliśmy więc z prawdziwą radością.

Niestety, prędko spotkało nas rozczarowanie. Żołnierze sowieccy od samego początku zachowywali się jak barbarzyńcy w nieprzyjacielskim kraju. Rozboje, rabunki, gwałty, kradzieże, nawet morderstwa stały się powszedniością w tamtym czasie.

Gdy pierwszego dnia po wkroczeniu Moskali wyszliśmy z piwnicznego schronu, ujrzeliśmy na podwórzu naszego domu ogromny wóz załadowany zrabowanym mieniem naszych węgierskich przyjaciół. Wokół wozu uwijali się jacyś żołnierze w nieznanym mi dotąd mundurach i wydzielali się groźnie na

upominających się o swoje mienie Madziarów. Tak wyglądał nasz pierwszy, choć niestety nie ostatni kontakt z Armią Czerwoną.

Tego samego dnia nasz dobry sąsiad, Polak mówiący biegle po rosyjsku, ogarnięty euforią, wyszedł do wkraczającego triumfalnie do miasta oddziału krasnoarmiejców, by powitać ich chlebem i solą. Właśnie brał się za wygłoszenie uroczystej mowy powitalnej, gdy podążający na czele oddziału oficer warknął na niego: *A ty czto? Biełyj emigrant, a? Nu padażdzi!* Kiedy nieszczęśnik próbował się gęsto tłumaczyć, oficer chwycił go mocno za ramię, a drugą ręką przywołał nadchodzący właśnie patrol NKWD. Z „uroczystego powitania” sąsiad powrócił dopiero po kilku tygodniach z nieco przerzedzonym uzębieniem.

Ojciec mój nazywał go odtąd żartobliwie „bielyj emigrant”.

* * *

Na początku lutego 1945 r., bodajże trzy dni po wkroczeniu Sowietów do Budapesztu, zapukał do naszego mieszkania patrol NKWD. Dwóch „bojców” z oficerem. Oficer był uprzedzająco grzeczny, uśmiechał się do nas życzliwie. Podeszedł do mnie, 9-letniego wówczas chłopca, pogłaskał po głowie i zapytał, czy nie jestem głodny. Popatrzyłem na niego nieufnie. Nie czekając na moją odpowiedź, podeszedł do ojca i kazał mu się ubierać: „Prosimy pójsz z nami po jedzenie dla dzieci. Bo my mamy teraz wszystkiego w bród. Cukierki, czekoladę... Wy, Polacy, tak srodze nacierpieliście się w tej wojnie, podobnie zresztą jak i my, Rosjanie. Taka to już ta nasza słowiańska dola. Dlatego my, Słowianie, powinniśmy sobie wzajemnie pomagać. *Wot czto! Nu, grażdanin Sroka, wy sobierajties skorzej i pajdziomtie.* Teraz my wam pomożemy”.

Te wzniosłe słowa o ogólnosłowiańskim obowiązku wzajemnej pomocy nie podziały na matkę uspokajająco. Widząc, jak ojciec stoi gotowy do wyjścia, zaczęła płakać. Było późno, około dwudziestej pierwszej. Uśmiechnięty NKWD-zista zaczął matkę pocieszać: „Nie płacz, *barinia, niczewo.* Za godzinę twój *suprug pawierniotsja.* Daję ci na to słowo *poczesci sowietskawo oficiera!* Niech mąż weźmie jakąś torbę na to jedzenie, które otrzyma na naszym komisariacie”.

Oficerskie słowo honoru uspokoiło matkę. Wiedziała, jaką ma ono wartość w ustach oficerów Wojska Polskiego. Pożegnała więc ojca już bez płaczu. Przecież za godzinę wróci.

Ale ojciec za godzinę nie wrócił. Nie wrócił nawet następnego dnia. Na trzeci dzień zrozpaczona matka chwyciła mnie za rękę i poszliśmy z zamiarem, by szukać ojca po wszystkich ruskich komisariatach rozsianych po Budapeszcie. Bóg sprawił, że przy pierwszym z nich spotkaliśmy naszego znajomego. Właśnie

wychodził do miasta. Był sam. Na nasz widok odczuł nagle nieprzepartą potrzebę przejścia na drugą stronę ulicy. Matka dobiegła jednak do niego i zapytała twardo: „Gdzie jest mój mąż?”. Widać było wyraźnie, że oficer był co nieco zmieszany. Jego małe wiecznie rozbiegane oczy błędziły gdzieś po dachach domów. W końcu spojrzął na matkę z kiepsko udawanym zdziwieniem: „To mąż nie wrócił? To dziwne. Bo myśmy go przecież nie zatrzymywali. Dostał od nas pełną torbę konserw, czekolady i innych *kanfietow* i *paszoł damoj*. Cóż więc mogło się z nim stać? Myśmy go naprawdę nie zatrzymywali. Daję wam na to, *barinia*, oficerskie słowo honoru! A może on po prostu wpadł pod samochód? Albo go bandyci napadli... Tyle się dziś włóczy po świecie tego przestępczego dziadostwa”.

Na takie *dictum* matka struchlała. Wpadł pod samochód... bandyci napadli... Ale kobieca intuicja podpowiadała jej, że facet łże jak najęty, podpierając się przy tym skwapliwie swym „oficerskim słowem honoru”. Matka pomyślała sobie: „Oficerskie słowo honoru? A w imię, jakich to wartości miałby ów oficer sowiecki liczyć się z honorem, skoro jak każdy bolszewik uważał siebie za kupę chodzącego białka i żadnych wyższych wartości nie uznawał”.

Po kilku dniach okazało się, że intuicja matki nie zawiodła. Oto wśród Polonii budapeszteńskiej rozeszła się wiadomość, że NKWD aresztowało 17 polskich uchodźców – wszystkich tego samego dnia. Wśród nich także mojego ojca. Aresztowano ich pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Anglii. Zarzut był słuszny, aczkolwiek z logicznego punktu widzenia całkowicie absurdalny. Bo przecież Anglia była wtedy wierną sojuszniczką ZSSR. Rosjanie mieli jednak za złe polskim wywiadowcom, że ci donosili Anglikom, a nie im, choć do nich było „bliżej”.

Sowieci brutalnie potraktowali 17 Polaków za to, że zaangażowani byli w współpracę z brytyjską Intelligence Service. Z początku ich bito. Ojciec stracił na skutek bicia kilka zębów. Ponoć zanosilo się na to, że zostaną zesłani na Sybir bądź straceni. Takie represje wobec „wrogów klasowych i sługusów imperializmu” były wtedy na porządku dziennym. Jednakże od początku kwietnia 1945 r. sytuacja więzionych radykalnie się zmieniła. Zaczęto obchodzić się z nimi po ludzku. Poprawiło się mizerne dotąd wyżywienie. Aż wreszcie, w krótkim czasie cała „siatka szpiegowska” została zwolniona. Okazało się, że to wynik energicznej interwencji brytyjskich władz wojskowych, które stanęły w obronie swoich polskich współpracowników z czasu wojny.

Na początku maja 1945 r., po trzech miesiącach pobytu w ciężkich, ruskich kazamatach, ojciec do nas powrócił.

* * *

Kilka lat po opisanych tu wydarzeniach, gdy moja rodzina mieszkała już w Gdańsku, przypadkowo poruszył ktoś problem owego nieszczęsnego „słowa honoru” radzieckiego oficera. Zastanawialiśmy się, dlaczego ów sowiecki oficer tak swobodnie i beztrąsko posługiwał się kłamstwem – i to perfidnym kłamstwem, bo podpieranym przez wiarołomne oficerskie słowo honoru. Nie musiał przecież kłamać, mógł zamiast tego po prostu niczego nie mówić, nie łąć, nie przysięgać. Lecz dla bolszewika kłamstwo i obłuda to codzienna praktyka, sposób na życie. Jakby wychodzili z założenia, że jeśli kłamstwo może przynieść jakąkolwiek korzyść, to czemu by się nim nie posłużyć?

Stąd też wszystko w ich systemie nacechowane było kłamstwem. Atmosfera kłamstwa, obłudy, udawania przenikała wszystkie dziedziny życia sowieckiego. A ponieważ kłamca nikomu nie ufa, bo wszystkich podejrzewa, że są takimi samymi jak on kłamcami, więc system bolszewicki musiał się odznaczać jeszcze jedną, bardzo typową dla niego cechą – mianowicie chorobliwą podejrzliwością i nieufnością nawet względem własnych obywateli.

Ojciec opowiadał, że w sowieckich lochach spotkał pewnego rosyjskiego oficera artylerii, którego każda inna armia uznałaby za bohatera i odznaczyła orderem wysokiej klasy. Armia Czerwona skazała go na śmierć. Otóż oficer ten z narażeniem życia wysunął się przed linię frontu, aby móc lepiej rozpoznać pozycje wroga. NKWD oskarżyło go jednak o to, że dlatego podszedł tak blisko Niemców, bo chciał przejść na ich stronę. Nie pomogły żadne argumenty – bolszewicy postąpili z nim w myśl wyznawanej przez siebie zasady: lepiej rozstrzelać 10 niewinnych, niż pozwolić ujść jednemu winowajcy.

Bolszewizm słusznie zasłużył sobie na miano systemu nieludzkiego, w którym nie liczy się człowiek, lecz ideologia. Zdaniem moich rodziców nieludzkość i antyhumanizm tego systemu, wraz z jego pogardą dla człowieka, wypływają właśnie z jego ateistycznych przesłanek.

Znany myśliciel rosyjski Mikołaj Bierdiajew, początkowo gorący zwolennik komunizmu bolszewickiego, widząc okrucieństwa, których dopuścił się ten system, stał się zaciekle jego przeciwnikiem. To od niego pochodzi słynne zdanie: „Kto nie liczy się z Bogiem, nie będzie się liczył także i z człowiekiem”. Zdanie to przekonująco potwierdziła sama historia, zwłaszcza historia XX w. Dziś, z perspektywy czasu, widzimy jeszcze wyraźniej niż on, że „każdy system ateistyczny przemienia się w sposób nieuchronny w system ludobójczy” (M. Bierdiajew, *Nowe średniowiecze*, Berlin 1924).

Moi rodzice, jak większość Polaków, którzy poznali „uroki” materialistycznego komunizmu, pragnęli całą duszą Polski chrześcijańskiej, czyli prawdziwej.

Za taką Polską tęsknili, o taką Polskę się modlili, dla niej cierpieli. Wzrastałem więc w atmosferze głębokiego szacunku dla chrześcijaństwa i wielkiej, ogromnej tęsknoty za Polską. Każdego dnia, gdy wieczorem kładliśmy się spać, życzyliśmy sobie z bratem: „Niech się Polska przyśni!”.

Naszą tęsknotę za Polską pogłębiał jeszcze fakt, że żyliśmy na emigracji, na przyjaznej wprawdzie, lecz obcej ziemi, a więc poza tą naszą wytęsknioną, wymarzoną Rzeczpospolitą.

Powrót

Zanim wszakże dane nam było doczekać owej upragnionej chwili powrotu „na ojczyzny łono”, musieliśmy jeszcze trochę pocierpieć. Oto bowiem od chwili, gdy NKWD aresztowało mojego ojca, pozostaliśmy bez żadnych środków do życia. Matka pozostała całkowicie sama z dwojgiem dzieci na utrzymaniu. A tu naprawdę nie było co jeść. Od Węgry nie mogliśmy oczekiwać żadnej pomocy. Oni też żyli w ciężkiej biedzie. A przy tym traktowani byli przez Moskali gorzej od nas, jako obywatele wrogiego kraju. Węgry walczyły przecież po stronie Niemców przeciw ZSRS.

Matka tego nie wytrzymała. Kilka dni po aresztowaniu ojca miała ciężki zawał serca i wyładowała na kardiologii w budapeszteńskim szpitalu św. Rocha.

Wówczas stanął na wysokości zadania mój starszy brat Bolesław. Choć miał wtedy niespełna 15 lat, wziął na siebie trud utrzymania najbliższych.

Kilka dni po tym, jak matka zachorowała, pojawiliśmy się u niej w szpitalu. Była już przytomna, choć mówiła z wielkim trudem. Bolek powiedział do niej: „Nie bój się, mamo. Jakoś sobie poradzimy”. I wcisnął jej do ręki duży kawałek smażonego karpia, a na szafce, która stała obok jej łóżka, położył pieczone udko bażancie. Matka spojrzała zdziwiona i zapytała tylko: „Skąd?”. „Powiem ci, jak wrócisz”. Brat nie chciał mącić spokoju jej sumienia i przyznać się, że w posiadanie owych produktów żywnościowych wszedł niezupełnie legalnie. Matka pożegnała nas z uśmiechem, uspokojona.

Po powrocie do domu brat założył wysokie, gumowe buty i jak poprzedniego dnia poszliśmy do parku miejskiego. Był całkowicie pusty. Tydzień po przejściu frontu ludzie bali się wyściubić nos na ulicę, a cóż dopiero włączyć się po parku. Poszliśmy w kierunku stawu i doszliśmy do tamy. Brat podniósł tamę, wtedy poziom w stawie zaczął gwałtownie opadać. Wkrótce oczom naszym ukazało się mnóstwo karpia, które nieudolnie usiłowały pływać w płytkiej wodzie. Bolek wybrał spośród nich cztery większe i włożył do torby. Pamiętaliśmy także o naszych węgierskich sąsiadach. Poszliśmy do domu.

Następnego dnia, po południu brat wyjął z kryjówki ojcowego Walthera, niemiecki pistolet „siódemkę”, jaki niektórzy pracownicy Konsulatu Polskiego mieli na wyposażeniu, i znów poszliśmy do parku. Biegało tam sporo bażantów.

Bolek postawił mnie na czatach: „Pilnuj, czy ktoś nie idzie. Patrz szczególnie, czy nie ma w pobliżu Ruskich. Oni by nam pokazali, gdzie pieprz rośnie!”. W odstępie pięciu minut huknęły dwa strzały. Brat strzelał celnie. Po chwili stanął przy mnie z dwoma upolowanymi bażantami. A więc było co jeść!

* * *

Kiedy wreszcie w połowie czerwca 1945 r., po wyjściu matki ze szpitala, rodzinka nasza znów znalazła się w komplecie, niespodziewanie stanął przed nami problem pozornie trudny do rozwiązania. Co robić dalej? Odpowiedź na to pytanie wydawała się prosta – wracać czym prędzej do Polski – i tyle. Polski Urząd Repatriacyjny organizował właśnie dla uchodźców polskich na Węgrzech wielki transport kolejowy do kraju. A więc tylko wsiadać i jechać!

W tym czasie odwiedziło nas kilku znajomych Żydów, którym ojciec pomógł w czasie wojny – ryzykując własne życie, wystawił im fałszywe dokumenty, które – jak sami przyznawali – niejednemu z nich ocaliły życie. Właśnie oni zaskoczyli nas niespodziewaną propozycją i pomócili nieco w głowach. „Panie doktorze – oświadczyli – czujemy się pańskimi dłużnikami i załatwiliśmy dla pana i pańskiej rodziny możliwość wyjazdu na pobyt stały do Związku Afryki Południowej. My też się tam wybieramy. Sytuacja w Polsce jest niepewna, okupacja sowiecka niczego dobrego nie wróży. Radzimy zatem zdecydować się na wyjazd do najbardziej cywilizowanego i najbogatszego kraju Afryki. Jeśli się państwo zdecydują, my pokryjemy wszystkie koszty podróży”. Propozycja była rzeczywiście nęcąca, zwłaszcza dla młodszej generacji rodziny Sroków. Afryka! Marzenie chyba każdego chłopca. Dżungla, polowanie na lwy, rzeki pełne krokodyli. Lecz zbyt długo tęskniliśmy za Polską, wymarzoną, ukochaną. Czy dla tej wytęsknionej i wymodlonej Polski jakaś tam Afryka mogła być alternatywą? Kiedy ojciec zarządził rodzinny plebiscyt, wszystkie bez wyjątku głosy padły na Polskę.

I gdy po prawie trzydziestu latach siedzieliśmy w gronie rodzinnym i wspominaliśmy tamte dni, wszyscy stwierdziliśmy jednogłośnie, że nigdy nie żalowaliśmy tamtej decyzji. Warto było postawić na Polskę.

Po „plebiscycie” czas było pakować nasz chudy, emigrancki dobytek. Mieśliśmy wracać do Polski wielkim transportem repatriacyjnym, który wyruszał 12 sierpnia 1945 r. Już od początku miesiąca zgromadzono nas w obozie zbiorczym, który urządzono w byłych koszarach wojskowych. Żywiono nas ruskim jedzeniem żołnierskim – przeważnie kaszą z baraniną.

Transport wyruszył w drogę rano, o ustalonej porze – około godziny 10.00. Z Budapesztu do Krakowa pociąg włókł się osiem dni – też zgodnie z planem.

Był ogromny. Prowadził 50 wagonów, krytych, towarowych i wiozł do domu około półtora tysiąca Polaków. Ciągnęły go zawsze dwa parowozy.

Tego samego dnia, późnym popołudniem opuszczaliśmy obszar gościnnej ziemi węgierskiej i wjeżdżaliśmy na Słowację. Długo jeszcze spoglądaliśmy na widoczną z daleka sylwetkę potężnej katedry metropolitalnej w przygranicznym Estergom, odwiecznej kościelnej stolicy Węgry.

Chyba wszyscy, którzy wtedy opuszczali Węgry, by wrócić do kraju, stali się już odtąd na całe życie zagorzałymi hungarofilami i zaprzysięzonymi zwolennikami przyjaźni polsko-węgierskiej. Były bowiem ku temu solidne podstawy. Oto obcy szczepowo naród, mówiący językiem trudnym, niepodobnym chyba do żadnego innego, w dodatku naród wplątany w wojnę po przeciwnej stronie, stał się nam tak bardzo przyjazny i bliski. Przyjęli nas, rozbitków wojennych, nad wyraz gościnnie, dzielili się z nami tym, co mieli – a mieli wtedy niewiele. Szybko zawiązywały się przyjaźnie, nawet małżeństwa. Stwierdziliśmy z radością, że łączy nas ta sama kultura, ta sama łacińska, chrześcijańska cywilizacja, którą jednakowo mocno umiłowaliśmy. Łączą nas ponadto wspólne dzieje dwóch przed tysiącem lat ochrzczonych narodów, które przez wieki tworzyły przedmurze chrześcijańskiej Europy. Do dziś często modłę się słowami ich hymnu narodowego: „Boże, błogosław Węgrom!”.

20 sierpnia 1945 r., około południa w okolicach Dziedzic przekroczyliśmy granicę Polski. Wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak po surowej, męskiej twarzy ojca spływają łzy... Były to łzy radości. Na tę chwilę czekaliśmy sześć lat!

Zarządzono dłuższy postój na stacji kolejowej w Dziedzicach. Wybraliśmy się więc na miasto. Matka próbowała zrobić jakieś zakupy. Pamiętam, jak niezwykle wrażenie wywarł na mnie fakt, że ludzie wszędzie mówią po polsku – na ulicy, w sklepie, w urzędach.

* * *

Po ostudzeniu emocji stanęliśmy jednak wobec konieczności podjęcia ważnej, życiowej decyzji. Transport miał nas dowieźć jedynie do Krakowa. Tam zaś czekały pociągi, które miały nas zawieźć, wedle życzenia, do różnych miast. A zatem dokąd się udać? W którym mieście zamieszkać na stałe? Ojciec znów zarządził „plebiscyt”. Każdy z nas dostał karteczkę, na której miał napisać nazwę miasta, w którym chciał, byśmy się osiedlili. Tym razem jednak wynik nie był tak jednomyślny. Ojciec proponował, abyśmy zamieszkali gdzieś na Śląsku, np. w Skoczowie, bo tam sięgają korzenie naszego rodu. Matka optowała za Krakowem, najbardziej polskim ze wszystkich polskich miast. Natomiast ja

z bratem chcieliśmy zamieszkać w Gdańsku – bo tam jest morze, a my chcemy zostać marynarzami! Na szczęście dla nas ojciec łatwo dał się przekonać. On też był zafascynowany Gdańskiem. A ponadto argumentował: „Niech o przyszłości decyduje młodzież”. Matka przez jakiś czas obstawała przy swoim Krakowie, lecz w końcu też dała się przekonać. I w ten oto sposób zwyciężyła pajdokracja. Gdańsk został przegłosowany.

I tak na samym początku września 1945 r. pewna rodzina o mocnych korzeniach zaolziańskich zamieszkała w starym grodzie Heweliusza. Rozpoczął się całkowicie nowy rozdział w dziejach rodu Sroków.

Gdańsk

Gdańsk był po wojnie bardzo zniszczony. Trudno było znaleźć odpowiednie mieszkanie. Dlatego zmuszeni byliśmy mieszkać ponad miesiąc w wagonie kolejowym.

Wreszcie na początku października 1945 r. znaleźliśmy w odległości 10 minut piechotą od dworca głównego niewielki drewniany domek z ogródkiem. Wszystkim nam się spodobał, choć był mały i bardzo skromny. W nim właśnie zamieszkaliśmy. I mimo że później mieliśmy wielokrotnie możliwość zamienienia tego domku na luksusowe mieszkanie w bloku, nikt z nas nie chciał o tym słyszeć. Tam czuliśmy się najlepiej, bo to był nasz mały, stary domek z ogródkiem. Rodzice wyprowadzili się stamtąd dopiero na starość (w 1983 r., po 38 latach!) i zamieszkali u krewnych w Skoczowie.

Nieopodal naszego domku, w odległości nie większej niż 150 m, rósł niewielki las. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że będzie miał dla mnie ogromne znaczenie. W trudnych dniach życia, w więzieniu śnił mi się po nocach. Śnił mi się częściej nawet niż rodzinny dom. A sen taki był dla mnie zawsze krzepiący. Przywracał pokój i radość.

Po znalezieniu mieszkania ojciec zabrał się pilnie do poszukiwania pracy. O odpowiednią posadę nie było wtedy łatwo. Ojciec gotów był nająć się do jakiejś cięższej pracy fizycznej nawet jako robotnik przeładunkowy w porcie. Był wtedy zdrowy i silny. Lecz gdy pracodawca dowiadywał się z dokumentów, że ojciec ma tytuł doktora, miał gotową odpowiedź: „Nam nie wolno zatrudniać do pracy fizycznej ludzi z wyższym wykształceniem”.

Wreszcie po prawie dwóch miesiącach ojciec znalazł odpowiednią pracę. Zatrudniony został w Zjednoczeniu Stoczni Polskich na stanowisku naczelnego inspektora. Pracował tam do 1948 r. Potem, za namową kilku serdecznych przyjaciół, pracowników Politechniki Gdańskiej, przeniósł się do pracy na tej uczelni.

Przepracował tam prawie 30 lat, do 1977 r. Był dyrektorem administracyjnym, radcą prawnym, a w końcu kierownikiem oddziału planowania. W 1950 r. został zdjęty przez kierownictwo PZPR przy Politechnice Gdańskiej ze stanowiska dyrektora administracyjnego. Sprawa ta była swego czasu głośna w niektórych środowiskach Gdańska. Ojciec był człowiekiem o gwałtownym usposobieniu. Pewnego dnia do jego gabinetu weszła nieproszona osoba, jak się okazało – szucha partyjna, jakiś „członek z ramienia” czy coś podobnego. Zaczął ustawiać ojca „po linii i na bazie” i pouczać go, jak należy postępować po marksistowsku. Wtedy ojciec bardzo się zdenerwował, bo nie lubił, gdy ktoś go uświadamiał politycznie. Wymusił więc na nim fizycznie, aby opuścił gabinet. Ojciec został zatrzymany i groziło mu więzienie. Ujęli się za nim koledzy partyjniacy, bo i takich miał, i na forum partyjnym przedstawili sprawę w ten sposób, że główną winę za incydent ponosi nie mój ojciec, lecz właśnie ów nadgorliwy agitator ze względu na brak taktu i obycia towarzyskiego... Ojca zdjęto jedynie ze stanowiska dyrektora. Ta degradacja żadnego smutku w rodzinie nie wywołała. Byliśmy z niego dumni.

* * *

Ojciec mój przez całe swoje długie życie był człowiekiem głęboko religijnym. Jego wiara była mądra. Zawsze poszukiwał jej rozumowego uzasadnienia. Jego wypowiedzi na tematy religijne miały na mnie ogromny wpływ – byłem poszukującym i przesadnie krytycznym nastolatkiem.

Pamiętam, jak jeden z jego przyjaciół niedowiarków, który często nawiedzał nasz dom, zadał mu pytanie: „Powiedz mi, Emil, dlaczego ty właściwie wierzysz w Boga?”. Ojciec mu odpowiedział: „Bo nie ma innej, rozumnej alternatywy. Gdybym odrzucił wiarę w inteligentnego Stwórcę, pozostałaby mi wiara w to, że wszystko na świecie, łącznie ze mną, jest tworem ślepego, bezsensownego przypadku. W świetle takiej wiary człowiek nie byłby niczym więcej, jak tylko kupą chodzącego, śmiertelnego białka. Taka absurdalna, bezsensowna koncepcja świata i człowieka bynajmniej mi nie odpowiada. Dlatego wybrałem tę drugą, bardziej sensowną. Bo trzeciej nie ma”. Nie wiem, czy ta wypowiedź mojego ojca przekonała jego rozmówcę. Wiem tylko, że na mnie wywarła niezatarte wrażenie i wzbudziła refleksje, które zadecydowały o całym moim dalszym życiu. Była bowiem dla mnie pierwszą poważniejszą okazją do zastanowienia się nad sensem ludzkiego życia, a przede wszystkim nad sensem wiary.

Dzisiaj rozumiem, że ta wywołana ojcowymi słowami pierwsza w moim życiu głębsza zaduma nad sensem ludzkiego istnienia przyszła w samą porę. Dotąd bowiem, podobnie jak większość moich kolegów, nie traktowałem zbyt serio spraw wiary,

mój stosunek do dziesięciorga przykazań był raczej beztroski. W Boga wprawdzie wierzyłem i to chyba głęboko, ale Kościół mógłby dla mnie nie istnieć. Najbardziej odpychała mnie postawa niektórych księży – z ich pobożnością na pokaz, z ich wymuszonym patosem w kazaniach, z ich sztuczną świętobliwością. By umieć patrzeć bez gniewu na to, co zbyt ludzkie w Kościele, potrzeba już pewnej dojrzałości. Mnie jej wtedy jeszcze brakowało. Ojciec i tego próbował mnie nauczyć.

Oprócz ojca, który stał u początku mojej dojrzewającej wiary, i matki, która w swej prostej i dlatego nieco lekceważonej wtedy przeze mnie pobożności modliła się za mnie wytrwale, Bóg dał mi jeszcze wspomniany już las, w którym pozwalał mi dostrzegać niesamowite zjawisko – tajemniczy cud życia, w którym obecny jest On sam.

Mimo to nie udało mi się jednak uniknąć najbardziej ludzkiego spośród wszystkich ludzkich doświadczeń – zła i grzechu. Wszakże, jak mówi św. Paweł w Liście do Rzymian: „Gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficiej rozlała się łaska!” (Rz 5,20). Jako człowiek grzeszny doświadczyłem na sobie nie tylko zła grzechu, ale również łaski Bożego Miłosierdzia.

Kto doświadczył na sobie bezsensu zła, temu łatwiej zrozumieć, na czym polega jego powab, łatwiej pojąć psychologię grzechu. Oto bowiem jedną z największych potrzeb ludzkiego serca jest, by żyć pełnią życia, by odkrywać w sobie wielkość własnego człowieczeństwa. Stąd się biorą nasze „sny o potędze”. Tu także ma swoje źródło tęsknota za prawdziwą miłością. Same w sobie pragnienia te nie są złe. Człowiek ma prawo dążyć do pełni życia, ma obowiązek pracować nad wielkością swego człowieczeństwa. Słowem: w człowieku działa impuls dążenia do doskonałości. Chodzi jedynie o to, jak tę pełnię, wielkość czy doskonałość będziemy rozumieli. Jest to ważne pytanie, może najważniejsze w życiu i dlatego trzeba sobie na nie w sposób właściwy odpowiedzieć, by uniknąć gorzkiej pomyłki. Jeśli nie rozumiemy do końca, na czym polega pełnia życia, grozi nam to, że nigdy jej nie osiągniemy. Zamiast tego odnajdziemy pustkę, nudę i bezsens i doprowadzimy się do stanu moralnej nędzy. Alkoholik czy narkoman sięgają po używki nie po to, by życie zmarnować, lecz by odnaleźć pełnię życia. Czy można sobie wyobrazić bardziej tragiczną pomyłkę? Podobnie jest z miłością – człowiek słusznie wyczuwa, że miłość to wielka wartość, może ona wspaniale ubogacić i rozjaśnić ludzkie życie, dlatego warto ją znaleźć i warto się o nią ubiegać. Ale znów stajemy wobec istotnego pytania, na które koniecznie musimy znaleźć właściwą odpowiedź: O jaką miłość nam chodzi? Bo nie każdy jej rodzaj daje szczęście.

* * *

Jak pełnię życia pojmuje Kościół? Otóż jest kilka określeń, które w języku teologii chrześcijańskiej mają bardzo bliskie znaczenie, np.: doskonałość moralna, życie w prawdzie, prawdziwe człowieczeństwo, pełnia życia. Wszystkie te pojęcia da się zastąpić jednym krótkim słowem: świętość. Zdaniem Kościoła to właśnie świętość jest jedyną prawdziwą pełnią życia, jest miłością, doskonałym ludzkim życiem, czyli prawdziwym człowieczeństwem. Tylko życie zgodne z rozumną naturą człowieka, życie dobre, czyste i piękne zasługuje na miano życia prawdziwie ludzkiego, a więc świętego.

Świętości nie wolno pojmować, jako pysznego dążenia do czegoś nadzwyczajnego, nadczłowieczego, jako chęci odróżnienia się za wszelką cenę od zwykłych śmiertelników. Świętość nie jest pokazem głupich dziwactw i taniej dewocji. Dewocja, świątobliwość na pokaz to zazwyczaj ozdobny parawan, za którym człowiek próbuje schować swoje wcale niepiękne uczynki. Świętość to w pewnym sensie ten rodzaj życia, na który każdy z nas został wewnętrznie zaprogramowany przez naszą ludzką naturę, stworzoną na obraz i podobieństwo Boga. Na tej zasadzie działa przeciw naszemu sumieniu. Jesteśmy bowiem nie tylko z tego świata – nie mieścimy się w ciasnych granicach materii. Jest w nas coś Boskiego, wiecznego, coś, co wychodzi daleko poza ramy doczesności.

Oczywiście jesteśmy wolni. Możemy nie liczyć się z tym naszym wewnętrznym zaprogramowaniem. Nic nas nie zmusi do tego, byśmy żyli poza głosem własnego sumienia, które jest wołaniem tej wyższej natury, nie doczesnej. Możemy żyć według własnego widzimisię. Możemy żyć tak, jakbyśmy byli tylko i wyłącznie doczesną bryłą materii. Istotnie, wielu ludzi tak właśnie żyje. Na tym polega smutny przywilej naszej wolności, że możemy żyć głupio, ale po swojemu.

Ale takie życie, głupie i pełne bezsensownych uczynków, nie jest prawdziwie ludzkim życiem. Nasza rozumna natura jest zaprzeczeniem wszystkiego, co bezsensowne. Bo rozum – to sens. Ponadto życie niezgodne z sumieniem nigdy nie może być w pełni szczęśliwe ani radosne. Człowiek, który nie liczy się z głosem swej prawdziwej natury, nie zazna tej pogody ducha, którą daje czyste sumienie. Choć tęskni za nią i jej przecucie w sobie nosi.

Ludzie, którzy sprzeniewierzyli się swej pierwotnej prawdziwości, zazdroszczą dzieciom tego, czego z własnej winy sami już nie mają – czystości serca, świeżości psychicznej oraz radosnej prostoty, która stanowi bodajże największy urok człowieka sprawiedliwego. W życiu dziecka nic się nie psuje, nic nie śmierdzi, wszystko jest tak, jak powinno być, zgodnie z zaprogramowaniem. Nie dziwią więc słowa Jezusa, które wypowiedział w Ewangelii na pochwałę życia dziecięcego.

Może się nasunąć pytanie, dlaczego pisząc swe wspomnienia więzienne, tyle miejsca poświęcam rozważaniom na temat świętości. Uważam, że życia ludzkiego nie wyjaśniają same tylko suche fakty i wydarzenia. Nie one też bywają najważniejsze w tworzeniu ludzkich życiorysów. Głównymi autorami ludzkich biografii wydają się nasze poglądy, nasze przekonania religijne bądź polityczne, nasz światopogląd. I dopiero na ich tle stają się zrozumiałe nasze czyny i postawy. Widzę to dziś bardzo wyraźnie z perspektywy wielu lat.

To, że na przykład Felek załamał się podczas jednego z przesłuchań, a Dyzio pomimo katuszy śledztwa nie sypnął nikogo, nie jest bynajmniej wynikiem ślepego przypadku. Nie da się też wytłumaczyć tak różnego zachowania tych dwóch moich przyjaciół podczas ubeckiego śledztwa przez odwoływanie się do siły lub też słabości ich charakteru, najtrafniejszym wytłumaczeniem wydaje się tu fakt, że Dyzio, w przeciwieństwie do Feliksa, był człowiekiem o mocnych przekonaniach religijnych i patriotycznych, którym potrafił dochować wierności nawet w najtrudniejszych doświadczeniach. Feliksowi natomiast, jako człowiekowi o mocnej wprawdzie osobowości, lecz słabych przekonaniach, nie udało się odnaleźć tej siły.

We wczesnych latach młodości miałem jeszcze bardzo mętne pojęcie o świętości. Dlatego się jej bałem. Bałem się, że może ona zrobić ze mnie ułożonego, grzecznego świętoszka, co straszy ludzi swoją dewocją. Z drugiej wszakże strony, żyło we mnie wielkie pragnienie, aby życie moje było prawdziwe, normalne, ludzkie. Aby miało sens. Wydaje mi się, że od dziecka kochałem i jakoś na swój sposób rozumiałem przyrodę. Zapewne pod wpływem ojca ceniłem jej prawa, w których przeczuwałem obecność jakiejś wyższej woli. Dlatego starałem się unikać wszystkiego, co wydawało mi się sprzeczne z naturą. Określenie „prawdziwy człowiek” zawsze wywierało na mnie głębokie wrażenie. Chciałem być prawdziwym człowiekiem. Pragnąłem żyć w prawdzie, bo takie życie wydawało mi się piękne i najbardziej godne człowieka. Ale muszę przyznać, że nie zawsze mi się udawało być takim, jakim bym chciał. Nieraz doświadczałem na sobie ludzkiej słabości. Przekonywałem się wtedy ze skrucą, że rację ma św. Paweł, który wszystkich nas nazywa grzesznikami skazanymi na bezgraniczne Miłosierdzie Boże.

Dopiero po wielu latach, już jako kleryk, dowiedziałem się na wykładach z teologii, że jeden jest tylko Prawdziwy Człowiek, Jezus Chrystus, nasz Boski pierwowzór. A my możemy stać się prawdziwymi ludźmi jedynie przez uczestnictwo w Jego Prawdziwym Człowieczeństwie, naśladowując Go.

I takie jest jedyne prawdziwe pojęcie świętości, jako życie w Chrystusie, który jest naszą Drogą, Prawdą i Życiem. Tak pojęta świętość nikomu nie wyrządziła

krzywdy, nikogo nie zdeformowała, nie wypaczyła, nikogo nie uczyniła dewotem. Świętość bowiem to prawdziwość, naturalność, normalność. A człowiek święty, a więc prawdziwy, to najpiękniejsze zjawisko tego świata!

Jak słusznie spostrzegł starożytny mędrzec Meander: „Jaki piękny jest człowiek, kiedy jest prawdziwym człowiekiem!”.

Kozi pastuch

W listopadzie 2012 r., w przemówieniu do słuchaczy Radia Maryja ojciec święty Benedykt XVI powiedział: „Każdy człowiek nosi w sobie tajemniczą tęsknotę za Bogiem”. Na wiele lat przed tym, jak słowa te zostały wypowiedziane, we wczesnych latach mojej młodości, doznałem ich prawdziwości.

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych za naszym osiedlem na peryferiach Gdańska rozciągały się łąki, pola, lasy. Moi rodzice byli ludźmi praktycznymi, dlatego wzięli się za hodowlę zwierząt domowych. Najpierw mieliśmy kury, zwykle około dziesięciu. Wkrótce potem pojawiły się świnki, jedna, rzadziej dwie. I wreszcie rodzice doszli do wniosku, że dobrze by było mieć także świeże mleko, więc nabyli dwie kozy, a ich pasienie powierzono mnie, wówczas 12-latkowi. Z początku nijak nie pasowało mi to zajęcie. Byłem jednak posłuszny ojcu, który zawsze cieszył się u mnie wielkim szacunkiem – nie denerwował się, nie krzyczał na mnie (zaledwie trzy razy w życiu dostałem od niego porządne lanie, zawsze słusznie). Wiedział natomiast, że nakazując mi pasienie kóz, nie wyrządza mi krzywdy. Sam przecież w latach swej wczesnej młodości był pasterzem. Obiecał mi zresztą, że czasem będzie do mnie przychodził i pomagał mi w odrabianiu lekcji. A lekcje nauczyłem się odrabiać w polu.

Z czasem polubiłem tę swoją służbę. Spełniałem ją chętnie i bez narzekania. Dziś widzę, że to moje pasterzowanie było dla mnie opatrnościowe. Wdzięczny jestem za nie Bogu. Przede wszystkim nauczyłem się nie bać samotności. Nawet ją polubiłem. Przydało mi się to później w życiu. Po wtóre, nauczyłem się cenić i kochać przyrodę. I zacząłem ją chyba jakoś rozumieć.

W kolicach 13–14 roku życia przeżywałem najwyraźniej lata swego przebudzenia intelektualnego i religijnego. Był to dla mnie szczególnie ważny czas wzrastania. Uświadamiałem sobie wówczas stopniowo, że wiele spraw, które dotąd wydawały mi się proste, wcale takie nie są. Szczególnie zachwycało mnie i zastanawiało cudowne zjawisko życia. Nabrałem pewności, że do pełnego jego zrozumienia nie wystarczy sama tylko sucha praca rozumu. Życie bowiem nie jest tylko zespołem reakcji biochemicznych. Jest w nim coś, co wykracza poza granice materii. Dlatego by je zrozumieć, trzeba uciec się do jakiegoś głębszego

rodzaju poznania. Jeśli jednak człowiek jest częścią przyrody, rozumowałem, to musi mieć dostęp do poznania jej tajemnic.

Gdy przebywałem w towarzystwie drzew i patrzyłem na pola pełne traw, wydawało mi się, że doświadczam niekiedy owego głębszego poznania, które pozwala pełniej i prawdziwiej zrozumieć świat. Odczuwałem np., że od istot żywych, a choćby też od trawy, bije jakaś wielka, niesamowita, tajemnicza radość. Zadawałem sobie pytanie: Czyżby radość należała do istoty życia? Takie oto myśli przychodziły mi do głowy w czasie owego szlachetnego zajęcia, jakim jest pasienie kóz.

Wtedy też zrodziła się we mnie głęboka potrzeba modlitwy, pojętej jako pragnienie i poszukiwanie kontaktu z tą Istotą, która jest źródłem wszelkiego życia: „Boże! Prowadź mnie drogą do prawdziwego życia!”. Doświadczyłem osobiście, że taki żywy kontakt z przyrodą znacząco wpływa na postawę moralną człowieka. Po prostu zmusza do uczciwego wysiłku moralnego. Jedną z głównych intencji moich modlitw stała się wtedy gorąca prośba do Boga, aby strzegł mnie od wszelkich uczynków, które nie mają sensu, a których źródłem są jedynie egoistyczne zachcianki. Byłem bowiem świadomy tego, że czyni takie mącą pokój i radość, czynią życie nieprawdziwym, a przez to utrudniają stawanie się prawdziwym człowiekiem. A przecież każdy człowiek w większym lub mniejszym stopniu tęskni za prawdziwym człowieczeństwem, a więc – jak powiedziała św. Paweł – „za życiem w Chrystusie”. Albowiem każdy człowiek nosi w sobie tajemniczą tęsknotę za Bogiem.

* * *

Pewnego dnia przekonałem się, że taki stały, bliski kontakt z przyrodą nie tylko we mnie budzi tajemniczą tęsknotę za Bogiem. Na łąkach widywałem niekiedy dziewczynę, która pasła kilka krów i podobnie jak ja, w tym czasie odrabiała lekcje. Znaliśmy się ze szkoły, była ode mnie o 2–3 lata starsza. Wiedziałem, że ma na imię Marysia oraz że nasze mamy wiernie uczestniczą w spotkaniach tercjarskich w gdańskim kościele oo. Kapucynów.

Początkowo nie zwracaliśmy na siebie większej uwagi, spoglądaliśmy tylko z bezpiecznej odległości kilkudziesięciu metrów i co najwyżej od czasu do czasu pytałśmy się, która może być godzina, bo może już czas wracać do domu.

Pewnego razu wywiązała się między nami dłuższa rozmowa. Tego dnia było zimno, więc rozpalilem, ognisko. Gdy Marysia nadeszła ze swymi krowami, zaprosiłem ją, żeby też się ogrzała. Zauważyłem, że trzyma w rękę różaniec, co mnie mile zaskoczyło. Ja wprawdzie wtedy jeszcze różańca przy sobie nie nosiłem, ale odmawiałem go często w gronie rodziny. Rozmawialiśmy chyba dłużej niż

godzinę. Miło nam się gawędziło, choć z początku była to rozmowa o wszystkim i o niczym. Dopiero za którymś razem zaczęliśmy odnajdywać wspólne tematy, dzięki czemu odkryliśmy w sobie bratnie dusze.

Ale Pan Bóg nie po to nas ze sobą spotkał, aby nas zeswatać.

Dopiero później zrozumiałem, że ta dziewczyna jest blisko Pana Boga, że prawdziwie tęskni za głębszym życiem religijnym. Ja też próbowałem jej mówić coś o moich pragnieniach i tęsknotach metafizycznych. I choć od tamtych rozmów z Marysią dzieli mnie dystans 60 lat, to do dziś pamiętam strzępki jej wypowiedzi. Mówiła, że jej się nigdy nie nudzi przy pasieniu krów, bo właśnie dzięki temu ma okazję poznać, jaki piękny i pełen Boga jest świat. Mówiła też, że żal jej ludzi, którzy nie wiedzą, po co żyją i nie umieją odnaleźć drogi do swojego prawdziwego szczęścia. Tu zacytowała jedną ze zwrotek modnej wówczas pieśni Boba Dylana: „Przez ile lat ludzie kłąć będą świat, nie wiedząc, że niebo jest w nas”. Ja też próbowałem bąknąć jej coś w tej samej tonacji, ponieważ czułem, że słucha mnie z zainteresowaniem.

Ale to, co mnie najbardziej w niej ujęło, to wyznanie, że lubi się modlić i że w czasie modlitwy odczuwa niekiedy coś, co można by nazwać dotknięciem Pana Boga – to doznanie, którego z niczym nie da się porównać. Rozumiałem, o co jej chodzi. Pewnego razu wyznała z prostotą, że bardzo się modli, aby Bóg pozwolił jej zachować czystość serca – bo życie jest krótkie. Zaproponowałem jej wtedy, abyśmy się nawzajem za siebie modlili, właśnie w tej intencji.

Tego typu rozmowy zbliżyły nas do siebie. Ponadto była to dziewczyna o mądrej, pogodnej twarzy, godna prawdziwej miłości. Ale Pan Bóg sprawił, że mimo wszystko nie czułem się w niej zakochany. Miałem serce wolne, tak mi się przynajmniej zdawało. Do czasu...

* * *

Ta moja znajomość z Marysią, moją bratnią duszą, miała się wkrótce okazać dla mnie bardzo ważna, wprost zbawienna.

Skończyłem 17 lat, minęło już osiem długich miesięcy od wyroku (5 lat więzienia). Miałem za sobą paskudne ubeckie śledztwo, w czasie którego straciłem kilka zębów. Siedziałem w Sztumie, a więc w jednym z tych więzień, które w czasach PRL nie cieszyły się najlepszą sławą. Było mi ciężko. Z trudem znosiłem wulgarne przekleństwa, które moi towarzysze niedoli miotali przy byle okazji.

W tym ciężkim dla mnie okresie przyjechali do mnie rodzice na widzenie. Mama rozpoczęła rozmowę od przekazania mi pozdrowień od przyjaciół i znajomych, powiedziała m.in.: „Pozdrawia cię też Marysia. Wiesz? Ta, co pasła razem z tobą krowy. Gdy się dowiedziała, że jedziemy do ciebie do więzienia, prosiła

mnie, bym ci powiedziała, że co dzień gorąco modli się za ciebie i zapewnia, że zawsze będzie o tobie pamiętać w modlitwie. Wiesz, dziwne to. Jak mnie zobaczy, to biegnie do mnie z daleka, ściska mnie, całuje i płacze, i bardzo wypytuje się o ciebie”. Pomyślałem sobie, że chyba nie jestem jej obojętny, skoro tak traktuje moją matkę. Boże mój! Oto jeszcze jedna osoba, której sprawia ból moje uwięzienie. „Kochane, pocziwe Marysisko! Gdybyś teraz była przy mnie, nie pytałbym się o nic, ale wyściskałbym cię i wycałował, jak ty ściskasz i całujesz moją mamę”.

Gdy po skończonym widzeniu wróciłem do celi, uświadomiłem sobie, że Marysia jest mi bliska, że ją naprawdę kocham. Jakże bardzo potrzebna mi była taka właśnie miłość. Miłość, która nie niepokoi, nie budzi desperackiej tęsknoty, ale daje radość, pokój i siłę. Oto jedna z tych łask, które Bóg mi zesłał, by mnie umocnić na trudne dni niewoli. Nie czułem odtąd ciężaru wyroku, przestałem liczyć rozpaczliwie dni, które pozostały mi jeszcze do odsiadki, było ich razem 1825. Byłem po prostu szczęśliwy. Teraz modlitwa sprawiała mi szczególną radość. Zwłaszcza modlitwa o czystość serca dla Marysi. Przecież jej to obiecałem. Pod wpływem tej miłości budziło się teraz we mnie ogromne pragnienie czystości. Lękałem się każdej myśli niegodnej.

Po moim wyjściu na wolność nie udało mi się niestety, pomimo usilnych starań, spotkać Marysi. Dowiedziałem się jedynie, że prawdopodobnie jest na studiach w Lublinie. Wszelkie próby nawiązania z nią kontaktu okazywały się bezskuteczne. Dopiero w 1963 r., gdy byłem w Krakowie na studiach zakonnych, otrzymałem z domu smutny list, w którym mama donosiła o śmierci s. Marii od Ducha Świętego. Według relacji świadków umierała spokojnie, z modlitwą na ustach, otoczona gronem siostr zakonnych, zmożona nieuleczalną chorobą. Był to pierwszy dzień wiosny.

Na wieść o śmierci Marysi przeżyłem coś, czego bym się nigdy nie spodziewał. Oto zamiast smutku i żaloby odczuwałem przez szereg dni jakąś wielką, tajemniczą, nieposkromioną radość, której nie da się opisać słowami. Zrozumiałem wtedy, że oto s. Maria od Ducha Świętego dopuszcza mnie do udziału w swojej radości, w radości zbawionych! Był to dla mnie niezbity dowód potwierdzający dogmat o świętych obcowaniu.

Bądź uwielbiony, Boże, za ten największy z Twoich darów, za dar miłości! Bądź uwielbiony za dar kochającego człowieka.

Opisuję tu tę moją romantyczną przygodę nie po to, by ożywić te wspomnienia jakimś wątkiem miłosnym. Chcę po prostu złożyć świadectwo, że prawdziwa, dobra miłość, miłość w imię Boga, to potężna siła, która skutecznie chroni człowieka przed złem, smutkiem, własną słabością.

Konspiracja

Wczesne lata mojej młodości przypadają na smutny dla Polski okres powojenny 1945–1956. Nowa sytuacja, która w owym czasie w Polsce zaistniała, była dla wielu naszych rodaków przyczyną długotrwałej traumy. Wielu starszych kolegów żałowało, że nie zginęli w walce. Przynajmniej nie musieliby patrzeć na to całe paskudztwo, które się działo w powojennej Polsce. Polakom towarzyszyło poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Budziła się chęć odwetu, pragnienie wywalczenia siłą tego, co się Polsce słusznie należało. By móc obiektywnie ocenić ówczesne postawy naszych rodaków, trzeba się wczuć w to wszystko, czego Polacy doświadczali i co przeżywali w zderzeniu z tak niełaskawą dla nich historią. Przede wszystkim byli świadomi, że kraj nasz lojalnie i z honorem spełnił swój obowiązek wobec aliantów w wojnie z Hitlerem. Wziął na siebie z nawiązką przypadający nań ciężar walki ze wspólnym wrogiem. Żołnierz polski walczył uczciwie na wszystkich frontach II wojny światowej.

Polska armia podziemna w okresie swego największego rozkwitu liczyła blisko milion żołnierzy. Była najliczniejszą i najaktywniejszą podziemną armią świata. Polska jako jedyna w Europie miała prawdziwe, dobrze zorganizowane Państwo Podziemne. Dla armii niemieckiej było to bardzo poważne zagrożenie. Wystarczy wziąć pod uwagę choćby tylko problem niemieckich transportów kolejowych zmierzających na front wschodni. Dowoziły one Niemcom zarówno broń ciężką, amunicję, jak i odzież oraz wyżywienie. Polska armia podziemna w latach 1941–1945 wysadziła w powietrze ponad półtora tysiąca takich transportów. Dla Niemców była to ogromna strata, której następstwa wydatnie przyczyniły się do późniejszego kryzysu armii niemieckiej na Wschodzie.

W związku z tak dużą aktywnością Polskiego Państwa Podziemnego (pamiętajmy przede wszystkim o działającej na terenie Polski silnej partyzantce antyniemieckiej) dowództwo niemieckie zmuszone było utrzymywać w Polsce znaczną ilość wojska. Generał Tadeusz Komorowski „Bór” podaje w swej książce *Armia Podziemna* (Paryż 1954), iż niemiecka armia okupacyjna w Polsce liczyła 900 batalionów, czyli mniej więcej 500 tys. żołnierzy. Pomyślny, jak bardzo bataliony te przydałyby się Niemcom na froncie wschodnim, zwłaszcza w okresach kryzysu. Może warto dla porównania podać, że jedna

z najsilniejszych armii niemieckich, 6. Armia generała von Paulusa, liczyła 300 tys. żołnierzy.

W wyniku swego zaangażowania w walkę Polska wyszła z wojny wykrwawiona i wyniszczona jak żaden inny kraj. Jednak pomimo wkładu w zwycięstwo, nie było jej dane uczestniczyć w jego owocach. Jako jedyny uczestnik zwycięskiej koalicji Polska wyszła z wojny ze znacznym uszczerbkiem terytorialnym. Jej terytorium zmniejszyło się w stosunku do przedwojennego o około 75 tys. km² – jest to obszar Słowacji i Belgii razem wziętych.

Wszakże najgorsze i najtragiczniejsze dla Polaków było to, że Polska nie odzyskała po wojnie pełnej niepodległości. Nadal pozostała krajem okupowanym, uzależnionym politycznie i gospodarczo od obcego mocarstwa. Słowo „obcego” ma tu szczególnie mocną wymowę. Rosja sowiecka bowiem zawsze była obca Polsce, przede wszystkim w sensie kulturowym i cywilizacyjnym.

Nowy okupant, wcale nie lepszy od poprzedniego, nie tylko niszczył i eksploatował Polskę, lecz ponadto upokarzał ją i zakłamywał, plugawił i wypaczał jej historię, znieważał tradycję, podjął walkę z religią i kulturą polską. Polaków wszakże najbardziej gniewało to, że w całej tej swojej pełnej nienawiści, antypolskiej działalności nowy okupant, udając obłudnie przyjaciela, posługiwał się bezczelnym, cynicznym kłamstwem. Wszystko zgodnie z zasadami reprezentowanej przez siebie cywilizacji.

Wzmagala się więc w całym kraju powszechna, całkowicie zrozumiała i usprawiedliwiona nienawiść do sowieckiego okupanta. Trwała walka partyzancka. W wielu rejonach Polski każdej nocy słychać było odgłosy strzelaniny. W Gdańsku, gdzie wówczas mieszkalem, często rozbrzmiewały odgłosy prawdziwej bitwy z hukiem granatów włącznie. To „chłopcy z lasu” atakowali sowieckie placówki lub posterunki czerwonej milicji. Równocześnie, jak grzyby po deszczu, powstawały podziemne organizacje antykomunistyczne, w większości młodzieżowe.

Tak mniej więcej przedstawia się tło tej walki, którą naród nasz zmuszony był podjąć w obronie swej niezawisłości, w obronie swych praw i najcenniejszych wartości. Los sprawił, że w walce tej i ja miałem jakiś swój skromny udział.

* * *

W 1951 r. ukończyłem szkołę podstawową, siódmą klasę. Trzeba więc było rozejrzeć się za jakąś odpowiednią szkołą średnią. Za radą rodziców postanowiłem wybrać ogólniak.

W pobliżu mego miejsca zamieszkania mieściło się renomowane I Liceum Ogólnokształcące, jednakże była to niestety epoka, w której w wielu szkołach

wprost przymuszano młodzież, by wstępowała w szeregi ZMP. Tak było i w tej szkole. Pierwsze więc pytanie, które mi zadano w ramach moich starań o przyjęcie do I LO brzmiało: „Czy należysz do ZMP?”. Moja odpowiedź była równie krótka: „Nie należę i nie chcę należeć”.

Na tym skończyła się nasza rozmowa, wskazano mi wyjście i kazano zawołać następnego kandydata. Zrobiło mi się smutno. Chyba pierwszy raz w życiu brzydsko zakląłem.

Byłem świadom, że koniecznie muszę się załapać do jakiegoś ogólniaka, bo bez tego nie będę mógł dostać się na studia, a ja bardzo chciałem studiować na Politechnice Gdańskiej i zostać inżynierem chemikiem.

Zaczynałem jednak powątpiewać, czy kiedykolwiek uda mi się zrobić karierę naukową, gdy moi dawni, serdeczni przyjaciele z podstawówki poradzili mi, bym udał się do Nowego Portu i rozpoczął starania o przyjęcie do IV LO, bo tam przyjmują także bezpartyjnych. Na koniec oświadczyli, że oni też tam właśnie zostali immatrykulowani.

To była krzepiąca wiadomość. Jeszcze tego samego dnia wsiałem do kolejki elektrycznej i stawilem się w sekretariacie poleconej mi szkoły, by prosić o przyjęcie do grona jej uczniów. Tym razem moje zabiegi zakończyły się powodzeniem. Stałem się więc licealistą, uczniem IV LO w Gdańsku Nowym Porcie. Byłem z tego powodu bardzo dumny i szczęśliwy. Cieszyłem się niezmiernie także i z tego, że w nowej szkole będę miał wielu wypróbowanych przyjaciół, takich samych jak ja, zaprzysiężonych nacjonalistów i kontrrewolucjonistów. Ujemną stroną mojej nowej szkoły było natomiast to, że znajdowała się ona strasznie daleko od mego miejsca zamieszkania, a więc codziennie, przez półtora roku musiałem dojeżdżać do szkoły kolejką elektryczną Gdańsk Główny – Nowy Port i z powrotem.

W tamtym czasie, tzn. we wczesnych latach powojennych, Polacy byli na ogół zgodni co do najistotniejszych kwestii politycznych. A zatem zgadzali się, że Polskę spotkała po wojnie niezasłużona krzywda i winien jest tu przede wszystkim Związek Sowiecki, nowy okupant, który zrabował nam bezprawnie nasze Kresy Wschodnie. Poglądy te podzielała także polska młodzież.

O tej jednomyślności, która panowała wśród ówczesnej młodzieży w jej poglądach na sprawy polskie, miałem możliwość przekonać się już na samym początku szkoły średniej. Mogliśmy spierać się ze sobą na najróżnorodniejsze tematy, mogliśmy kłócić się i rywalizować, a nawet prac się po gębach, ale w jednej sprawie byliśmy ze sobą wyjątkowo zgodni – że wszystkim nieszczęściom, które trapią dziś Polskę, winna jest komuna przywleczona przez Związek Sowiecki.

Dla wielu moich ówczesnych koleżanek i kolegów tym najboleśniejszym, bo bardzo osobiście doświadczanym, nieszczęściem była spowodowana przez Związek Sowiecki utrata Kresów Wschodnich. Były to przecież ich umiłowane rodzinne strony, z których zostali wypędzeni ze względu na terytorialne zachcianki naszego wschodniego sąsiada. Pamiętajmy, że ponad 30 proc. mieszkańców Gdańska, a więc także i uczniów naszej szkoły, to Kresowianie, których nazywano powszechnie Zabuzanami, bo przyszli zza Bugu. Tych najtrudniej byłoby namówić do miłowania Związku Sowieckiego. I trudno się temu dziwić.

Łatwo zgadnąć, że w takich okolicznościach niewesoły był los nauczycieli języka rosyjskiego. Młodzież ze szczególną determinacją i zapamiętaniem rozrabiała właśnie na ich lekcjach. A rozrabiała, można by rzec, z wyższych pobudek, z patriotycznego obowiązku. Dostawało się wszystkim – i fajnym, i niefajnym, bo przecież nie o osobę pedagoga tu chodziło. Nie skutkowały żadne groźby. Żaden mrozący krew w żyłach ryk rozwścieczonego pedagoga nie robił najmniejszego wrażenia. Wzbudzał co najwyżej pusty śmiech. Tak się ponoć działo we wszystkich gdańskich szkołach i chyba nie tylko gdańskich. Polska młodzież w taki właśnie sposób demonstrowała swoje poglądy polityczne.

A jednak właśnie w naszej szkole wydarzyło się coś wyjątkowego pod tym względem. Otóż przynajmniej przez miesiąc we wszystkich klasach pomiędzy uczniami a panią od rosyjskiego panowała wprost idealna zgoda.

Był listopad 1952 r. W naszej szkole już przynajmniej od tygodnia nie miał kto wykładać języka rosyjskiego. Kolejny nauczyciel tego przedmiotu nie wytrzymał z nami i załamał się psychicznie. Spakował więc manatki i poszedł szukać innej pracy. Na jego miejsce przyszła młoda, niebrzydka, może 25-letnia kobieta o dobroduszej twarzy. Mówiła śpiewnym, kresowym akcentem. Przedstawiła się, że ma na imię Kasia i zapowiedziała, że będzie nas uczyć rosyjskiego. O, nieszczęsna! Nie wiedziała, co czyni. Gdy tylko wyrzekła te słowa, przez klasę, jak za naciśnięciem czarodziejskiego guzika, przetoczył się gromki śmiech. Zapanał gwar jak na jarmarku w Kołomyi. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Jakaś pokaźnych rozmiarów kula ze zmiętego papieru przefrunęła przez klasę i odbiła się od czoła nieszczęsnej pani profesor. Uczniowie łazili bezczelnie po klasie, jakby nie było lekcji. Kilka dziewczyn dziergało na drutach. Ktoś w rogu klasy całkiem zgrabnie naśladował obrzydliwe miauczenie marcującego kota. Z innego rogu dobiegało ujadanie małego pieska. Tak, młodzież potrafi być okrutna.

Ale oto zdarzyła się rzecz niezwykła. Pani Kasia, zakłopotana, przestraszona, zdziwiona, patrzyła na nas bezradnie, w jej oku kręciła się łza. Wreszcie zwróciła

się do nas: „Pozwólcie mi coś powiedzieć”. Gdy się nieco uciszyło, zaczęła mówić: „Otóż, chcę wam powiedzieć, że ja też jestem Polką i tak jak wy kocham Polskę. Niedawno wraz z rodzicami wróciłam z syberyjskiego zesłania i chciałam...”. Te słowa podziały jak zakłęcie. Nagle zrobiła się cisza, jakby wszyscy zapomnieli o swym „patriotycznym obowiązku”. Słychać było, jak mucha przelatuje gdzieś w głębi klasy. Ta nagła cisza zaskoczyła samą panią Kasię. Na chwilę zamilkła.

A więc sybiraczka, zesłana? Czy może być dla Polaka bardziej zaszczytny tytuł? Wszyscy, jakby zawstydzeni, grzecznie usiedli w ławkach. Kasia mówiła dalej: „Chciałam pracować, by wspomóc schorowanych rodziców. Znam rosyjski, więc po powrocie do Polski udało mi się zaliczyć kurs pedagogiczny, który uprawnia mnie do nauczania tego języka. Wprawdzie ostrzegano mnie, że nie będzie mi łatwo, bo młodzież polska nie przepada za rosyjskim, ale was rozumiem”.

Zdaje się, że nasza pani sybiraczka powiedziała o pół zdania za dużo. Niestety, miała to pokazać najbliższa przyszłość.

Na razie klasa przysłuchiwała się ciekawej rozmowie między panią Kasią a naszą koleżanką Helą, która pochodziła z samego Wilna. W 1949 r. również ona powróciła z Sybiru. Jej rodzice znaleźli się na zesłaniu tylko za to, że byli polskimi nauczycielami. Władze sowieckie uznawały Polaków z wyższym wykształceniem za element bardzo niepokojący i podejrzany.

Gdy tylko zadzwonił dzwonek na przerwę, oblecieliśmy wszystkie klasy naszej szkoły, by uprzedzić kolegów, że na lekcjach pani Kasi rozrabiać nie należy.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że w latach 1940–1941 Sowieci zesłali w głąb Rosji półtora miliona naszych rodaków z Kresów. Z tego powróciła do kraju mniej niż połowa. Duża część zesłanych zmarła z powodu trudnych warunków życia. Ci, którym udało się przeżyć i powrócić do kraju, mieli prawo uważać się za wybrańców losu. Ponoć najwięcej naszych zesłańców zginęło przy budowie Kanału Białomorsko-Bałtyckiego – ok. 100 tys.

Pani Kasia, niestety, nie na długo zagościła w naszej szkole, choć dobrze się z nami czuła i bardzo chciała pozostać. Na swej ostatniej lekcji z nami powiedziała, że ktoś na nią doniósł, jakoby się miała zbyt „identyfikować z nacjonalistycznymi poglądami uczniów”. Dlatego musi odejść. Takie były wtedy czasy. Zupełnie jak za cara Mikołaja.

* * *

Nasza klasa była zgrana i jednomyślna, co do spraw dotyczących tzw. obecnej rzeczywistości. Mimo to, jak pokazała sprawa pani Kasi, także wśród nas znalazł się kapuś i donosiciel.

Lubiliśmy zbierać się po lekcjach w kilka lub kilkanaście osób, by w jakiejś pustej klasie wspólnie pomarzyć o prawdziwej Polsce. Rozmawialiśmy wtedy, nierzadko przy butelce wina, o bohaterach Armii Krajowej, o współczesnych polskich problemach przypominających te z czasów rozbiorów, a także o bieżących wydarzeniach, zwłaszcza o czynach zbrojnych działającej jeszcze wówczas partyzantki antykomunistycznej.

Mieliśmy wtedy po 16 lat. Coraz wyraźniej odczuwaliśmy potrzebę stworzenia jakiejś zorganizowanej grupy oporu, która przeciwstawiała się propagandowym kłamstwom i innym łajdactwom komunistycznym. Chcieliśmy się Polsce na coś przydać. Nie można przecież patrzeć beczynnym na to, co się dzieje w Polsce dzieje.

Najbardziej bulwersowała nas nagonka na Kościół. Pamiętam, z jakim oburzeniem przyjmowaliśmy wiadomości o wielu procesach pokazowych wytaczanych księżom i biskupom. Komuna wykorzystywała je jako okazję do rzucania oszczerstw na Kościół. Odczuwaliśmy to nieomal jako osobistą zniewagę, jako niezasłużoną krzywdę wyrządzaną Kościołowi, bezczelną obelgę, rzucaną przez „czerwone łajdactwo”.

Choć nie mieliśmy wtedy zbyt silnych podstaw swojej wiary, to jednak staliśmy twardo przy Kościele, ponieważ i Kościół stał twardo przy narodzie. Dowodem tego były dla nas właśnie owe procesy i prześladowania.

Wtedy też zdecydowaliśmy, że nie wolno nam dłużej patrzeć z założonymi rękami na to całe paskudztwo, które się w Polsce panoszy; na łgarstwa i obelgi miotane przeciw Kościołowi; na oszczerstwa rzucane na naszych bohaterów narodowych, czyli na żołnierzy Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, oddziałów Wolność i Niezawisłość.

Postanowiliśmy zacząć działać. Na początek zdecydowaliśmy się na pracę uświadamiającą, czyli na rozpowszechnianie ulotek. Pomysł spotkał się z powszechnym poparciem, więc przystąpiliśmy do jego realizacji.

Jeden z naszych kolegów z klasy, Felek, oznajmił nam, że ma w domu małą drukarenkę, taką dzieciinną zabawkę na gumowe czcionki. Przy pomocy czegoś takiego dałoby się jakiś krótki tekst wydrukować. A zatem ułożyliśmy tekst; krótki, prosty, ale szpetnie zgryźliwy. Był to protest przeciw kłamstwom czerwonej propagandy.

Następnego dnia Felek przyniósł 40 sztuk naszej bibuły propagandowej. Teraz pozostało już tylko rozlepić ją na mieście. Wiedzieliśmy, że jeśli nas złapią, kara będzie surowa – kilka lat więzienia. Trudno, chodzi przecież o honor Polski. Zresztą, nie tylko Polski, ale i o nasz własny, osobisty honor.

Nie będzie Moskal pluł nam w twarz...

Chętnych do rozlepiania ulotek zgłosiło się tylu, że bez trudu udało się rozkolportować cały nakład. Następnego dnia jeden z kolporterów opowiedział nam cały w skowronkach, jak to w swoim rejonie operacyjnym natrafił na kilka ulotek nie naszego pochodzenia. Oczywiście spisał je skwapliwie. Były świetne, pełne zjadliwego humoru. Robione były wprawdzie równie prymitywną techniką jak nasze, ale za to treści mogliśmy im szczerze pozazdrościć, np: „Niech żyje Związek Radziecki! A no, niech sobie żyje! Ale przecież nie naszym kosztem!"; „Wyszedł ukaz z Kremla, niechaj Polak pości. Mięso niech śle Moskwie, sam niech gryzie kości!”.

By móc w pełni docenić aktualną wymowę tego tekstu i jego celność, trzeba być świadomym, że przez cały okres PRL Polska cierpiała dotkliwie na chroniczny brak mięsa. By zdobyć kawałek schabu czy podgardla, trzeba było przestać wiele godzin, a nieraz całą noc w kolejkach. Za ten stan rzeczy Polacy obwiniali zachłanność naszego wschodniego sąsiada.

Treść tych i jeszcze kilku innych ulotek, które sporządzili nasi nieznani przyjaciele, wykorzystywaliśmy później wielokrotnie w naszych akcjach ulotkowych, ponieważ uznaliśmy, że są godne rozpowszechniania. Jednakże nie przejmowaliśmy się zbytnio tym, że w ten sposób popełniamy po prostu zwyczajny plagiat. Zresztą sami też tworzyliśmy ulotki z treścią całkowicie przez nas zredagowaną. Te nasze były jednak pisane w tonacji bardziej niż poważnej. Był to na ogół patetyczny protest przeciw łajdactwom popełnianym przez czerwoną zarzę.

To, że nie jesteśmy sami, że oprócz nas działają na terenie Gdańska inne, podobne do naszej grupy oporu, było dla nas bardzo radosnym zaskoczeniem. Dowodów na istnienie oraz działanie wielu takich grup odkrywaliśmy coraz więcej. Zresztą później, gdy siedziałem już w ubeckim areszcie śledczym, dowiedziałem się od samych ubeków, że do podstawowych ich obowiązków należało wtedy oblatywanie każdego ranka gdańskich ulic i zaułków i zdzieranie z murów ulotek o bardzo wywrotowej treści. Gdy się dowiedzieli, że także i ja przysparzałem im tego rodzaju roboty, bardzo się o to na mnie gniewali.

Kolportowanie ulotek to jedno z najprostszych, najbardziej podstawowych, a zarazem najbardziej potrzebnych zadań, których wykonania podejmowali się wówczas uczestnicy antykomunistycznych organizacji młodzieżowych. Akcja ulotkowa była bowiem adresowana do najszerszych kręgów narodu; do zwykłych obywateli, którzy w tamtym trudnym czasie najbardziej chyba potrzebowali moralnego wsparcia i podtrzymania na duchu. Takie działania chroniły przed zwątpieniem, umacniały wiarę w to, że rzeczywiście „Jeszcze Polska nie zginęła”,

skoro są jeszcze ludzie gotowi się dla niej narażać i poświęcać. Ludzie z radością opowiadali sobie, że na murach Gdańska „dziś znów rozlepił ktoś ulotki przeciw komunie”. Nasze dziewczęta z klasy prawie codziennie, zwykle przed rozpoczęciem lekcji, relacjonowały z wypiekami na twarzach, jakie to fajne ulotki rozlepiono dziś na stacji Gdańsk Politechnika, np.: „Niech nam żyje Związek Radziecki! Ale nie za nasze pieniądze!”. To chyba musieli być studenci Politechniki. Pomyślałem sobie wtedy: Gdybyście, dziewczyny, wiedziały, jacy to byli studenci; ale tego się nigdy nie dowiecie.

Wiedzieliśmy już, że im krótsza, im bardziej dowcipna i zjadliwa była treść ulotki, tym bardziej podobała się ludziom, tym lepiej ją zapamiętywali. Musieliśmy zatem uznać w tym wypadku wyższość naszych nieznanym przyjaciół, których ulotki rozlepialiśmy. Ale z naszych wzniosłych i patetycznych ulotek też byliśmy dumni.

Rok później siedziałem już w więzieniu. Niekiedy nachodziła mnie więzienna melancholia, ciemna i paskudna. Wtedy zaczynałem myśleć o rozlepionych przeze mnie ulotkach. Dużo ich było. Mówiłem sobie: „A jednak warto było. Nie żałuję!”. I wracał znów dobry humor i to błogie poczucie, że napsuło się przez te ulotki sporo ubeckiej krwi.

* * *

Redagowanie i kolportowanie ulotek, czego podjęliśmy się z moimi kolegami szkolnymi, nie wyczerpywało całej mojej ówczesnej działalności wywrotowej. Z moimi przyjaciółmi z dzielnicy (Kolonie Jordana, Ochota, Praca) tworzyliśmy jeszcze inną grupę wywrotową, której też marzyła się walka z komuną. Główny trzon tej nowo powstającej organizacji stanowili młodzi robotnicy stoczniowi w wieku 18–20 lat – młodzieńcy o prawdziwie gorących i romantycznych głowach.

O ile jednak moi szkolni koledzy nie kwąpili się zbyt do tworzenia formalnej, zaprzysiężonej organizacji, to przyjaciele z Kolonii pragnęli przysięgi na krzyż. To bardziej zobowiązuje.

Podziemna Kolonia

Najpierw trzeba jednak było ustalić nazwę naszej nowej organizacji podziemnej. Nie było to proste zadanie. Padały bowiem liczne propozycje nazw gniewliwych, choć niezbyt poważnych, na przykład: Śmierć Komunie! Po długiej, burzliwej i nie zawsze eleganckiej dyskusji przystaliśmy wreszcie na nazwę naszym zdaniem najbardziej umiarkowaną: Podziemna Kolonia. Ta nazwa wydała nam się najbardziej odpowiednia, bo poważniejsza i mniej krzykliwa.

A więc Podziemna Kolonia. „Niech żyje Podziemna Kolonia!” Taki okrzyk wyrwał się ze wszystkich naszych gardel, nieco przemoczonych po ochrzczeniu naszej organizacji. Nawet ci, którzy najdłużej i najzjadlej obstawali przy nazwie Śmierć Komunie!, wołali teraz z entuzjazmem: „Niech żyje Podziemna Kolonia!”.

Z końcem września 1952 r. miało miejsce zaprzysiężenie członków podziemnej, antykomunistycznej organizacji młodzieżowej Podziemna Kolonia. Rotę przysięgi zaczerpnęliśmy w dużym stopniu z treści przysięgi akowskiej. Przysięgało nas wtedy pięciu. W późniejszym terminie zaprzysiężonych zostało dwóch kolegów z mojej szkoły. Razem więc przysięgę złożyło siedmiu „podziemnych kolonistów”. To byli ci, którzy mieli stanowić trzon, kadre przyszłej wielkiej organizacji. Zakładaliśmy, że nasza grupa powinna się szybko powiększyć. Byliśmy pełni wielkich nadziei.

Chętnych do złożenia przysięgi znalazłoby się z pewnością kilkakrotnie więcej, ale rozsądek i doświadczenie innych nakazywały nam daleko posuniętą ostrożność. Nie wolno dopuszczać do przysięgi osób poniżej 16 roku życia. Przede wszystkim należy jednak uważać, czy kandydat do zaprzysiężenia nie ma cech, które wykluczają go z jakiegokolwiek pracy konspiracyjnej, np. czy nie jest nieostrożnym gadułą, samochwałą, który chce się popisać przed kolegami, a zwłaszcza przed koleżankami. Taki osobnik łatwo spowoduje wyspę. Byliśmy więc powściągliwi w dopuszczaniu do zaprzysiężenia. Nasi koledzy z Kolonii, którzy z nami współpracowali w grupie, niektórzy bardzo aktywnie i z poświęceniem, ale z takich bądź innych powodów nie zostali dopuszczeni do przysięgi, na ogół nawet o niej nie wiedzieli. Niedaleka przyszłość pokazała, że działaliśmy słusznie – żaden z naszych niezaprzysiężonych kompanów nie został aresztowany.

Na naszym pierwszym walnym zebraniu dokonaliśmy jeszcze jednego ważnego dzieła – wybraliśmy dowódcę naszej organizacji. Właściwie była to formalność. Wszyscy wiedzieliśmy, że najlepszym kandydatem na to stanowisko był najstarszy z nas, Zygmunt – Kaszub z Kartuz, który tuż po wojnie przeniósł się z rodzicami do Gdańska. Był to chłop twardy, małomówny, roztropny, ale zarazem dziko odważny. Kochał Polskę na zabój. Jemu to przypadł zaszczyt odebrania naszej uroczystej przysięgi na wierność Bogu, Polsce i Organizacji.

Miał jednak pewne „skrzywienie”, pewną wadę typową dla ludzi naszego pokolenia – nam wszystkim walka o niepodległość Polski kojarzyła się nierozdzielnie z walką zbrojną (z powodu niedawno zakończonych działań wojennych). Tego rodzaju walka wydawała nam się wtedy najskuteczniejsza i najważniejsza, przeto wszystkie inne działania na rzecz niepodległości musiały zejść na dalszy plan.

Nic więc dziwnego, że od razu zarządził, byśmy poszukiwali i gromadzili broń, o którą wówczas nie było trudno. W ciągu niedługiego czasu udało nam się znaleźć w ruinach Gdańska 3 egzemplarze broni palnej w stosunkowo dobrym stanie: 1 karabin niemiecki sztucer, do niego 15 sztuk amunicji; 1 niemiecki PM sznaucer i zaledwie kilka sztuk amunicji oraz pierwszy niemiecki rewolwer parabellum – bez amunicji. Mieliśmy nadzieję, że amunicję da się jakoś zdobyć. Domyślaliśmy się, że była to broń porzucona przez uciekających Niemców.

Ponadto na polach przy naszych Koloniach wałało się wówczas mnóstwo pocisków artyleryjskich. Wszystkie jednego typu i jednego kalibru. Żołnierze sowieccy rozbili je wprawdzie dla bezpieczeństwa, tzn. powyjmowali z nich zapalniki, ale pociski na polach pozostały. Pod koniec wojny stała tam bateria niemieckich dział polowych – 3 armaty polowe kalibru 120 mm. Były to działa, z których Niemcy strzelali do zbliżających się od strony Stogów i Sobieszewa oddziałów sowieckich. Miejscowa ludność, która przeżywała końcówkę wojny na Koloniach, narzekała na tę niemiecką baterię. Nie dość bowiem, że ryczała ona po kilkanaście razy na dobę bez względu na porę dnia, to jeszcze prowokowała sowieckie lotnictwo do z reguły niecelnych ataków bombowych. Kilka bomb spadło na Kolonie, powodując ofiary śmiertelne wśród mieszkańców.

My jednak zainteresowaliśmy się owymi pociskami, z których każdy ważył po 25 kg. Uzbieraliśmy ich 20. Miały służyć do wysadzania w powietrze obiektów ważnych dla czerwonego okupanta, np. posterunków milicji czy placówek wojskowych, zwłaszcza sowieckich.

W owym czasie, jako uczeń dziewiątej klasy LO, bardzo interesowałem się chemią. Zainteresowanie to miało swe praktyczne podłoże i wynikało z mojej działalności konspiracyjnej. Zygmunt, nasz dowódca, nakazał mi bowiem, bym dorobił zapalniki do gromadzonych przez nas pocisków artyleryjskich. Mój ojciec, nieświadom tego, co robiłem, załatwił mi dostęp do laboratorium chemicznego na Politechnice Gdańskiej. Po tygodniu mieliśmy już kilkanaście min z zapalnikami mojej produkcji.

Pod koniec października 1952 r., późną nocą, poszliśmy do pobliskiego jaru wypróbować jedną z owych min. Efekt wybuchu był imponujący. Na najbliższym zebraniu Podziemnej Kolonii zostałem wyróżniony oficjalną pochwałą dowódcy.

Brakowało nam wówczas rozsądnego doradcy, który mógłby nadać naszemu działaniu, zwłaszcza grupie „kolonistów”, bardziej sensowny kierunek. Naszym największym marzeniem było nawiązanie kontaktu z „chłopcami z lasu”. Niestety, nie udało się nam. Dopiero w więzieniu, a zwłaszcza w Sztumie, spotkaliśmy się

z nimi, a nawet mieszkaliśmy w jednej celi. Peerelowskie sądy wojskowe z zasady skazywały ich na 15 lat więzienia lub na dożywocie, jeśli oczywiście udało im się uniknąć wyroku śmierci.

Ci żołnierze polskiego zbrojnego podziemia, z którymi zetknąłem się w więzieniu, trzymali się świetnie, zawsze mieli podniesioną głowę. Dla nas, młodych więźniów politycznych, byli wzorem wewnętrznej siły, spokoju i pogody ducha.

Mimo że marzyła nam się walka z orężem w rękę, na którą nie było już wtedy najmniejszych szans, to chyba jednak udało nam się w czasie naszej działalności konspiracyjnej uczynić coś naprawdę potrzebnego i pożytecznego. Mam tu na myśli szczególnie naszą akcję ulotkową, którą prowadziła przede wszystkim „grupa szkolna”, choć „koloniści” też czasem angażowali się w przygotowywanie i kolportaż ulotek, zwłaszcza gdy pojawiał się kontekst religijny. Członkowie organizacji Podziemna Kolonia byli w większości prostymi robotnikami stocznioowymi, którzy szczerze kochali Boga, Kościół i Polskę. Wszelkie przejawy prześladowania Kościoła przez komunę wywoływały u nich protest i oburzenie. Ich ulotki, którymi w okresie nasilającej się walki komuny przeciw Kościołowi obficie dekorowali mury stoczni, wyrażały protest przeciwko pokazowym procesom duchowieństwa, m.in. ks. bp. Kaczmarek, ks. bp. Baraniaka, o. Gurgacza (jezuity skazanego na śmierć), ks. Lelity i innych.

* * *

Inną, chyba też potrzebną i pożyteczną akcją, którą wtedy podejmowali „koloniści”, było zastraszanie i nękanie kolaborantów, denuncjatorów itp., których w owym smutnym czasie niestety nie brakowało. Wysługiwali się władzom komunistycznym w nadziei uzyskania osobistych korzyści, nie bacząc na krzywdę, którą wyrządzali innym.

Widocznie takie już są prawa socjologiczne, że w okresach trudnych, w czasach wojen, okupacji, totalitarnego terroru, pojawiają się różni hochsztaplerzy, mizantropi, różne ludzkie hieny, słowem: moralne pokraki, które usiłują zrobić interes na ludzkiej krzywdzie. Nie cofają się przy tym przed żadnym łajdactwem. Tak było w okresie okupacji hitlerowskiej, tak było i w czasach komuny.

W latach hitlerowskiej niewoli mądre władze Polskiego Państwa Podziemnego umiały z takimi moralnymi inwalidami postępować. Polacy dobrze wiedzieli, że jakakolwiek współpraca z okupantem grozi wyrokiem PPP. Podobnie było w czasach wczesnej komuny. Na tych terenach, gdzie wpływy miała partyzantka antykomunistyczna, a były to znaczne obszary naszego kraju, smutny był los kolaborantów i denuncjatorów.

W okolicach, gdzie mieszkaliśmy, zdarzały się niestety wypadki donosicielstwa, ze znaczną szkodą dla bliźnich. Był to dla nas bolesny i ważny problem. Wiedzieliśmy, że musimy w sprawie tej zadziałać i to jak najprędzej.

Mieliśmy na oku kilku szczególnie wyróżniających się osobników – zagorzałych miłośników PRL. Jeden z nich wydawał nam się bardziej od innych szkodliwy i niebezpieczny, bo był prymitywny. Na Kolonii nazywano go Zenkiem Dyplomatą, ponieważ marzył o tym, by Polska Ludowa zrobiła z niego dyplomatę. Najlepiej ambasadora. Nie byłaby to sprawa łatwa nawet dla Polski Ludowej, bo Zenek, mówiąc bardzo oględnie, bynajmniej nie wyróżniał się pod względem intelektualnym. Dwukrotnie podchodził do matury i dwukrotnie oblał. Wrodzoną tępotę postanowił przeto nadrobić służalczością i donosicielstwem. Wszedł więc w kontakt z ubekami, którzy nie omieszkali wykorzystać go jako tzw. pożytecznego idiotę. Kazali mu podpatrywać i podsłuchiwać, co robią i o czym mówią sąsiedzi. Sąsiedzi zaś mówili to, co większość uczciwych Polaków w owym czasie, że mają w nosie PRL i jej sowieckiego protektora z towarzyszem Stalinem na czele. Zenek miał więc pełne ręce roboty. Donosił skwapliwie na wszystkich, którzy wydawali mu się „ślugusami imperializmu” i „wrogami Polski Ludowej”. Wiele osób nacierpiało się przez niego. Wzywano je na przesłuchania, nękano, zastraszano. Zarzucano im przeważnie „sianie wrogiej propagandy” i „szkalowanie ZSSR” oraz grożono ciężkimi wyrokami. A Zenek w poczuciu bezkarności nawet nie ukrywał swojej działalności. Był więc powszechnie znienawidzony. Cierpiał chorobliwie, w sposób graniczący z patologią, na potrzebę bycia ważnym. Był już najwyższy czas, by go z tej choroby wyleczyć.

Zygmunt oświadczył, że zamierza wziąć to na siebie. W związku z tym wybrał spośród swoich kolegów stoczniowców dwóch chłopaków rośłych i silnych, lat około 20. Wtajemniczył ich w sprawę – że patriotyczny obowiązek wymaga, by obić twarz pewnemu donosicielowi, który ma na sumieniu wiele łajdactw. Jak było do przewidzenia, chłopcy podjęli się tego zadania chętnie i z entuzjazmem. Nie byli znani Zenkowi; nie istniała zatem obawa, że zostaną przez niego rozpoznani.

Ustaliliśmy, że w każdą sobotę, późnym wieczorem, około godziny 22.00 Zenek wraca ze szkoły wieczorowej, gdzie usiłuje zdać maturę. Wraca zaś stale tą samą trasą, przez las.

Był koniec listopada lub początek grudnia 1952 r., sobota. Trzech naszych chłopców wyszło na polowanie. Zygmunt schował się w lesie, by nie zostać rozpoznany. Dwaj jego koledzy ustawili się przy leśnej drodze i spokojnie

czekali na „dyplomatę”. Gdy się pojawił, podeszli do niego pomału, z fasonem. Jeden z nich zagadnął spokojnie: „Czy mamy zaszczyt z panem ambasadorem?”. Zenek wyczuł, co się święci. Zaskomlał płaczkliwie: „Panowie! Czego wy ode mnie chcecie?”. Jeden ze stoczniovców wcisnął mu w rękę kopertę z ulotką, którą pozostali członkowie Podziemnej Kolonii właśnie rozlepiali na murach i płotach swojej dzielnicy. „Schowaj to w kieszeń! Później sobie przeczytasz. Teraz mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Brzydkie rzeczy o tobie tu mówią, ty czerwony pająku”.

Zygmunt polecił swoim kolegom, by tak tłukli, aby pozostawić wyraźne ślady pobicia na twarzy. Najlepiej latarnie pod oczami. Chłopczy starali się wykonać polecenie jak najlepiej.

Po skończonej „rozmowie” stoczniovcy szarmancko podnieśli Zenka z ziemi, otrzepali z piasku, a jeden z nich kopnął go na odchodne w miejsce specjalnie do tego przeznaczone. „Jeśli, draniu, jeszcze raz coś złego o tobie usłyszymy, to smutny twój los. To, co dziś cię spotkało, to zaledwie niemowlęce kwilenie wobec tego, co cię czeka. Pamiętaj!”

Następnego dnia, już od rana na Kolonii zapanowało niezwykle ożywienie. Była niedziela. Ludzie całymi gromadami zatrzymywali się przed słupami i parkanami, na których wieczorem rozlepiliśmy nasze ulotki. Byli wyraźnie rozbawieni. Przed domem Zenka stała wielka grupa gapiów w nadziei, że uda im się ujrzeć jego oblicze „po zabiegu”.

Treść ulotki brzmiała mniej więcej tak:

SZANOWNI MIESZKAŃCY KOLONII!

Przyjrzyjcie się wnikliwie znanemu wszystkim Zenkowi P., pseudo: „dyplomata”. Bez trudu spostrzeżecie, że jego oblicze zostało wyraźnie zniekształcone. Otóż, jest to skutek kuracji mordoplastycznej, której go poddano. Zabieg został przeprowadzony sprawnie i z wielką precyzją.

Przy okazji informujemy wszystkich donosicieli, wazeliniarzy oraz wszystkich innych miłośników komuny, którzy działają na szkodę Narodu Polskiego, że także i oni mają wielką szansę na to, by i na nich ów wielce pożyteczny zabieg został przeprowadzony. Na pewno do nich przyjdziemy! Zabiegujemy całkowicie bezpłatnie!

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!”

Najbliższa przyszłość dowiodła, że wobec Zenka „kuracja” okazała się skuteczna. Już go więcej nie trzeba było pouczać.

Niestety, Zenek „dyplomata” nie był na Kolonii jedyną kanalią, która wprost domagała się „kuracji mordoplastycznej”. W kolejce do „zabiegu” ustawiło się jeszcze kilku innych. Ze względów praktycznych musieliśmy jednak zmienić metodę perswazji. Nie chcieliśmy już bowiem „zapraszać”, dla uniknięcia rozpoznania, „fachowców” spoza naszej organizacji. Tym razem postanowiliśmy udzielić pouczenia własnymi siłami.

Na naszej Kolonii mieszkał pewien miłośnik Polski Ludowej, szucha partyjna, Żyd z pochodzenia. Miał bardzo wysokie mniemanie o sobie. Naprzykrzał się ludziom swoją nadgorliwością w wysługiwaniu się komunie, strofował opornych, zastraszał, miotał obelgi przeciw Kościołowi, pomstował na żołnierzy AK, ubliżał ludziom wierzącym, znieślawiał historię Polski. W czasie którychś wyborów siedział w lokalu wyborczym, namiętnie agitując na rzecz socjalizmu oraz wyśpiewując panegiryki na cześć Związku Sowieckiego. Pewnego razu brutalnie rozpedził gromadkę dzieci modlących się pod krzyżem cmentarnym. Ten wybryk szczególnie zasmucił i rozgniewał mieszkańców naszej dzielnicy. Podziemna Kolonia stwierdziła więc, że koniecznie trzeba będzie udzielić komuchowi odpowiedniego pouczenia.

Zabraliśmy się do przygotowania pouczającej imprezy. Dowódca wyznaczył termin – następnego dnia, godzina 23.00. Przygotowaliśmy trochę ulotek. Edek miał je porozlepiać, jeszcze przed bombardowaniem, na domu i płocie winowajcy. Łobuz powinien wiedzieć, za co go dotknęło prześladowanie. Leszek i ja rozlepialiśmy ulotki po opłotkach Kolonii. Niech ludzie wiedzą, że złośliwego komucha spotkała zasłużona kara. I niech to będzie znakiem, że na przyszłość żadne draństwo takich łajdaków jak on nie ujdzie bezkarnie: Póki my żyjemy!

Około godz. 22.30 Edek poszedł wykonać swoją misję. Niestety, nie udało mu się spełnić jej do końca, ponieważ psy na podwórzu „skazanego” zaczęły ujadać. Po chwili szczekanie rozbrzmiewało już na całej Kolonii. Tego nie wzięliśmy pod uwagę. Edek ułakł się przedwczesnego alarmu i w pośpiechu zdążył nakleić tylko jedną ulotkę na drzwiach wejściowych.

Kilka minut przed 23.00 byliśmy już wszyscy na umówionym miejscu, przy kaplicy cmentarnej (cmentarz był po drugiej stronie drogi, dokładnie po przeciwnej stronie chałupy komucha). Psy wciąż zajadle szczekały. Nie było nam to na rękę. Zygmunt polecił nam wziąć ze sobą przynajmniej cztery większe kamienie, wielkości bułki. Sam wziął karabin, sztucer, lecz bynajmniej nie

po to, by kogokolwiek zabijać, ale by narobić huku, a przez to dodać powagi naszej „egzekucji”. Stanął w głębi cmentarza i czekał.

Na określony znak, w ciągu niespełna minuty, wyrzuciliśmy wszystkie przyniesione przez siebie kamienie. Prawie wszystkie były celne. Celowaliśmy zwłaszcza w ramy okienne. Gdy się w sposób odpowiedni trafi w ramę, wtedy od jednego rzutu wypadają wszystkie szyby z całego okna.

Gdy w głębokiej ciszy nocnej rozległ się niespodziewanie potworny brzęk wybijanych szyb, z domu wyskoczył sam winowajca z pistoletem w rękę. Był, pomimo jesiennego chłodu, w samej koszuli. Szukał atakujących, ale jego oczy nie przywykły jeszcze do ciemności. A my byliśmy już na cmentarzu, pod bezpieczną osłoną drzew. Wtem rozległ się donośny huk wystrzału karabinowego. Na ten odgłos nasz bohater w nadzwyczajnym pośpiechu schował się do chałupy, w której natychmiast pogasły wszystkie światła. Widocznie pomyślał, że to atak partyzantów. Zresztą nie on jeden tak pomyślał. Chyba wszyscy mieszkańcy Kolonii byli przekonani, że złożyli im wizytę „chłopczy i lasu”.

Następnego dnia rano na płotach i słupach Kolonii można było przeczytać ulotkę takiej mniej więcej treści:

SZANOWNI PAŃSTWO!

Dziś w nocy znanego Wam wszystkim pana W. – wielkiego miłośnika Polski Ludowej i gorliwego propagatora komuny spotkało nieszczęście. Oto z jego okien powypadały wszystkie szyby. I nic w tym dziwnego! Te szyby musiały powypadać, ponieważ pan W. jest człowiekiem bardzo nieostrożnym... Popętnia rzeczy, od których nie tylko wypadają szyby, ale i dom może spłonąć! A ma taki piękny drewniany domek. Przecież pan W. jako człowiek roztropny powinien wiedzieć, że nadgorliwość w wysługiwaniu się komunie wywołuje takie nieprzyjemne zjawiska, jak wypadanie szyb i sfajczenie się chałupy.

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!

Precz z komuną!

Niech żyje Niepodległa Polska!

Organizacja Niepodległościowa P.K.

Jeszcze dwa razy czuliśmy się zmuszeni do podjęcia akcji wybijania szyb kolaborantom i kapusiom. W uzasadnieniu na naszych ulotkach pisaliśmy, że był to odwet za wysługiwanie się komunie z krzywdą dla Polaków oraz za pohańbienie honoru Polaka.

Skutek tej naszej terrorystycznej działalności był z pewnością pozytywny. Odtąd kandydat na donosiiciela musiał się porządnie zastanowić, czy opłaca mu się narażać na wybite szyb lub nawet na spalenie domu za współpracę z okupantem. Myślę, że chyba także dzięki tej naszej działalności dzielnica nasza była w miarę wolna od jawnych kolaborantów.

Natomiast zwykłym mieszkańcom Kolonii nasze akcje represyjno-odwetowe wyraźnie dodawały otuchy i utwierdzały ich w nadziei, że rzeczywiście jeszcze Polska nie zginęła.

Pojawia się pytanie, czy przez naszą ówczesną działalność, która nosiła wszelkie znamiona przemocy i niewątpliwie pociągała za sobą ludzkie cierpienie, nie zaciągnęliśmy na nasze sumienia ciężkiej winy moralnej. Przyznaję, że ja osobiście nie miałem nigdy z tego powodu poważniejszych wyrzutów. Co prawda mój udział w owych akcjach wywrotowych nie był zbyt duży – byłem najmłodszy spośród uczestników, a moje zadanie polegało na redagowaniu i rozklejaniu ulotek, które wyjaśniały przyczynę represji. Były więc jakby aktem oskarżenia, a zarazem przestrożą.

Nigdy nie miałem najmniejszych wątpliwości, że nasze postępowanie było słuszne. Naród ciemiężony ma prawo, a nawet obowiązek bronić się przed przemocą i niesprawiedliwością. Byłoby aktem tchórzostwa i niezdrowej bierności, gdyby Polacy pozwalali się bezkarnie krzywdzić, okradać i poniżać. Mogłem co najwyżej ubolewać nad tym, że nie było mi dane żyć w uczciwszych czasach, że wraz z moim pokoleniem rodaków zobowiązany byłem, jak każdy uczciwy syn narodu, stanąć do walki o niepodległość Polski. Dziś dumny jestem z tego, że było nas wtedy tak wielu, którzy nie dali się zwieść bezbożnej propagandzie kłamstwa i obłudy.

Ostatnie dni wolności

W działalność organizacyjną Podziemnej Kolonii zaangażowałem się jako uczeń LO w Brzeźnie, ale mimo to nie miałem większych problemów z nauką. Szczególnie interesowały mnie chemia i historia. Zając w szkole było dużo, mimo to od czasu do czasu staraliśmy się rzucić na miasto jakieś ulotki.

Na naszych profesorów nie mogliśmy narzekać. Nie było wśród nich ani natrętnych agitatorów komunistycznych, ani cynicznych wazeliniarzy. Większość z nich to uczciwi chrześcijanie oraz wierni swej tradycji narodowej Polacy. O niektórych wręcz baliśmy się, by nie spotkały ich represje za szczerość w wyrażaniu poglądów. Przykładowo profesor od historii przedstawił nam dzieje bitwy warszawskiej, szczerze i bez owijania w bawełnę – jako wielki triumf oręża polskiego nad bolszewizmem. Pani profesor od polskiego zaś poddała ciekawej

analizie literackiej naszą kolędę *Bóg się rodzi*, co oczywiście nie mogło wchodzić w zakres ówczesnego programu szkolnego. Czuliśmy wielki szacunek dla naszych odważnych profesorów.

Raz w tygodniu przychodził do nas ksiądz z katechezą. Na razie nikt nam nie przeszkadzał w modlitwie, którą wszyscy odmawialiśmy regularnie przed lekcjami i po nich.

Tak było do końca 1952 r. Nadszedł jednak styczeń roku 1953. Wyczuwało się w całym kraju, że komuna przygotowuje zaostrożenie kursu ideologicznego. Doświadczaliśmy tego i w naszej szkole. Najpierw zwołano zebranie ogólnoskolne, na którym pojawiła się maturzystka, przewodnicząca szkolnego koła ZMP. Dotąd nawet nie wiedzieliśmy, że ktoś w naszej szkole taką funkcję sprawuje. Oświadczyła, że odtąd każdy uczeń naszej szkoły powinien należeć do ZMP. Od razu też zabrała się do tworzenia, a właściwie do odtwarzania, klasowych kół tej organizacji. Koła te wegetowały dotąd w stanie nieomal całkowitego uspienia. Cała ta wytężona praca organizacyjna dokonywała się w obecności dyrektora szkoły oraz wychowawców poszczególnych klas. Komunie najwidoczniej bardzo zależało na tym, aby jak najprędzej i jak najskuteczniej zideologizować polską młodzież.

Zrobiło mi się smutno i gniewnie.

Nie chciałem należeć do ZMP. To była organizacja całkowicie mi obca. Nie pojmowałem, dlaczego chciano mnie do niej wtłoczyć na siłę. Pomodliłem się serdecznie do Matki Bożej Królowej Polski, bym nigdy nie zhańbił się udziałem w ateistycznej, antypolskiej organizacji. Zostałem wysłuchany.

Na walnym zebraniu dokonano wyboru przewodniczących poszczególnych kół klasowych ZMP. Wyraźnie było widać, że kandydaci na te stanowiska byli już z góry upatrzani. Na przewodniczącego koła w naszej klasie został wybrany niejaki Robert R., ten sam, który najprawdopodobniej doniósł do partyjnych władz szkoły na panią Kasię od rosyjskiego.

Robert R. to była w ogóle zagadkowa postać. Całkowicie oddany sprawie budowy socjalizmu, zaprzysiężony zwolennik przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, słabo mówił po polsku. Najwyraźniej nie był to jego język ojczysty. Robert prawdopodobnie uważał się za Niemca – ostentacyjnie unikał towarzystwa polskich kolegów, ciążył za to ku podobnym sobie krypto-Germanom. A takich było wówczas w Gdańsku niemało. Oficjalnie nazywano ich autochtonami, my natomiast zwaliśmy ich po prostu Adolfkami. Byli to ci, którym udało się jakoś wymigać od przymusowego wysiedlenia do Reichu. Chroniły ich polskie nazwiska. Często też, by nie dać się wysiedlić, dorabiali sobie do niemieckich

nazwisk polskie końcówki. W ten sposób pojawiali się Tisznerowscy, Egertowscy, Szyrmerowscy itp. Nie kwapili się zbyt do uczenia się języka polskiego. W swoim gronie mówili z reguły po niemiecku. Gdy w 1959 r. wstępowałem do zakonu, nasza sąsiadka o pięknie brzmiącym polskim nazwisku chełpiła się, że w życiu swoim nie wypowiedziała ani jednego polskiego słowa.

Gdy zaś taki autochton zdobył się na to, by przemówić po polsku, od razu zdradzało go typowo niemieckie gardłowe „r”. Dbali przy tym, aby przypadkiem nie utracić owego cennego, pruskiego śladu w ich polskiej wymowie.

Wydaje mi się, że wspólną cechą naszych Adolfków było to, że bez skrupułów i znacznie chętniej od nas zapisywali się do ZMP, podobnie zresztą, jak ich tatusiowie bez skrupułów wstępowali w szeregi PZPR. Czy ta ich miłość do komunistycznych organizacji była szczerą, czy była tylko jakąś grą polityczną? Nie umiem powiedzieć.

Przy okazji rozważań o gdańskich autochtonach, warto też poświęcić kilka zdań Kaszubom. Nie wolno przede wszystkim mylić jednych i drugich. Wśród mieszkających w Gdańsku Kaszubów miałem wielu serdecznych przyjaciół, którzy nigdy nie mieli wątpliwości, czy są Polakami, czy może członkami jakiegoś mitycznego, germańskiego Kaszuben-Folku – jak im to wmawiali niemieccy germanizatorzy. Z dwoma z nich działałem w polskiej organizacji patriotycznej Podziemna Kolonia, a później przez kilka lat siedziałem z nimi w więzieniu za Polskę.

Kaszubi bardzo przeżywali, że nie tylko repatrianci zza Bugu, którzy mieli ostatecznie prawo nie orientować się stosunkach etnicznych panujących w tym zakątku Polski, ale również władza komunistyczna uważała ich za niemieckich niedobitków. Gdy niekiedy dochodziło do bardziej ożywionej dyskusji z tymi, którzy wątpili w ich polskość, Kaszubi argumentowali: „Myśmy się bardziej nacierpieli za Polskę niż wy”. I mieli rację. Oni są rdzenną ludnością tych ziem, autochtoni raczej napływową z Prus. Setki lat żyli pod niemieckim panowaniem i ostatecznie obronili swą polskość. Pozostali wierni Polsce. Pięknie wyraża to ich hymn: „Nie ma Kaszub bez Polonii, a bez Kaszub Polści”.

Nie spotkałem wśród swych kaszubskich przyjaciół nikogo, kto dobrze wspominałby czasy hitlerowskie. Trzebiatowscy, Styprekowscy, Pałubiccy, to nie tylko polskie nazwiska, ale i polskie serca. Dla mnie żywym symbolem polskości na zawsze pozostanie ks. Hilary Jastak – król Kaszubów.

Natomiast wśród autochtonów nierzadko spotykało się osoby, które wprost tęskniły za Hitlerem i z wielkim trudem udawało im się skrywać zagorzałą niechęć do Polaków. Oto przykład: zdarzyło się kiedyś, że szło sobie ulicą trzech

Adolfków i prowokacyjnie wyśpiewywało hitlerowskie pieśni. Gdy mijali dwie polskie dziewczyny, jedna z nich wpadła w gniew i zaczęła torbą okładać owych „śpiewaków norymberskich”. Swoją drogą ciekawe, jakie koszarne wspomnienia spowodowały u niej taką reakcję? Jeden z owych lancknechtów usiłował uderzyć dziewczynę. Zgiełk usłyszeli maturzyści wracający ze szkoły. Szybko przybiegli na miejsce. Położyli teczki szkolne na chodniku zabrali się do „perswadowania” Adolfkom, że nie powinni bić koleżanek oraz że absolutnie nie należy śpiewać publicznie hitlerowskich szlagierów w rodzaju *Die Fahne hoch*. Tę solidną pokazową lekcję mordoplastyki Adolfkowie przyjęli z głębokim zrozumieniem.

Tymczasem wielkimi krokami zbliżał się dzień mojego wielkiego, życiowego przełomu.

* * *

Była połowa stycznia 1953 r. Po przybyciu do szkoły chcieliśmy jak zwykle zmówić przed lekcjami poranną modlitwę. Drzwi od klasy, zgodnie ze zwyczajem, były uchylone, by pani profesor mogła w naszej modlitwie uczestniczyć. W klasie nie wolno jej było wówczas przebywać.

Modlitwę w naszej klasie na rozpoczęcie i na zakończenie lekcji prowadziła z naszego nadania Helcia, wilnianka, wójtowa naszej klasy. Była to inteligentna, wesola i urodziwa dziewczyna o nieposzlakowanej reputacji. W Helci podkochiwała się zapewne większa część męskiej połowy klasy. Przyznam się, że ja też troszeczkę.

Owego dnia, gdy nadszedł czas na modlitwę, Helcia jak zwykle wyszła przed klasę, zwróciła się w stronę krzyża i rozpoczęła: „Ojcze nasz...”. Reszta podchwyciła „... któryś jest w niebie...”. Wtem wybiegł ze swej ławki Robert, ów nowo upieczony przewodniczący klasowego koła ZMP i zaczął histerycznie wrzeszczeć łamaną polszczyzną: „Przehrwać modlitwę! Przehrwać modlitwę!... Zaśpiewamy teraz hymn młodzieży demokratycznej”. Skrzekliwym głosem zaczął wyśpiewywać: „Naprzód młodzieży świata...”. Nikt nie przerwał modlitwy, nikt wrażej pieśni nie podchwycił. Dopiero po skończonej modlitwie zrobił się w klasie straszny gwar i zamieszanie. Posypały się pod adresem Adolfka komunisty różne obelgi. Podeszedłem do niego i ostrzegłem stanowczo, ale spokojnie, choć byłem bardzo wzburzony: „Jeszcze raz przeszkodzisz nam w modlitwie, ty draniu, to ci skuję oblicze!”. „Kolego Shroka – zaskrzeczal zetempowiec – phroszę mi nie ghozici!” „Jaki ja ci kolega, pajacu? Psu powiedz, żeś jego kolegą, to się może ucieszysz. I przyjmij do wiadomości – ja ci nie grozę. Ja cię tylko ostrzegam”.

W napięciu czekałem na koniec lekcji. Czy zetempowiec powtórzy swój poranny numer? Jeśli powtórzy, to i ja będę zmuszony spełnić swą groźbę. Nie chciałem tego. Wszelkiego rodzaju burdy i mordobicia nie leżały w mojej naturze. Wiedziałem jednak, że nie mogę ustąpić. To ma być znak protestu przeciw komunistycznemu zamachowi na modlitwę.

Niestety... Powtórzył. Gdy pod przewodnictwem Helci klasa rozpoczęła modlitwę, on znów zaskrzeczał: „Naprzód młodzieży świata...”. Po skończonej modlitwie podbiegłem do niego. Wciąż jeszcze śpiewał swoją smętną, ponurą, komunistyczną masówkę. Złapałem go mocno, bardzo mocno za kłapy i potrząsałem ze wszystkich sił. Na odchodne chciałem mu jeszcze powiedzieć coś dosadnego, ale i tak by nie usłyszał, taki zrobił się hałas. Dziewczęta prawie z płaczem pytały jedna przez drugą, dlaczego on nam przeszkadza w modlitwie. Czemu nie chce uszanować wolności religijnej, zagwarantowanej przecież w konstytucji? Chłopcy natomiast zaczęli rzucać w kumucha obelgami. W tej dziedzinie byli mistrzami. Wszyscy byliśmy rozjuszeni i wściekli.

Uznałem swoją misję za spełnioną i to w sposób możliwie najbardziej dżentelmeński, czyli bez drastycznego mordobicia. Postanowiłem pójść do domu. Podchodziłem właśnie do wieszaka z ubraniami, gdy nagle pacnęło mnie coś w tył głowy. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem Roberta w postawie bojowej, to znaczy z przesadnie rozkraczonymi nogami i z pięściami złożonymi do walki. Któryś z kolegów krzyknął nań pogardliwie: „Ty...! Za bicie w tył głowy należy ci się dyskwalifikacja!”. To był odruch. Wyrznąłem walecznego boksera z całej siły w policzek otwartą dłońią, by nie zostawiać zbyt wyraźnych śladów. Wpadł pod stół profesorski. Nie było czasu na moralne deliberacje. W klasie powstał ryk jak na meczu bokserskim: „Złamał mu kręgosłup! Odgryź mu nos! Wyrwij mu ucho!”.

I wtedy zdarzyło się coś, co wspominałem odtąd zawsze ze wzruszeniem. Oto podeszła do mnie Helcia. Położyła rękę na mojej dłoni, jeszcze drżącej, jeszcze zwiniętej w pięść, i krzyknęła mi do ucha: „Broniu! Jesteś Old Shatterhand! Należała mu się porządna nauczka. Dobrze, że znalazł się ktoś, kogo stać było na to, by mu jej udzielić. Teraz daj już spokój. Bardzo bym nie chciała, aby nam ciebie zabrali”.

Tydzień później i tak mnie zabrali, choć z całkowicie innego powodu.

Pod stołem wciąż jeszcze leżał przewodniczący klasowego koła Związku Młodzieży Polskiej. Jego twarz wykrzywił grymas płaczu. Tego się nie spodziewałem. Zrobiło mi się go żal.

Podczas naszej walki w otwartych drzwiach klasy stała jedna z pań profeserek, bardzo zacna kobieta, i bacznie obserwowała całe wydarzenie. Okazało się wkrótce, że była to dla mnie okoliczność nad wyraz korzystna.

Następnego dnia rano do szkoły przyszła pani R., matka Roberta. Doniesiono mi, że chce się ze mną widzieć. Początkowo bałem się tego spotkania. Chciałem się gdzieś ukryć. Nie byłem zbyt śmiały ani wygadany. Wziąłem się jednak w garść. Podczas przerwy podszedłem do niej i przedstawiłem się: „Słyszałem, że mnie pani poszukuje. Nazywam się Bronisław Sroka”. Pani R. też była autochtonką. Świadczyła o tym jej wymowa. Spojrzała na mnie smutno, ale bez gniewu: „Czemu pobiełeś mego syna? Czy on ci coś złego zrobił?”. Zapowietrzyło mnie. Zacząłem coś stękać, że nie tylko mnie wyrządził zło, ale całej naszej klasie, bo jako przewodniczący koła ZMP przeszkadza nam w modlitwie. Ufff! Co tu jeszcze powiedzieć? Spocilem się. Wtedy przyszła odsiecz. Wspaniały sojusznik nie do pokonania – Helcia. „Proszę pani! Pani syn przeszkadza nam w spełnianiu naszych praktyk religijnych. Czujemy się katolikami, a on...” Tu nastąpiła długa litania zdań wypowiedzianych szybko, w czupurnej tonacji, z których wynikało, że zdaniem Helci żadna partia, żadne ZMP nie powinny mieć nic do gadania w religijnych sprawach uczniów.

Gdy pani R. udało się wreszcie znaleźć drobną przerwę w potoku słów płynących z ust Helci, powiedziała do nas spokojnie, choć ze smutkiem i jakby z nutką życzliwości w głosie: „Że syn mój należy do ZMP, o tym wiedziałam. Wiedziałam także, że się angażuje w działalność swojej organizacji, ale tego się nie spodziewałam, że walczy z religią. Nie mam do was żalu. Zostańcie z Bogiem!”.

Skloniłem się głęboko.

Kiedy po dzwonku wracaliśmy z Helcią do klasy, podziękowałem jej za wsparcie. Ona jakby w zamyśleniu stwierdziła: „Popatrz. Ciekawa sprawa. Pani R. wyraźnie nie popiera antyreligijnych postępów swego syna. Chyba i tobie nie ma za złe, żeś w obronie modlitwy go poturbował. Wynika to wyraźnie z jej wypowiedzi. Patrz, jakie życie jest skomplikowane: »Syn wystąpi przeciw matce, a matka przeciw synowi«”.

* * *

Kilka dni później, jeszcze w tym samym tygodniu, dyrektor na żądanie przewodniczącej szkolnego koła ZMP zarządził wielki spęd wszystkich nauczycieli i uczniów naszej szkoły. Najpierw poruszono kilka aktualnych problemów dotyczących życia szkolnego. Następnie przyszedł czas na omówienie zasadniczego celu spotkania. Głos przejęła zetempówka. Rozpoczęła od uroczystej,

oskarżycielskiej tonacji: „Kilka dni temu miało miejsce w naszej szkole oburzające wydarzenie, które musi zostać publicznie napiętnowane. Oto uczeń klasy dziewiątej, niejaki Bronisław Sroka, pobił dotkliwie przewodniczącego szkolnego koła naszej organizacji, gdy ten przystępował właśnie do spełnienia swego zetempowskiego obowiązku, czyli do odśpiewania hymnu młodzieży demokratycznej. Był to nie tylko wybryk chuligański, lecz ponadto akt nienawiści wobec naszego socjalistycznego ustroju. Przez ten czyn Sroka zdemaskował się jako zdeklarowany, nieprzejednany wróg klasowy i sługus imperializmu, jako przeciwnik budowy socjalizmu w naszym kraju”.

Jeszcze przez dobrych parę minut w największej sali naszej szkoły pobrzmiewały takie i tym podobne slogany komunistyczne, którymi zarzucano wówczas Polaków. Ów bezduszny i tępy język propagandy stalinowskiej był dla ówczesnych mieszkańców naszego kraju prawdziwą zmorą i torturą psychiczną.

Wreszcie koleżanka przewodnicząca, wyraźnie zadowolona z siebie, przeszła do konkluzji: „Domagam się, zatem, aby Sroka, uczeń klasy dziewiątej, za swój niecny czyn o wyraźnym podłożu antysocjalistycznym, został usunięty spośród grona uczniów naszej szkoły, jako element całkowicie obcy ideowo”.

A to ci dopiero. I gdzie ja się teraz podzieję?

Całej tej skierowanej przeciwko mnie mowy oskarżycielskiej słuchałem z całkowitą obojętnością. Byłem przekonany, że bijąc w gębę Roberta R., postąpiłem słusznie. Gdyby mi przyszło „ów, niecny czyn, o wyraźnym podłożu antysocjalistycznym” powtórzyć jeszcze dziesięć razy, nie zawahałbym się.

Następnie głos zabrała pani profesor, ta, która owego pamiętnego dnia stała w otwartych drzwiach klasy: „Chcę powiedzieć parę słów jako naoczny świadek całego wydarzenia. Otóż, z tego, co widziałam, niedwuznacznie wynika, że agresorem nie był bynajmniej uczeń Bronisław Sroka. On został wyraźnie sprowokowany”. Pani profesor w krótkich i jasnych słowach opowiedziała to, co wtedy zobaczyła. Czulem się naprawdę nieswojo, ta zacna kobieta naraża się oto z mego powodu na Bóg wie jakie tarapaty. W tej chwili modliłem się nie za siebie, lecz za nią. Do kontrataku ruszyła teraz zetempówka. Poczęła srożyć się okrutnie, że nawet wśród grona profesorskiego nie ma jednolitego stanowiska ideowego. Ale tu z odsieczą przyszła cała sala. Z różnych miejsc zaczęły dobiegać odgłosy zniecierpliwienia, stęknienia, głośne, zbyt głośne ziewanie itp. Wreszcie któryś z profesorów wprost zawołał: „Skończmy już z tą farsą! Chcemy iść do domu”. I rzeczywiście, zebrani bez żadnego oficjalnego zakończenia zaczęli się rozchodzić, każdy w swoim kierunku. Zetempówka nie śmiała protestować. Dyrektor na koniec podał jeszcze coś do publicznej wiadomości, a następnie

podszedł do mnie. Mimo że był partyjny, nie robił mi większych wymówek. Na moje pytanie, czy mam nadal przychodzić do szkoły, odpowiedział: „Dopóki nie otrzymam na twój temat konkretnych wskazówek, przychodź dalej”.

Przychodziłem więc jeszcze przez tydzień. Potem nastąpiła wielka wsypa Podziemnej Kolonii. Nie zdołałem się już nigdy dowiedzieć, czy usunięto by mnie ze szkoły, czy może raczej uznano by mój „niecny czyn o wyraźnie antysocjalistycznym podłożu” za chuligański wybryk, godny co najwyżej napiętnowania. Jedno wiedziałem na pewno i czułem to wyraźnie – sympatia zarówno moich szkolnych kolegów, jak i profesorów była po mojej stronie.

Aresztowanie i UB

Do dziś nie wiemy, jak doszło do naszej dekonspiracji. Czy ktoś na nas doniósł? Mieliśmy różne podejrzenia, różne teorie, ale nie wyłaniał się z nich spójny obraz.

Było to 2 lutego 1953 r., w święto Matki Bożej Gromnicznej. Wieczorem poszedłem na mszę św. Wziąłem ze sobą książeczkę do nabożeństwa, powszechnie znany wówczas wśród katolików polskich *Mój mszalik niedzielny*, wydrukowany w dużej liczbie podczas wojny przez polonię chicagowską, przede wszystkim dla polskiego wojska. Jeden egzemplarz mam do dziś. Miałem przy sobie różaniec; od niedawna zacząłem go odmawiać pod wpływem Marysi, mojej serdecznej przyjaciółki z pastwiska.

Wróciłem z kościoła z silnym bólem zęba. Zmęczony bólem, położyłem się na chwilę do łóżka.

Była godzina 21.00. Ktoś zapukał do drzwi. Weszło dwóch facetów o mocno podejrzanym wyglądzie. Mówiono o takich, że za sam wygląd – pięć lat więzienia. Poprosili mnie, bym poszedł z nimi na komisariat, bo trzeba wyjaśnić sprawę kradzieży jakiejś pietruszki. Żartownisie. Sprawa się wyjaśni, a ja zaraz wrócę do domu. Dobrze, że rodziców nie było przy tej rozmowie.

Cały czas mówili mi per ty. Nie protestowałem, bo ludziom w tym wieku nie mówi się jeszcze per pan. Nie miałem najmniejszego zamiaru iść z nimi, by wyjaśniać jakąś tajemniczą sprawę pietruszki. Powiedziałem, że mnie żadna pietruszka nie interesuje, mamy jej w naszym ogródku pod dostatkiem. A mnie ząb boli, więc nigdzie nie pójde. Oni na to: „W takim razie będziemy zmuszeni użyć przemocy”. Pomyślałem, że oto sprawdzają się moje najczarniejsze obawy. By nie niepokoić rodziców, którzy w swoim pokoju właśnie układali się do snu i by nie wszczynać awantury z ubekami, zaniechałam dalszego oporu. Włożyłem zimową kurtkę, tę, w której byłem w kościele, pożegnałem się z niczego złego

niepodejrzewającymi rodzicami, mówiąc im, że muszę wyjść, ale zaraz wrócę, i wyszedłem.

Wróciłem dopiero za dwa i pół roku.

* * *

I w ten oto sposób znalazłem się w słynnym wówczas na całą Polskę gmachu Urzędu Bezpieczeństwa publicznego na ulicy Okopowej 9 w Gdańsku.

Miałem tu spędzić trzy koszmarne miesiące mojego życia.

Dwaj funkcjonariusze dostarczyli mnie przed oblicze jakiegoś jegomościa o ponurym obliczu. Ten spojrział na mnie z uwagą i na powitanie wypowiedział wspomniane na początku książki słowa: „I znowu smarkacz. Co to się porobiło z tą polską młodzieżą, że drzwiami i oknami wciska się do więzienia?”

Okazało się niebawem, że był to jeden z moich dwóch śledczych, którzy do dziś śnią mi się po nocach, gdy kładę się do łóżka ze zbyt pełnym żołądkiem. Spisał moje dane personalne, zadał kilka mało istotnych pytań, a potem zaczął się ubierać do wyjścia. Na odchodne wygłosił jeszcze uroczystym tonem piękną brzmiącą sentencję: „Widzisz, synu, Polska Ludowa wykarmiła cię własną piersią, dbała o ciebie jak dobra matka, posyłała do szkoły, a ty teraz podnosisz na nią swoją plugawą rękę”. Wskazał mi jeszcze podłogę przykrytą dywanem i rzekł: „Prześpij się tu do rana”.

Położyłem się więc na podłodze i próbowałem zasnąć. Jeszcze przez chwilę myślałem o wydarzeniach minionego wieczoru. Czego można się spodziewać po tym ubeku, którego miałem dziś wątpliwe szczęście poznać? Intuicja podpowiadała mi, że niczego dobrego – słusznie, jak się niebawem okazało. Na razie jednak nie miałem większych podstaw do narzekania. Pierwsze wrażenie było lepsze, niż się spodziewałem. Nikt mnie nie bił, nie ubliżał mi, spytano mnie nawet, czy mam ochotę zjeść kolację.

Zasnąłem.

Rano obudziło mnie silne kopnięcie w zadek. Przerażony, otworzyłem oczy. Na ubeckim zegarze ściennym była godzina 7.00. Nade mną stał mój znajomy z wczorajszego wieczoru. Był wściekły i groźny. Bluzgał. Dziś nie był już skłonny do wygłaszania sentymentalnych sloganów o zatroskanej matce – Polsce Ludowej. W pewnej chwili wrzasnął na mnie: „Ty wrogu klasowy! Ty sługusie czarnej reakcji! Co to za bajeczki opowiadałeś mi wczoraj, że nie posiadaliście broni?”. Uderzył mnie mocno w twarz.

Pomyślałem: „Skąd ta nagła zmiana w postawie ubeka?”. Wnet jednak zrozumiałem. Otóż minionego wieczora najprawdopodobniej aresztowano całą naszą

Podziemną Kolonię. Wszyscy moi koledzy, podobnie jak ja, zostali poddani wstępnemu przesłuchaniu, z którego mogło jeszcze nic nie wynikać. Już kilka tygodni temu umówiliśmy się, jak zeznawać w razie wyspy. Przede wszystkim nic nie gadać o broni, nic o naszych akcjach represyjnych wobec kolaborantów, ani słowa o kontaktach Podziemnej Kolonii z uczniami IV LO. Gdybyśmy wszyscy trzymali się tego, ubectwo nie miałoby podstaw, by nas przetrzymywać w areszcie. Musieliby nas zwolnić. Ubekom, podobnie zresztą, jak i wszystkim innym politycznym łotrom, zawsze zależy na tym, aby w oczach społeczeństwa cieszyć się nienaganną opinią. Pragnęli za wszelką cenę ukrywać swoje łajdactwa. Dlatego tak dbali o to, by zwalniani przez nich po kilku dniach delikwent nie wynosił z aresztu zbyt koszmarnych wspomnień.

Niestety, któryś z naszych kolegów zaczął śpiewać nie na tę melodię, co potrzeba. Sygnęła się przede wszystkim sprawa broni, za której posiadanie groziło na pewno kilka lat więzienia. Śledczy zrozumiał więc, że sprawa jest przesądzona. Prędko z więzienia nie wyjdziemy. Nie trzeba się zatem liczyć z jakąś tam dobrą opinią. Teraz może już do woli ubliżać, bić po głbie, torturować. Jesteśmy w jego mocy.

Zanim jednak zdążył w pełni skorzystać ze swoich ubeckich uprawnień, w pokoju, w którym przebywałem, i w którym miałem spędzić dwa najbardziej koszarne dni mego życia, rozegrała się scena rodem niby z taniego, podwórkowego kabaretu. Oto około godziny 10.00 rano weszło do pokoju trzech ubeków, wszyscy zapewne w „stanie wskazującym”. Podeszli do stojącego na środku okrągłego stolika, nakryli go płótnem i powiedzieli patetycznym tonem: „Młodzieńcze, staniesz się teraz sławny na całą Polskę. To zdjęcie, które zaraz wykonamy, ukaże się wkrótce we wszystkich ważniejszych gazetach”. Położyli na stoliku znaną przy mnie w czasie rewizji książeczkę do nabożeństwa i różaniec, a obok zaś pistolet, który znaleźli przy Zygumncie. Jeden z ubeków zawołał: „No, jak ci się podoba taki zestaw. Jesteś pobożny łotr, jesteś świątobliwy bandzior!”. Drugi dodał: „O, bandzior to z niego jest nie lada! Świadczy o tym choćby to, że na oczach całej klasy pobił przewodniczącego klasowego koła ZMP”. „Na oczach całej klasy? A co na to klasa? Co na to delikatne, dobrze wychowane panienki o wrażliwych serduszkach? Pozwoliły ci bić kolegę? Nie zakrzyrzały cię?” Pytanie było skierowane bezpośrednio do mnie, więc postanowiłem na nie odpowiedzieć. Świadomie wszedłem w nastrój rozbawienia, który narzucili pijani ubecy. Z największą powagą w głosie odrzekłem: „Dziewczeta owszem, wołały do mnie, ale nie to, czego byście panowie oczekiwali”. „No, i cóż one takiego wołały?” „Otóż, wołały: Broniu! Nie bij go zbyt mocno, bo

się spocisz, a na dworze jest mróz. Jeszcze nam się przeziębisz!” „Patrzcie! Ten dewot nie wykazuje żadnej skruchy. I co? Nie masz wyrzutów sumienia, że pobiłeś porządnego człowieka?” „Jakiego porządnego człowieka? – zapytałem oburzony. – Porządny człowiek nie przeszkadzałby kolegom w modlitwie. Dlatego, zapewniam, nie mam żadnych wyrzutów sumienia”.

Ubekom najwyraźniej przypadła do gustu ta nasza rozmowa. Zrobili zdjęcie, a może tylko udawali, że robią, i przyrzekli, że skoro tylko się ukaże w gazecie, przyniosą mi pokazać. Nie przynieśli, bo zdjęcie nigdy się nie ukazało.

Miesiąc później nie miałbym już ochoty wdawać się w taką rozmowę z ubekami.

* * *

Około 14.00 pojawił się mój śledczy. Chwilę później wszedł jeszcze drugi ubek. Kazali mi usiąść na okrągłym stołku. Nie spodziewałem się, że będę musiał na nim przesiedzieć prawie bez przerwy pełne dwie doby. Dziękuję Bogu, że mogłem z niego zejść o własnych siłach.

Rozpoczęło się typowe ubeckie przesłuchanie. Przechodził przez nie niemal każdy ówczesny więzień polityczny. Moi śledczy zmieniali się w ciągu tego czasu sześć razy, czyli co osiem godzin. Okrucieństwo tego przesłuchania polegało przede wszystkim na tym, że nie wolno było spać ani się zdrzemnąć, choćby przez chwilę. Gdy ktoś, nieludzko zmęczony, zasypiał na stołku, uderzano go silnie w czoło, aż głowa podskakiwała. Albo, co gorsza, wykopywano mu stołek spod siedzenia. Wtedy człowiek walił całym ciężarem swego ciała o ziemię, przez chwilę zupełnie nie wiedząc, co się dzieje. Ogarniało go przerażenie.

Podczas całego takiego przesłuchania bito i wyrzaskiwano nad głową różne groźby i wyzwiska. Zadawano szereg zupełnie niepotrzebnych pytań. Te same pytania powtarzano po wielokroć. Robiono to świadomie. Chodziło o to, by przesłuchiwanego zmęczyć, by doprowadzić go do stanu, kiedy przestaje kontrolować, co mówi. Nic więc dziwnego, że wielu z tych, którzy zostali poddani tego rodzaju torturom, załamywało się psychicznie. Krzyczeli później po nocach, nieprzytomni i przerażeni, psując przez to nerwy śpiącym towarzyszom niedoli. W areszcie śledczym często słychać było takie przeraźliwe wycia, nawet po kilka razy w ciągu nocy.

Mnie również bito i torturowano psychicznie. Po latach zdałem sobie jednak sprawę z tego, że ze względu na mój młody wiek obchodzono się ze mną łagodniej niż ze starszymi więźniami politycznymi. Im wbijano igły za paznokcie, miażdżono palce, rozdrapywano rany, które mieli po wcześniejszych przesłuchaniach,

kopano ciężkim butem w golenie. Mnie kilkakrotnie mocno pobito po plecach i po głowie gumową pałką policyjną. Na plecach pozostały sine pręgi, na głowie zaś potężny guz grubości palca. Sieczono mnie także półmetrową linijką. Kiedy przeciągnięto mnie nią po twarzy, przecięto mi ucho i połała się obficie krew. Krew połała się także z nosa, ponieważ bito mnie pięścią po twarzy. Natomiast na dalszym etapie śledztwa, już w marcu, wybito mi pięć przednich zębów. Ale to wszystko okazało się niczym w porównaniu z tym, co w tym czasie przecierpieli moi pełnoletni towarzysze niedoli.

Z pytań, które zadawali mi ubecy, jasno wynikało, że niestety któryś z naszych, ktoś wtajemniczony w nasz arsenał, załamał się, śledczy wiedzieli bowiem, jaką broń posiadaliśmy. Ponadto znali szczegóły niektórych naszych akcji ulotkowych. W związku z tym wypytywali mnie o kontakty Podziemnej Kolonii z kolegami z mojej szkoły. Na zdobyciu tej wiedzy szczególnie im zależało i za to najbardziej oberwałem. Szybko zorientowałem się, że wiedza śledczych na ten temat była pobieżna. Do sprawy wracali jednak uporczywie, przez cały okres śledztwa. Dzięki Bogu, żaden z moich szkolnych kolegów nie został aresztowany.

Natomiast ubecy w ogóle nie pytali nas o to, co byłoby dla nich szczególnie smakowitym kąskiem, mianowicie o nasze akty represyjne wobec konfidentów komunistycznych. Najwyraźniej nic o nich nie wiedzieli. A zatem nikt z naszych na ten temat nie zeznawał. Z całej naszej piątki tylko jeden nie był dopuszczony do tej sprawy, ponieważ Zygmunt mu nie ufał. Był to, nazwijmy go umownie, Jet. Wkrótce nasze podejrzenia się potwierdziły. Potwierdził je cały dalszy tok śledztwa, a zwłaszcza rozprawa sądowa. A zatem to Jet się załamał i sypał. Jet był dobrym, wesołym kolegą, lubianym w towarzystwie. Chętnie zgrywał twardziela, więc nikt nie podejrzewał, że to właśnie on mógłby się załamać. A jednak...

Gdy po latach odsiadki wyszliśmy już na wolność, skrzyknęliśmy się wszyscy na towarzyskie spotkanie. Wtedy Jet potwierdził ze skrucą, że w czasie owego pierwszego, makabrycznego śledztwa był ciężko przestraszony i się wygadał. Dowiedzieliśmy się jednak, że później, w czasie odsiadki, miał pośród współtowarzyszy niedoli nieposzlakowaną opinię, trzymał się dzielnie, a co najważniejsze, na pewno nie był kapusiem.

Nikt z nas go nie potępił. Wszyscy chyba dziękowaliśmy Bogu, że w tych naprawdę trudnych chwilach, gdy byliśmy na granicy wytrzymałości psychicznej, Bóg uchronił nas przed załamaniem.

* * *

Po zakończeniu przesłuchania zaprowadzono mnie do celi – pierwszej w mojej karierze więziennej. Miałem w niej przesiedzieć prawie trzy miesiące. Cella była ciemna i ponura, pomalowana na ciemnowiśniowy, prawie czarny kolor, tylko sufit był biały. Miała około 1,5 m szerokości oraz ok. 3,5 m długości. Zamieszkiwał ją w owym czasie jeden aresztant. Niekiedy jednak bywało w niej nawet czterech lokatorów.

Gdy wprowadzono mnie do celi, przedstawiliśmy się sobie kurtuazyjnie. Okazało się, że mój współtowarzysz ma na imię Adolf. Zaskoczył go mój młody wiek. Zadrwił sobie, że jeśli tak dalej pójdzie, to już wkrótce komuchy sadzać będą do więzień przedszkolaków. Nie lubiłem, gdy ktoś nabijał się z mojego młodego wieku, więc odwzajemniłem mu się grzecznym pytaniem o to, dlaczego nosi takie nieeleganckie imię. Jest przecież tyle szlachetnych imion na świecie, czy zatem koniecznie musi się on nazywać Adolf? Mój współtowarzysz celi przyznał mi rację, przeprosił za wyrządzoną mi przykrość i jakby chcąc się usprawiedliwić, dodał: „Jest jeszcze jedno imię, z interesującego nas tu punktu widzenia chyba jeszcze mniej eleganckie niż Adolf, a mimo to, co piąty Polak nosi je bez kompleksów. Mam tu oczywiście na myśli imię Józef”. Wymieniliśmy między sobą kilka zgryźliwych dowcipów politycznych, a ponieważ minęła godzina 20.00 i było już po tzw. capstrzyku, czyli po zmianie oddziałowych pilnujących aresztu, zmówiliśmy pacierz i położyliśmy się spać.

Rano, o 6.00, obudził nas donośny wrzask oddziałowego: „Pobudka! Pobudka!”.

Spałem twardo po udręczeniu przesłuchaniami, po nieprzespanych dwóch dobach. Na nocne koszmary, na ponure refleksje, na upiorne, bezsenne noce miał dopiero nadejść czas i to wkrótce.

O 8.00 było śniadanie. Dostawaliśmy pół litra gorzkiej kawy zbożowej i pół kilo razowego chleba. Była to całodzienna porcja, która musiała wystarczyć do następnego śniadania. Na ogół nie wystarczała. Na obiad był litr zupy i nic więcej. Różne to bywały zupy. Dobrze, gdy był to krupnik lub grochówka. Najczęściej jednak bywał barszcz lub kapuśniak – chudziutkie, wodniste zupki. Na kolację dawano pół litra zupy z obiadu i pół litra kawy zbożowej. I tyle. Nie było żadnej możliwości, by zdobyć cokolwiek więcej.

Do zakończenia śledztwa, czyli do połowy maja, byłem bez przerwy głodny. Z głodu i przemęczenia nawiedzały mnie halucynacje. Najczęściej, gdy otwierałem oczy po najłżejszej choćby drzemce, widziałem przez chwilę pająka miotającego się w sieci albo praszka machającego skrzydłami. Potem następował krótki, lecz intensywny ból w skroniach. Innym objawem wygłodzenia było

ćmienie – traciłem na chwilę przytomność, gdy wstawałem gwałtownie ze stołka. Dowiedziałem się później od lekarzy, że były to typowe objawy wyczerpania głodowego.

Pierwszego dnia, około południa zabrano z celi mojego współtowarzysza Adolfa. Nie mam pojęcia, gdzie go zabrano ani co się z nim stało. Zdążyłem jeszcze dowiedzieć się, że aresztowano go pod zarzutem tzw. szeptanej propagandy oraz za szkalowanie Związku Radzieckiego, bardzo częsty w owych czasach powód aresztowania.

Zostałem w celi sam – na 21 dni.

* * *

Nadszedł dla mnie czas refleksji – nad życiem, nad wiarą, nad samym sobą, czas pierwszej głębszej refleksji w moim życiu. Trudna to była refleksja. Warunki, w których przyszło mi teraz żyć, nie skłaniały do optymizmu.

W ciągu dnia, ale również, a może zwłaszcza, w nocy dochodziły mnie z dołu, z pokojów przesłuchań, okropne, nieludzkie jęki torturowanych. Wywoływały przede wszystkim dzikie przerażenie czy wręcz zwierzęcy popłoch. „Czy ja też będę tak wył, gdy będę katowany?”

W celi panował wieczny półmrok. Prawdziwe kazamaty. Okienko było małe, obudowane kratą z gęstej siatki drucianej. I było wysoko. Gdy chciałem przez nie wyrzucić, musiałem stanąć na kiblku. Wychodziło na jakieś ciasne podwórko otoczone wysokimi budynkami.

Tęskniłem za światłem, za przestrzenią, za słońcem. Wieczorami żarówka też świeciła słabiutko; w dodatku była obudowana, podobnie jak okno, gęstą drucianą siatką.

Z lękiem czekałem na śledztwo. Lecz przez owych 21 dni samotnego siedzenia nie wezwano mnie ani razu. Czyżby ubekom chodziło o to, bym – przygnębiony samotnością – spokorniał? Do głowy cisnęły mi się rzeczywiście smutne refleksje. Oto wyrwano mnie z rodziny. Tam byłem otoczony miłością rodziców, brata. Tu zaś po raz pierwszy w życiu zobaczyłem twarze, które patrzyły na mnie z nienawiścią. Co teraz ze mną zrobią? Będą mnie bić, torturować, może mnie zabiją...

Gdy tak rozmyślałem o tym, co mnie mogło spotkać, czułem, jak wciskają się we mnie lęk, rozpacz, zwierzęce przerażenie, dzika tęsknota za wolnością, chęć wyrwania się stąd za wszelką cenę. Starłem się bronić przed tymi myślami, ale jak? Wściekałem się na siebie za swoją bezsilność.

Gdyby moja Marysia pasterka wiedziała, jaki teraz ze mnie bohater... Zrobiło mi się wstyd. „Chłopie! Weź się w garść!” – wołałem do siebie. Ale jak tu

się brać w garść, skoro te moje lęki wcale nie są złudzeniem. Świadczyły o tym dotkliwy ból pleców i potężny guz na głowie – wynik wczorajszego pałowania.

Do tych udręek doszła troska o rodziców, z pewnością bardzo martwią się teraz o mnie. Może cierpią bardziej niż ja. Zwłaszcza mama. Rozdygotana wyobraźnia już mi podpowiadała, że się załamie, że będę skomlał o litość. Bardzo tego nie chciałem, ale jak tu się bronić, skoro tyle słabości we mnie siedzi?

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tego rodzaju myśli to koszmar prawie każdego więźnia. W chwilach naprawdę trudnych doświadczeń człowiek zaczyna wątpić we własne siły, przestaje wierzyć, że jest twardzielem. Jeśli nie znajdzie dostępu do źródła siły, która jest poza nim, jeśli zabraknie mu odpowiednio głębokiej motywacji – załamie się na pewno.

Wymęczony do cna walką z tymi koszmarnymi myślami, zacząłem wreszcie wołać z głębi duszy: „Boże! Zmiłuj się nade mną!”. Było to wołanie wyjątkowo mocne i pełne ufności. Chyba pierwszy raz w życiu zdobyłem się na taką modlitwę:

Z głębokości wołam do Ciebie, Boże!

Usłysz głos mój i zmiłuj się nade mną...

Przecież wiesz, że nie ma na świecie nikogo poza Tobą,
kto mógłby mi teraz pomóc.

Jezu, ufam Tobie, a przynajmniej bardzo chcę Ci zaufać!

Dotąd, owszem, modliłem się i to chyba w miarę pobożnie. Gdy byłem na pastwisku lub gdy włóczyłem się po lesie, wtedy modlitwa stawała się dla mnie potrzebą duszy. Starałem się także zachować czystość serca i unikałem nieczystych myśli i nieczystych pragnień, gdyż intuicyjnie wyczuwałem, że nieczystość osłabia wolę i nie sprzyja właściwemu rozwojowi naszego człowieczeństwa, a ja chciałem być prawdziwym człowiekiem, choć nie rozumiałem tak do końca, co to naprawdę znaczy.

Ta modlitwa, którą teraz wydobywałem z siebie i wznosiłem ku Bogu, stała się dla mnie ostatnią deską ratunku. Modliłem się przeto jak zdruzgotany Hiob, któremu już nic nie pozostało oprócz ufności Bogu. Czułem, że jedynie na tej drodze, na drodze ufnej modlitwy znajdę siłę i łaskę przetrwania. Nie załamie się. Przecież jestem wierzący, więc chyba mam prawo liczyć na Bożą pomoc. Nie tylko prawo, ale i obowiązek. Wiedziałem przecież z Ewangelii, że Pan Jezus gniewa się na tych swoich uczniów, którzy w trudnych chwilach życia nie potrafią zdobyć się na ufność wobec niego: „Czemuś zwątpił, małej wiary?”.

Te refleksje uspokajały mnie, dodawały mocy i ufności. Znalazłem wreszcie sposób na przetrwanie. Boże! Pozwól mi przetrwać z honorem!

Przekonałem się, że to działa. Po tej „modlitwie przełomu” uspokoiłem się, stałem się odważniejszy, znikły gdzieś moje lęki; odtąd mogłem spokojnie spać. Zrobiłem się nawet nieco zuchwały wobec ubeków, przez co obrywałem od nich po twarzy. Bałem się jednak myśleć o sobie jako o twardzielu, aby przypadkiem przez moją pychę nie psuć Panu Bogu Jego dobrej roboty. Wiedziałem przecież z Pisma Świętego, że „Bóg pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaskę daje”.

Odtąd spędzałem długie chwile na modlitwie, klęcząc pod oknem. Oddziałowy, który co kilka minut zaglądał do mojej celi przez judasza, nazwał mnie drwiąco „trzynastym apostołem”, a śledczym złożył meldunek, że zachowuję się „po religiancku”. Meldunek ten jest ponoć do dziś w mojej teczce z więziennymi aktami. Moją ulubioną modlitwą, którą co dzień odmawiałem po kilka razy, stał się *Psalm 91*, który znałem na pamięć. Zamieszczony był w chicagowskim mszaliku niedzielnym, we wspólnym przekładzie z przełomu XVIII i XIX w., bodajże Franciszka Karpińskiego. Oto jego fragment:

Kto się w opiekę oddał Najwyższemu,
Pod osłoną Boga Niebios bezpiecznie przebywa.
Mówi on do Pana: – Tyś obrońca mój i ucieczka moja!
Bóg mój, w którym pokładam nadzieję moją,
Bo On mnie ratuje z sieci ptaszników
I z wszelkiej ciężkiej przygody,
Wierność Jego ochrania cię tarczą.
Bezpieczny jesteś pod skrzydłami Jego;
Nie ulęknieś się żadnych strachów nocnych,
ani przygód snujących się w mroku,
ani strzał latających we dnie,
ani najazdów złego ducha w południe.
Gdyby i tysiąc padło u boku twego,
a dziesięć tysięcy po prawicy twojej
do ciebie zło się nie zbliży.
Albowiem Aniołom swoim rozkazał On o tobie,
aby cię strzegli na wszystkich drogach twoich,
Na rękach oni nosić cię będą,
abyś snadź nie obraził o kamień nogi twej...
Ponieważ ufał we mnie wybawię go, z nim jestem w ucisku
...i dam mu posiąść Zbawienie moje!

Piękna, mocna, krzepiąca modlitwa, którą odmawiałem po kilkakroć na dobę. Później dowiedziałem się, że nie ja pierwszy ją odkryłem. Nasi zesłańcy, pędzeni dziesiątkami tysięcy na Sybir, wspólnie odmawiali w drodze ten właśnie psalm. Znali go na pamięć. Odmawiali też różaniec. Ich modlitwa i śpiew pięknych polskich pieśni religijnych wzbudzały zachwyt wśród Moskali. Ci, gdy się dowiadywali, którędy przechodzić będą „polscy buntownicy”, przychodzili tłumnie, nawet z dalekich, syberyjskich wiosek, aby ich zobaczyć.

Pamięć o naszych zesłańcach uświadamiała mi, że jestem w dobrym towarzystwie. Pamiętałem również o więźniach Pawiaka, Oświęcimia, Dachau, Łubianki... A iluż to teraz cierpi za Polskę choćby w tym areszcie? Nie jestem sam. Ta myśl dodawała mi otuchy. Walczyłem, a raczej walczyliśmy o słuszną sprawę. Nie mogliśmy nie walczyć!

Gdy kilka tygodni później przyprowadzono mnie do celi po trudnym przesłuchaniu z opuchniętą i pokrwawioną twarzą, z ubytkiem pięciu zębów, któryś z współwięźniów powiedział do mnie: „No i po co ci to było?”. Odpowiedziałem mu z przekonaniem: „Panie kolego, ja naprawdę nie żałuję. Jak bym się czuł, gdybym siedział sobie teraz spokojnie w domu, gdy tymczasem tysiące Polaków tułają się po komunistycznych kazamatach?”. Chyba takiej postawy wymagała sytuacja, w której się znalazłem. Zresztą nie ja jeden. Jestem pewny, że wielu innych postąpiłoby w ten sam sposób.

Przez całe moje dalsze życie byłem wdzięczny Panu Bogu za to, że mnie umocnił w tamtych trudnych dniach. Skończyły się moje lęki. Owładnął mną desperacki spokój. I choć nieraz jeszcze bywałem w opałach, choć nadal nie wiedziałem, co mnie czeka, ufałem mocno Bogu, że mnie nie wyda na łup moich słabości, nawet pośród najsroższych opresji.

W tamtym czasie otrzymałem od Pana Boga dwa cenne dary, wymodlone niewątpliwie przez moich najdroższych. Pierwszym z nich był dar snu. Zasympałem, kiedy chciałem – w każdej pozycji, bez względu na to, co się działo wokół. Dar ten okazał się szczególnie przydatny w Sztumie, gdzie trzeba było po całych dniach siedzieć beczynn timerze celi. Tu już żaden ubek nie przeszkadzał w spaniu i nie podglądał co kilka minut przez judasza, jak to bywało w Gdańsku na Okopowej. Wprawdzie sztumscy klawiszowie też krzywym okiem patrzyli, gdy ktoś spał w dzień, ale nie czynili z tego powodu jakiejś szczególnej burdy. Potrafiłem więc spać po 18 godzin na dobę. Koledzy budzili mnie tylko na posiłki. Kładłem sobie trep więzienny pod głowę, zwiąłem się pod drzwiami w trąbkę, jak kot, i spałem. I tak przez długie miesiące.

Często może była to raczej drzemka, stan głębokiego wyciszenia psychicznego, mającego swe źródło w ufności Bogu. Troszczyłem się więc o to, by ufność tę pogłębiać. Na początku pobytu w areszcie zrobiłem różaniec z chleba razowego oraz nitek z koca więziennego. Odtąd stale trzymałem go w ręku, jak dziecko, które trzyma rękę matki. Dawało mi to poczucia bezpieczeństwa. Byłem spokojny, chwilami nawet radosny. Umacniałem się przez to jeszcze bardziej w mojej wierze w skuteczność modlitwy.

Nie wstydzę się tego, że korzystałem z tak dewocyjnych sposobów uodporniania się przeciw załamaniu i depresji – zaufałem Panu Bogu ufnością dziecka, bezgraniczną, z różańcem i krzyżykiem w dłoni, no i przede wszystkim z modlitwą. Iluż to więźniów dręczonych w ubeckich kazamatach zdołałoby ustrzec się załamania i przetrwać zwycięsko wszelkie udręki, gdyby zechcieli skorzystać z owych „dewocyjnych” sposobów na wzmocnienie wiary.

Niech to sobie nazywają jak chcą – sugestią, autosugestią czy jeszcze inaczej. Najważniejsze jest to, że każdy, kto szczerze zaufał Bogu, może się osobiście przekonać, że to działa.

A sugestia nie jest tu żadnym wytłumaczeniem. Nie należy przy jej pomocy wyjaśniać niewytłumaczalnych naukowo zjawisk, pospolicie zwanych cudami. Sugestia nie jest bowiem wszechmocna. Jest podporządkowana prawom natury. Chcąc zatem przy jej pomocy zrozumieć cuda, najpierw ją samą trzeba dobrze zrozumieć. W przeciwnym razie zmuszeni będziemy widzieć w niej największy z tych cudów, które będziemy usiłowali przy jej pomocy wytłumaczyć. A to byłby absurd.

Czym więc jest sugestia? Jest pewnym szczególnym rodzajem wiary. Chrystus Pan mówi zaś wyraźnie, że „wszystko jest możliwe temu, kto posiada wiarę!”. To nie ona działa cuda. Jest tylko środkiem, który pomaga człowiekowi zbliżyć się do Tego, który jest Wszechmocny. Sugestia umożliwia Bogu działanie w naszym świecie.

Drugim darem, który otrzymałem od Pana, był dar wesołości (nie chciałbym go nazywać patetycznie darem pogody ducha). Przydał się nie mniej niż dar snu. W najsroźszych opresjach ubeckiego śledztwa starałem się nie poddawać przynębieciu. Świadomie usiłowałem przypominać sobie różne wesołe momenty z życia lub doszukiwać się w aktualnych wydarzeniach jakichś wątków komicznych. Na przekór wszelkim ponurym myślom, które krążyły po głowie, starałem się uśmiechać. Wierzyłem, że przez to najskuteczniej odpędzam złe myśli. Byłem przy tym świadom, że ten mój uśmiech niekoniecznie wyglądał inteligentnie. Ale pał szesć! Ważne było to, że wreszcie przestałem się przejmować sobą, a w duszy odczuwałem nawet autentyczną wesołość.

Wesołość ta nie zawsze była na rękę ubekom oraz strzegącym nas w ubeckim areszcie klawiszom, wśród których było kilku żołnierzy KBW ze służby czynnej. Tym, których znałem, trudno byłoby zarzucić podłość – czasem nawet okazywali życzliwość wobec uwięzionych, czego niestety nie da się powiedzieć o większości ubeków.

Wśród nich był sierżant – postać jak z polskich filmów wojennych, gruby i rubaszny – prawdziwy zupak, krzykliwy rygorysta. W owym czasie, kiedy do 22 lutego siedziałem sam, potrafił po kilkanaście razy w ciągu swojej służby otwierać drzwi mojej celi i ubliżać mi za to, że coś zrobiłem nie tak jak trzeba. Rzucił przy tym obficie przekleństwami.

Pewnego razu chciałem spojrzeć przez okno, co było oczywiście surowo zabronione. Włożyłem więc na kibel, bo okno było wysoko i gdy tak spoglądałem na piękny Boży świat, nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich sierżant. Zamiast okazać skruchę, odczułem nieograniczoną potrzebę roześmiania się. Stłumiłem w sobie tę pokusę. Sierżant wygłosił sentencję w stylu: „Grzeszny więzień przez okno wyglądać nie powinien”, oczywiście obficie przetykając przekleństwami. Ale dla mnie najważniejszym problemem stało się w tej chwili, w jaki sposób narzucić mojemu prześladowcy solidną porcję śmiechu. On przecież musi roześmiać się pierwszy. Przechyliłem głowę nieco na bok, otwarłem bezmyślnie gębę i aby nadać swemu obliczu jeszcze bardziej bezmyślny wyraz, zrobiłem zeza. Teraz począłem uporczywie wpatrywać się tępym wzrokiem w facjatę podoficera. Podziałało. Przerwał w połowie przekleństwa i dławiąc się histerycznym śmiechem, warknął na mnie: „Nie rozśmieszaj mnie, smarkaczu!”. Drzwi zamknęły się z hukiem. Tego dnia otworzyły się już tylko na wydanie kolacji.

Podobna sytuacja miała miejsce pamiętnego dnia, 5 marca 1953 r.

Już od wczesnego rana domyślałem się, że stało się coś niezwykłego. Z dołu, z parteru, od pokoi zajmowanych przez ubectwo, dochodziły dźwięki, tego dnia szczególnie głośne, nadawanej przez radio ponurej muzyki. Najpierw zabrzmiał marsz żałobny Beethovena. Chwilę później zadźwięczał Chopin – w tej samej pogrzebowej tonacji. Czyżby...? Zacząłem się domyślać, co się mogło wydarzyć. Wkrótce nabrałem pewności, gdy usłyszałem wyjątkowo patetyczny głos aktora, który recytował wiersz, zaczynający się od słów: „Zgasało słońce ludzkości...”. Dalszy ciąg wiersza można by streścić słowami: „I cóż my, biedni, pocniemy teraz bez ciebie?”.

Podszedłem do ściany, za którą siedział Czesio, mój nowy więzienny znajomy. Nigdy dotąd nie widzieliśmy się, ale od kilku dni staliśmy się prawie

przyjaciółmi, ponieważ całymi godzinami rozmawialiśmy ze sobą przez ścianę za pomocą alfabetu Morse'a. Czesio był inteligentny i miał niezwykle poczucie humoru. Zastukałem do niego: „Czesiu! Słyszysz, co się dzieje? Przed chwilą doleciało mnie z dołu, że ponoć zgasło słońce. Nie wiesz przypadkiem, o jakie słońce tu chodzi? Czy domyślasz się tego samego, co ja?”. Czesio odstukał mi natychmiast: „Tak! Wszystko wskazuje na to, że diabeł upomniał się wreszcie o swego wiernego sługę”.

W tej chwili otwały się drzwi mojej celi. Stał w nich konwojent, żołnierz KBW i wymienił moje nazwisko: „Ubierzcie się, Sroka! Załóżcie marynarkę. Idziecie na przesłuchanie”. Zaprowadził mnie na dół. Ucieszyłem się, gdy stwierdziłem, że w pokoju nie ma mojego „wybijzęba”, czyli owego wyjątkowego łajdaka, który w pierwszym dniu śledztwa pastwił się nade mną ze szczególnym upodobaniem, a za kilka dni znów będzie mi zęby wybijał. Był natomiast inny, spokojniejszy śledczy, którego poznałem w czasie pamiętnego 48-godzinnego przesłuchania.

Gdy wszedłem, kazał mi usiąść na stolku. Zauważyłem, że na kłapie marynarki ma naszytą czarną krepę. Spytałem go zatem, czy umarł mu ktoś bliski. I tu stała się rzecz, której nijak nie udało mi się przewidzieć. Oto mój śledczy zerwał się gwałtownie z krzesła, stanął przede mną na baczność i wyrecytował niby meldunek, robiąc pauzę po każdym słowie: „Towarzysz Stalin nie żyje!”.

W pierwszej chwili zdębiałem. Nie żeby mnie zaskoczyła wieść o śmierci Stalina. Tego się już domyślałem. Ale widok ubeka, który z najgłębszą powagą składał mi meldunek o śmierci towarzysza Stalina wywarł na mnie wstrząsające wrażenie. Pomimo nadludzkich wysiłków nie udało mi się powstrzymać od śmiechu. Widząc moją walkę wewnętrzną, ubek rzekł do mnie groźnie: „Opa-miętajcie się, Sroka. Ja naprawdę nie podzielał waszego wesołego nastroju”. Zrozumiałem, że naprawdę trzeba spoważnieć. Ale jak to zrobić? Świadomie zacząłem myśleć o rozmaitych strasznych rzeczach. Na przykład o tym, że ubek się wnerwi i odda mnie pod sąd za to, że podśmiewałem się w tak tragicznej dla ludzkości chwili. Albo że w najlepszym razie wsadzi mnie na trzy dni do karceru. A o ubeckich karcerach krążyły w owym czasie mrozące krew w żyłach opowieści. Na przykład, że trzeba tam stać w wodzie po same pachy i to przez trzy dni i trzy noce, że zamykają człowieka w maciupieńkiej klitce o powierzchni mniejszej niż 0,5 m kw. albo w ciemnym pomieszczeniu, w którym bez żadnych utrudnień grasują stada szczurów... W takich warunkach trudno marzyć o tym, by usiąść, a cóż dopiero się położyć (opowieści okazały się prawdziwe, przekonałem się o tym 12 maja 1953 r.).

Te ponure rozważania na temat nieszczęść, które na moją głowę może sprowadzić mój nieokiełznany śmiech, pomogły mi wreszcie przybrać przynajmniej na zewnątrz maskę powagi. Wyraz twarzy miałem jednak głupkowaty. Wpatrywałem się w ubeką tępo i bezmyślnie, życząc mu z całego serca spontanicznego uśmiechu. Nie wytrzymał i wbrew wcześniejszej deklaracji podzielił mój wesoły nastrój. Jego twarz przybrała najpierw bardzo groźny wyraz, a potem nagle i niespodziewanie wykrzywił ją grymas powstrzymywanego śmiechu. Zachichotał. Kamień spadł mi z serca. Pomyślałem sobie: „Doskonale. Teraz niczego złego już mi nie zrobisz. Jesteśmy przecież jednakowo winni”. W dniu wielkiej żałoby, która okryła „całą postępową ludzkość”, obaj śmialiśmy się do rozpuku.

Widać było, że ubek jest wściekły sam na siebie za okazaną słabość. Zadzwoił po konwojenta: „Obywatelu kaprału, zabierzcie stąd czym prędzej tego smarkacza!”. Znalazłem się znowu w mojej celi nr 9. Gdy opowiedziałem moim dwóm współtowarzyszom moją przygodę, uśmieali się do rozpuku. Uśmieał się i Czesio, gdy mu wystukałem, jak to ubek stanął przede mną na baczność i złożył mi grzecznie meldunek.

* * *

Te dni, gdy celę zamieszkiwałem sam (dwie pierwsze dekady lutego), były dla mnie czasem wyciszenia i spokoju, tym bardziej że nie brano mnie na żadne przesłuchania. Myślę, że ów dany mi przez Boga czas „życia pustelniczego” udało mi się pożytecznie wykorzystać. Dzięki modlitwom oraz osobistym przemyśleniom zdołałem jakoś otrząsnąć się z szoku spowodowanego aresztowaniem i pierwszymi dniami śledztwa.

Modliłem się chętnie, bo nietrudno było mi odkryć błogostawione skutki modlitwy. Po kilka godzin dziennie klęczałem lub siedziałem, wznosząc duszę moją ku Panu. Szczególnie wiele zawdzięczałem nuceniu pieśni religijnych. Śpiewałem hymn *Veni, Creator, Godzinki, Bogurodzicę, Pod Twą obronę* i wiele innych pieśni kościelnych. Jak już wspomniałam, odmawiałem *Psalm 91*, modliłem się na zrobionym z chleba różańcu, ale chyba najwięcej zwracałem się do Boga własnymi słowami. Myślę, że nie będzie w tym pychy, jeśli powiem, że prawie stale odczuwałem głęboki spokój i radość. Czuję się po prostu w rękę Boga. Byłem wdzięczny Bogu za to, że mnie wysłuchuje.

O własne uwolnienie modliłem się rzadko. Przede wszystkim prosiłem o łaskę wytrwania, o czystość oraz żeby się stać prawdziwym człowiekiem. Dużo też miejsca poświęcałem modlitwie za bliskie mi osoby – za Marysię i Helcię;

wiedziałem, że i one modlą się za mnie. Prosiłem, aby były piękne i czyste. No i oczywiście modliłem się za Polskę.

Z troską i niepokojem myślałem o moich rodzicach. Czy się o mnie zbyt nie martwią? Jak znoszą tę naszą bolesną rozłąkę? Pozostawało mi tylko zaufać Bogu, że ich wesprze i pocieszy.

Prawie wcale nie miałem kontaktu z ludźmi. Zaledwie kilka razy dziennie ukazywała się w drzwiach celi nie zawsze sympatyczna facjata klawisza. Mimo głębokiego pokoju i radości, które dawała mi modlitwa, mimo pociechy, która płynęła ze świadomości, że moi najdrożsi modlą się za mnie i sercami swymi są ze mną, doskwierała mi samotność. Wprawdzie po dwóch stronach celi były ściany, za którymi przebywali ludzie, tacy sami jak ja aresztanci, nawet słyszałem ich bardzo przytłumione głosy, ich kaszel czy kichnięcia, ale jak nawiązać kontakt? Jak się z nimi porozumieć?

W harcerstwie nauczono mnie posługiwać się alfabetem Morse'a. Kiedyś słyszałem, że więźniowie właśnie w ten sposób porozumiewają się między celami. Postanowiłem spróbować. Podszedłem do prawej ściany zastukałem cichutko paznokciem. Odpowiedzią było ciężkie walenie w ścianę. Jakiś desperat? „Oj, stary! – pomyślałem. – Mam złe przeczucie, że tą metodą to my się nigdy nie dogadamy”. Co najwyżej podpadniemy u klawisza, bo nas na pewno usłyszy. A takie gadanie przez ścianę jest pod karą karceru zabronione.

Z prawej ściany musiałem więc zrezygnować. Podszedłem do lewej. Zastukałem cichutko. Ktoś równie cicho odpowiedział, ale nie alfabetem Morse'a, którego widocznie nie znał. Zastukał równomiernie 33 razy. Za chwilę to samo: 33 kropki. I znowu 33 kropki. „Aha! – powiedziałem sam do siebie. – Jego moc chwali mi się, że nasiedział się już 33 dni. No to i ja mu się pochwalę”. Wystukałem 11 kropek.

No, ale co dalej? Nie będziemy przecież codziennie się chwalić, dodając co dnia po jednej kropce. To miałyby raczej wątpliwy sens. Trzeba coś wymyślić.

Podświadomie, czy może raczej intuicyjnie wyczułem, że mój sąsiad czekał, bym mu przekazał cały alfabet. Ale jak? Nie miejsce tu, by opisywać wszystkie próby, podejmowane wysiłki, porażki i sukcesy – ale dopięliśmy swego. Udało nam się! Tego dnia wieczorem, po całodziennym trudzie sąsiad miał już zapisany stalową łyżką na aluminiowej misce cały alfabet Morse'a. A trzeciego dnia stukaliśmy już do siebie jak dwaj starzy radiotelegrafści.

W tym dniu skończyła się dla mnie udręka samotności. Jeśli ubecy liczyli na to, że w ciągu owych trzech tygodni życia pustelniczego cokolwiek skruszeje, to się przeliczyli. Teraz po kilka godzin dziennie, przeważnie pod wieczór,

przekazywaliśmy sobie z sąsiadem różne ciekawe dla nas komunikaty, najczęściej dotyczące naszego śledztwa. Opowiadaliśmy sobie wszystko, co w takich warunkach można było opowiedzieć. W ten sposób dowiedziałem się, że mój rozmówca ma na imię Czesław, że ma 32 lata (dwa razy tyle lat co ja!) i że z zawodu jest celnikiem, z zamiłowania filozofem, a z upodobania muzykiem. Był to człowiek inteligentny, o naprawdę bogatej osobowości.

Czesław, owszem, też lubił słuchać i opowiadać dowcipy, a znał ich wiele. a ja chętnie podejmowałem wymianę kawałów, zwłaszcza politycznych. Mnóstwo ich wówczas krążyło po Polsce. Polacy opowiadali je sobie mimo że za „szeptankę”, czyli szeptaną wrogą propagandę, groziła nawet kara więzienia – art. 22. dekretu z 13 czerwca 1946 r., tzw. małego kodeksu karnego, głosił, że ten, „kto rozpowszechnia fałszywe wiadomości, mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego bądź obniżyć powagę jego naczelnych organów, podlega karze więzienia do lat 5 lub aresztu”. Za fałszywe wiadomości uznawano krytyczne wypowiedzi wobec władz, dzielenie się informacjami zasłyszczanymi w zagranicznych radiostacjach lub opowiadanie dowcipów politycznych. Za „szeptankę” skazano w latach 1946–1955 ponad 200 osób. Dla Polaków był to sposób na przetrwanie, swego rodzaju wentyl bezpieczeństwa. A przy tym walka z czerwonym okupantem.

Dowcipy powstawały jako reakcja na obrzydliwe służalstwo i uległość peerelewskiego reżimu wobec Wielkiego Brata.

Propaganda komunistyczna m.in. wmawiała Polakom, a zwłaszcza młodzieży szkolnej, że wszystkie najświetniejsze wynalazki świat zawdzięcza Rosjanom. I tak przykładowo: podręcznik biologii dla dziesiątej klasy blisko połowę swej objętości poświęcał niesłychanym osiągnięciom radzieckiej agrobiologii. Przewijały się tu szczególnie trzy nazwiska uczonych sowieckich, którzy dokonywali rzekomo cudownych krzyżówek: Iwan Miczurin, Trofim Łysenko i Olga Lepieszynska. Doskonały materiał dla twórców dowcipów.

Pani profesor pyta uczniów na lekcji biologii: „Czy wiecie, jakie są najnowsze osiągnięcia nauki radzieckiej? Otóż, towarzyszewi Miczurinowi udało się skrzyżować jabłoń z wilczurem...”. „I co z tego wyszło?” – pytają uczniowie. „Ooo! Cudowna rzecz! Powstała jabłoń, która sama szczeka na złodzieja i w dodatku sama siebie podlewa”.

Uczeń pyta profesora na lekcji fizyki: „Panie profesorze, czy to prawda, że żarówkę elektryczną wymyślił Edison, amerykański wynalazca?”. Podenerwowany profesor odpowiada: „Nie! To ohydne burżuazyjne kłamstwo! Albowiem żarówkę wynalazł uczoney rosyjski Żarówkowie!”. „Aha! Rozumiem! To w takim

razie radio wynalazł Radiow?” „Słusznie powiedział!” – rzecze profesor. „A tryby wynalazł Trybow?” „Tak! Trybow”. „Więc jodłowanie wynalazł Jodłow?” „Tak by na pierwszy rzut oka mogło się wydawać. Ale prawda jest taka, że jodłowanie wynalazł tenże sam Trybow, gdy mu się broda w tryby wkręciła. Wtedy to Trybow począł jodłować i w taki oto sposób powstał ów przepiękny śpiew, zwany jodłowaniem”. „A kto wynalazł koszulę? Czyżby Koszulow?” „Nie, tym razem nie trafiłeś. Koszulę wynalazł rosyjski uczyony Gołoplecow!”

My ten dowcip opowiadaliśmy sobie w nieco rubaszniejszej wersji, która zaczynała się: Kto wynalazł spodnie? – Oczywiście... Gołodupcow.

I jeszcze kilka opowiadanych dowcipów:

Co to jest radziecka wolność słowa? Uświadomiona potrzeba milczenia!

Dlaczego Rokossowski został marszałkiem Polski? Bo taniej jest ubrać w polski mundur jednego ruskiego niż całe wojsko w ruskie mundury.

Dzierżyński telefonuje do Lenina. „Włodzimierzu Iliczu, kiedy rozstrzeliwać, po obiedzie czy przed?” „Koniecznie przed obiadem! A obiady oddajcie dzieciom. Dzieci robotników głodują!”

Oficer NKWD przeprowadza inspekcję w podległej jednostce. W podziemiu koszar widzi trzy trupy. Pyta, więc po kolei: „Ten, co?”. „Zmarł, bo zjadł trujące grzyby”. „A ten?” „Także zjadł trujące grzyby”. U trzeciego widzi w głowie dziury od kul. Pyta, zatem: „A temu, co się stało?”. „Nie chciał jeść trujących grzybów”.

Takimi to dowcipami krzepili się Polacy w ciemnym okresie stalinizmu, gdy tymczasem propaganda komuny masowo produkowała materiały dla szkół wysławiające Józefa Stalina: „Dzieci! Umarł Józef Stalin. Wiecie, kim był Stalin... dzięki niemu Armia Czerwonaniosła Polsce wyzwolenie... Ale nie tylko o Polskę troszczył się Józef Stalin. Był przyjacielem i nauczycielem wszystkich krajów demokracji ludowej i wszystkich ludzi pracujących na całym świecie...”.

Takie też dowcipy opowiadaliśmy sobie z Czesławem. Sąsiad zaproponował jednak, byśmy wprowadzili w te nasze rozmowy trochę dyscypliny. „Na dobre nam to wyjdzie!” Rzucił więc propozycję, byśmy nie stukali byle czego przez cały dzień. Przyjąłem ją z wdzięcznością.

W jednej z naszych pierwszych „transmisji” Czesław zapytał mnie, czy wierzę w Boga i czy usiłuję nawiązać z Nim kontakt poprzez modlitwę. Oświadczyłem mu, że w Boga oczywiście wierzę, ponieważ gdybym odrzucił wiarę w Boga Rozumnego Stwórcę, pozostałoby mi już tylko przyjąć tę wiarę, którą podaje do wierzenia marksistowski materializm dialektyczny – wiarę w absurd. Zmuszony byłbym przyjąć bezrozumną wiarę w to, jakoby cały ten nasz piękny i sensowny świat był jedynie produktem ślepego przypadku. Dziękuję za taką wiarę. Wolę

więc wierzyć w Boga. Ta bowiem wiara wydaje mi się bardziej godna istoty rozumnej. Skoro zaś wierzę w Boga po chrześcijańsku, to czuję się zobowiązany, by Go szukać i odnajdywać. Chrześcijaninowi nie wolno tylko stwierdzić: „Wiem, że Bóg istnieje i bardzo się z tego cieszę, że istnieje. Niech więc sobie istnieje nadal. Mnie to absolutnie nie przeszkadza”. Prawdziwa wiara chrześcijańska zobowiązuje – przede wszystkim do modlitwy.

Czesio, wyraźnie uradowany tym moim wyznaniem wiary, odstukał mi na to: „Toś mi brat i przyjaciel”. Przy następnej „transmisji” radził jednak, że jeśli doceniamy łaskę modlitwy i czujemy jej potrzebę, to musimy poświęcić na nią trochę czasu. Zaproponował więc, abyśmy czas dopołudniowy przeznaczyli właśnie na zaspokajanie naszych potrzeb duchowych. Staraliśmy się tego trzymać, chyba że wydarzyło się coś nadzwyczajnego – tak jak wtedy, 5 marca 1953 r., kiedy to „zgasło słońce ludzkości”.

Z biegiem czasu nabieraliśmy w tym naszym stukaniu coraz większej wprawy. W czasie „transmisji” siadaliśmy dla niepoznaki plecami do ściany, trzymając jedną rękę, tę stukającą, poniżej pleców. Głowę mieliśmy opartą o ścianę, by móc lepiej słyszeć stukanie nadającego sąsiada. Oczywiście staraliśmy się stukać jak najciszej.

Aż dziw bierze, że żaden klawisz, spoglądając na nas co parę minut przez judasza i widząc nas obojwóch siedzących w takiej samej pozycji, nie wpadł na to, że po prostu prowadzimy ożywioną rozmowę.

* * *

Po upływie trzech tygodni od mojego aresztowania ubecy najwidoczniej przypomnieli sobie o mnie. Najpierw wpuszczono do mojej celi nr 3 jakiegoś osobnika o mocno przyszczatym obliczu. Przedstawił mi się jako student, ale jak na studenta był stanowczo zbyt mało inteligentny. Udawał nieudolnie, że jest ciężko przestraszony. Wobec mnie był nad wyraz szczery. Wyznał mi też w najgłębszym zaufaniu, że aresztowano go pod słusznym zarzutem posiadania broni. Broń istotnie posiada, ale im tego nie powie, no bo po co oni mają wiedzieć. Następnie zaczął wypytywać mnie, czy nie posiadam jakiejś broni, o której ubecy nie wiedzą. Słowom tym towarzyszyła atmosfera najgłębszej szczerości i bezgranicznego zaufania, przynajmniej z jego strony.

Nie miałem wtedy jeszcze doświadczenia w kwestii działań UB, ale intuicja podpowiadała mi, by zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Uśmiechnąłem się tylko bardzo uprzejmie, wyjąłem z kieszeni mój różaniec, ten, który ulepiłem z chleba, i powiedziałem: „Panie kolego! Proszę mi nie mieć za złe, ale muszę teraz odmówić moje modlitwy”.

Działo się to w godzinach przedpołudniowych. Wiedziałem więc, że sąsiad też w tej chwili się modli. Mój współtowarzysz z celi, a dokładniej ubek pełniący czasowo obowiązki arestanta, próbował jeszcze coś tam mamrotać, ale w końcu zrezygnował. Wreszcie podszedł do drzwi i mocno zastukał. Widocznie uznał swoją misję za skończoną. Gdy klawisz otworzył drzwi, „student” bez słowa wyszedł na korytarz i więcej nie wrócił. Jakby to dobrze było, gdybym i ja tak mógł zastukać w drzwi, wyjść bez słowa na korytarz i pójść sobie do domu.

I taka była moja przyгода ze studentem-ubekiem. Takie wpuszczanie „studenta” do celi było praktyką nagminnie stosowaną przez komunistyczny Urząd Bezpieczeństwa.

Po południu zastukałem do Czesia, aby mu donieść o mojej przedziwnej przygodzie ze „studentem”. Nie był zaskoczony. Wyznał, że kilka dni po aresztowaniu on również przeżył podobną sytuację, tyle że nie ze „studentem”, lecz z „poważnym intelektualistą”, którego pasją było rzekomo czytanie zakazanej literatury. I o to namiętnie wypytywał mojego sąsiada. Chciał się koniecznie dowiedzieć, czy Czesław nie ukrył gdzieś nielegalnych wydawnictw.

Ale wcale nie od zakazanych książek zaczęły się kłopoty mojego sąsiada z UB, tylko od... pocztówki. Jego szwagier wysłał mu z okazji urodzin kartkę z portretem Stalina w monumentalnej pozie i życzeniami szczęścia i słodyczy. Czesio raz i drugi zaklął brzydko na swojego szwagra żartownisia, Stalinowi zaś dorysował rogi i ogon, a w dłoń „wsadził” widły, takie neptunowe. Następnie włożył pocztówkę do koperty i odesłał szwagrowi z powrotem, z jakimś rubasznym dopiskiem.

Kontrola korespondencji była wówczas na porządku dziennym. Koperta została otwarta i jeszcze tego samego dnia do domu celnika wysłana została silna ekipa ubeków, którzy z właściwą sobie wprawą wywrócili mu mieszkanie do góry nogami. Znaleźli kilka zakazanych książek; m.in. bestseller napisany przez Wiktora Krawczenkę – byłego funkcjonariusza radzieckiego aparatu państwowego – o znamienym tytule *Wybrałem wolność*. Książka ta, wydana w języku polskim w Paryżu, była wtedy pilnie poszukiwana na podziemnym rynku, nie tylko w Polsce, lecz w całej Europie środkowo-wschodniej.

Jak można się było spodziewać, ubecy zarekwirowali książki, a Czesia wraz z jego podziemną literaturą zawieźli do swojej mordowni na ulicy Okopową w Gdańsku. Po czterech miesiącach dotkliwego śledztwa Rejonowy Sąd Wojskowy w Gdańsku skazał go za groźne przestępstwa na sześć lat więzienia. Oskarżony był z dwóch artykułów: za obrazę majestatu wielkiego przywódcy oraz za posiadanie i przechowywanie nielegalnej literatury.

23 lutego, po trzech tygodniach spędzonych w samotności, do mojej celi nr 9 wprowadzono nowego lokatora. Tym razem był to prawdziwy aresztant. Jurek miał dwadzieścia lat i niedawno się ożenił.

Oskarżony był o to, że jako „mechanik samolotowy umyślnie uszkodził oddany mu w opiekę samolot”. Zarzucano mu sabotaż, zarzut jak na tamte czasy poważny. Dowiedziałem się później, że Jurek wyszedł po półrocznym areszcie, ponieważ stawiane mu zarzuty nie znalazły potwierdzenia.

Gdy późnym porankiem wprowadzono go do mojej celi, bardzo mocno czuć było od niego benzynę. Pierwszego dnia po aresztowaniu przybysz jeszcze nie zdążył zgłodnieć. Nie miał ochoty na więzienne jadło. I trudno mu się dziwić. Na obiad dostaliśmy po litrze cieniutkiego, postnego kapuśniaku, który Jurek chętnie mi odstąpił. Dar ten przyjąłem z wdzięcznością. Z przypadającej nam porcji gliniastego chleba ułamał dla siebie mały kawałek, resztę oddał mnie. I to też zjadłem z apetytem. Patrząc na mnie mocno przestraszony: „Z tego wynika, że za dwa dni ja też będę taki wygłodniały”. Zapewniłem go, że się nie myli. By go jeszcze bardziej pogrążyć, dodałem, że po tym posiłku nie przestałem być głodny. Gdy pomyślę o kawałku porządnej kielbasy, o jajecznicy czy choćby o kawałku zwykłego chleba z masłem, odczuwam pieskie łaknienie. Ale w moim żołądku nie ma już nawet odrobiny miejsca. Gdybym wrzucił teraz do brzucha choćby tylko gram strawy, mój żołądek pękłby jak przedmuchany do granic możliwości balon. Postne bowiem i mało odżywcze było to nasze więzienne jedzenie. Przy takim wikcie można mieć pełny brzuch, a mimo to czuć się potwornie głodnym.

Rzeczywiście, Jurek „sabotażysta” zgodnie z moimi przepowiedniami już dwa dni po aresztowaniu zaczął zdradzać oznaki głodu. Odtąd nie odstępował mi zupy, nie mówiąc już o chlebie. Głodowaliśmy więc solidarnie razem.

Mój towarzysz był jednak w nieco lepszym położeniu niż ja, w chwili aresztowania miał bowiem przy sobie jakieś pieniądze. Ja nie miałem, a aresztantowi w czasie śledztwa nie wolno było otrzymywać z zewnątrz żadnych pieniędzy. Kto miał je przy sobie, mógł z nich korzystać. Przy najbliższej nadarzającej się okazji Jurek kupił więc kostkę masła i pozwolił mi posmarować nim moją porcję chleba. To był najsmaczniejszy chleb, jaki jadłem w swoim życiu! Do dziś pamiętam jego smak. Czuję, jak wraca we mnie życie. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, co znaczy modlitwa dziękczynna.

* * *

Z końcem lutego ubecy przypomnieli sobie o mnie. Zaczęto mnie brać na przesłuchania, nawet po kilka razy na dobę. Często w nocy. Miałem więc sposobność, by przekonać się na własnej skórze, czym były owe sławne ubeckie nocne przesłuchania. Miały one na celu przede wszystkim zmęczenie przesłuchiwanego, a nie wydobycie zeznań. Więzielnik miał zostać doprowadzony do stanu, gdy przestaje mu na czymkolwiek zależeć i przestaje się kontrolować. I nie były to raczej tortury fizyczne, ale równie skutecznie powodowały wycieńczenie organizmu. Ja przeżyłem kilka takich nocy.

Do snu można było się układać tuż po apelu wieczornym, czyli po godzinie 21.00. „Układać się do snu” nie oznaczało wszakże w tym wypadku kładzenia się do łóżka, bo łóżko było tylko jedno i siennik też był tylko jeden, a nas było nawet trzech. Więc solidarnie kładliśmy się wszyscy na podłodze, siennik umieszczając pod nerkami, by nie leżeć na gołej posadzce.

Owej nocy położyłem się tuż po 21.00. Byłem wyczerpany przesłuchaniami w ciągu dnia. O 22.30 przyszedł konwojent, wybudził mnie z najgłębszego snu, kazał się ubierać i zaprowadził na przesłuchanie. Śledczy zadał mi kilka głupawych pytań w rodzaju: „Ile macie lat?” „Do jakiej szkoły chodziliście?”, i kazał zaprowadzić mnie z powrotem do celi. Byłem zdziwiony takim przebiegiem przesłuchania. Wróciłem do celi około północy. Zapadłem w kamienny sen. O 1.00 w nocy w celi znów pojawił się konwojent. Bezszykownie próbował mnie obudzić. Wtedy wylał mi na głowę zimną wodę. Zerwałem się, przerażony. Ten sam śledczy, tak jak kilka godzin temu, zadał mi serię niepotrzebnych pytań. Jedynym moim pragnieniem było w tej chwili móc się położyć i zasnąć. Zostałem odprowadzony z powrotem do celi. Było około 2.00. Położyłem się, ale czułem podświadomy lęk przed zaśnięciem. Psychika broniła się, by nie musieć jeszcze raz przeżywać stresu wybudzania z najgłębszego snu. Po pewnym czasie mimo wszystko zasnąłem. Niestety, około 4.00 uświadomiłem sobie, że na głowę leje mi się strumień zimnej wody. Znów byłem budzony w czasie głębokiego snu.

Sprowadzono mnie na dół. Śledczy po raz trzeci zadał mi te same pytania i tuż przed 6.00 kazał odprowadzić do celi. Zaraz będzie pobudka. Kucnąłem w rogu celi i mimo woli zasnąłem. Obudził mnie krzyk klawisza. Gdyby teraz stanął przy mnie jakiś ubek z pistoletem wymierzonym w moją głowę, byłoby mi to zupełnie obojętne.

W dzień spać nie pozwalali. Po śniadaniu usiadłem jednak na stołku, głowę oparłem o ścianę. Słyszałem, jak sąsiad celnik mnie wywołuje. Byłem całkowicie niezdolny do tego, by sprawnie odbierać i nadawać. Wystukałem krótko: „Wybacz mi, Czesiu, ale jestem po nocnym przesłuchaniu. Czuję się piesko

zmęczony. Stuknij wieczorem”. Odebrałem odpowiedź: „Rozumiem, w porządku”. Ponownie oparłem głowę o ścianę. Po chwili uciekła mi świadomość. Śniła mi się mama; to był zdrowy, miły, kojący sen. Oddziałowy spojrział przez judasza. Po cichutku otworzył drzwi. Podszedł do mnie i z całej siły wykopał spode mnie stołek. Upadek był bolesny. Wtedy po raz pierwszy w życiu odczułem, że serce bije mi bardzo nierówno.

Byłem wyczerpany po tej jednej nocy, a byli ponoć tacy męczennicy, którzy musieli przetrzymać dziewięć takich dób. Najboleśniejszą torturą jest tu właśnie owo wielokrotne wybudzanie z najgłębszego snu.

Następna noc wyglądała tak samo. Trzykrotnie wybudzano mnie i prowadzono na przesłuchania. Rano zaś wezwano mnie na prawdziwe śledztwo. Tym razem pytania były konkretne. Śledczy chciał się koniecznie dowiedzieć, czy były jakieś wzajemne kontakty pomiędzy Podziemną Kolonią a IV LO. Pytał także o broń, o ulotki. Był pewien, że po dwóch dobach męczarni będę śpiewał, jak on zapragnie. Miałem świadomość, że mój stan psychiczny był kiepski. Bałem się, że powiem coś, co mogłoby innym zaszkodzić. Dlatego tym usilniej zacząłem się modlić do Boga o pomoc... i Bóg mnie wysłuchał i wspomógł. Udzielił mi cudownego daru odwrócenia, które jest pewnego rodzaju znieczuleniem, głęboką obojętnością na wszystko. Moją odpowiedzią na pytania śledczego był niewyraźny bełkot, jakby pijackie mamrotanie. Powtarzałem w kółko: „Niczego nie wiem, nie pamiętam. Piesko chce mi się spać”. A śledczy wrzeszczał rozwścieczony: „Zaraz ci się odechce spać, ty chłystku, jak cię trzasnę w gębę!”. I rzeczywiście, gdy się upewnił, że niczego mądrego ze mnie nie wydusi, trzasnął mnie raz i drugi w twarz i kazał odprowadzić do celi. Miałem potężnego siniaka pod lewym okiem.

Chwilę po moim powrocie z przesłuchania drzwi celi otworzyły się i dwóch żołnierzy KBW przywlekło skatowanego człowieka. Żołnierze byli jeszcze na tyle ludzcy, że nie rzucili go na podłogę jak worek kartofli, lecz podali go Jurkowi i mnie.

Ułożyliśmy go ostrożnie na sienniku. Leżał spokojnie, nie jęczał, nie skarżył się, nie wyzywał. Był zakrwawiony, a plecy miał sine od pałowania. Na nogach miał otwarte rany powstałe w wyniku kopania podkutym buciorem po gołeniacz. Byliśmy bezradni. Co robić? Jak mu pomóc? Nie mieliśmy nawet kropli wody do przemycia ran. Zapukaliśmy w drzwi, by przywołać oddziałowego. Przez zamknięte drzwi przedstawiliśmy mu sprawę. Krzyknął: „Na razie dajcie spokój. Nic wam nie poradzę. Jutro przyjdzie lekarz”. Następnego dnia rzeczywiście zabrano więźnia i opatrzono mu nogi.

Gdy nowy lokator celi nr 9 doszedł jako tako do siebie, powitał nas życzliwym słowem i przedstawił się. Miał na imię Stanisław. Do mnie zaś powiedział żartobliwie: „A ty co tu robisz dzieciaku? Nie poszedłeś dziś do szkoły?”. Odpowiedziałem mu krótko i przekornie: „Co ja tu robię? Ano, przebywam”. Miałem mu śmiertelnie za złe, że nazwał mnie dzieciakiem.

Był to młody człowiek, lat około trzydziestu, blondyn o pociągłej twarzy. Miał na sobie wojskową bluzę angielskiego kroju. Taką, jak nosili żołnierze generała Andersa. Na rękawie jeszcze pozostał ślad po naszywce z napisem „POLAND”. Marzeniem moich młodzieńczych lat było mieć taką bluzę.

Tuż po obiedzie wezwano Stanisława na przesłuchanie. Dwóch żołnierzy KBW zaproponowało mu, że go sprowadzą na dół. Odpowiedział, że spróbuje zejść o własnych siłach. Wrócił przed kolacją. Tym razem nie wyglądał na specjalnie zmaltretowanego. W czasie posiłku rozmawialiśmy o naszych codziennych, aresztanckich sprawach. Któryś z nas opowiedział dowcip, by naszego towarzysza rozweselić. Stanisław uśmiechnął się wprawdzie, ale nie brał żywego udziału w naszej rozmowie. Był smutny, zamyślony.

Niedaleko gmachu gdańskiego Urzędu Bezpieczeństwa przebiegała kolej. Co dnia po kilka razy słychać było stukot kół i gwizd parowozów. Teraz też było słychać, jak nadjeżdża pociąg. Stanisław ni z tego, ni z owego, odezwał się ponuro: „Jeśli ten pociąg zagwizdże, będzie to znak dla mnie, że dostanę karę śmierci”. Sam przeraził się tego, co powiedział. Twarz mu stężała z napięcia, widać było, że boi się spełnienia fatalnej wróżby. A pociąg stukotał coraz bliżej... Wszyscy wyczekiwaliśmy w napięciu. Pociąg jednak przejechał bez gwizdania. Staszek odetchnął z widoczną ulgą, my też. Zaintrygował mnie. Co zrobił, skoro spodziewa się nawet kary śmierci.

Wśród więźniów aresztu śledczego obowiązywało niepisane prawo, że jeśli nie chce się wzbudzić wobec siebie niepotrzebnych podejrzeń o donosicielstwo, nie należy zadawać kolegom pytań dotyczących ich sprawy. My z Jurkiem trzymaliśmy się tej zasady i nie pytaliśmy o nic. A Stanisław niewiele mówił o sobie. Lecz pewnego dnia udało mi się uzyskać nieco więcej wiadomości na jego temat.

Staszek zawsze życzliwie patrzył na moje poranne modlitwy pod oknem. Jak mi później powiedział, to właśnie dzięki tym modlitwom zdobyłem jego zaufanie. On wprawdzie też się modlił rano – żegnał się i trwał przez chwilę w ciszy, wychodził jednak z założenia, że co dwie modlitwy, to nie jedna. Pewnego dnia, gdy zaprowadzono Jurka na przesłuchanie i zostaliśmy tylko we dwóch, zwrócił się do mnie: „Proszę cię, Kajtek, pomódl się za mnie serdecznie, bo koło mnie robi się coraz groźniej”. Przyrzekłem mu modlitewną pomoc.

Po raz pierwszy w więzieniu zostałem nazwany Kajtkiem. Tak nazywano wtedy takich właśnie nieletnich młodzieńców o chłopięcej twarzy. Pseudonim ten przyłgnał do mnie na dobre podczas dalszego pobytu w więzieniu, zwłaszcza w Jaworznie. (Spotkany po latach kolega – Kazik, z kopalni „Kościuszek Nowa”, przyznał, że nie znał mojego prawdziwego imienia).

Prosząc mnie o modlitwę, Staszek wymienił także sprawy najważniejsze, w których intencji miałem się szczególnie modlić: „Zarzuty stawiane mi przez UB są groźne, ale jak dotąd są to tylko poszlaki, których nie mogą udowodnić. Najważniejsze, aby moja narzeczona Halina, która także siedzi teraz w tym areszcie, zeznawała w sposób właściwy. Jak bardzo bym chciał się z nią porozumieć. Żebym wiedział, co ona dotąd zeznała! Żebym mógł jej przekazać, co ja zeznaję”. Przekazał mi jeszcze kilka istotnych szczegółów dotyczących jego sprawy. Dziś, dokładnie po 60 latach od tamtej rozmowy, potrafię to odtworzyć tylko w ogólnym zarysie.

W czasie wojny Stanisław służył w Wojsku Polskim na Zachodzie, bodajże w 1. Dywizji Pancerniej generała Maczka, ale nie jako czołgista. Tam poznał swą narzeczoną, która była radiotelegrafistką w tej samej dywizji. Po wojnie postanowili razem wrócić do kraju. Wrócili na samym początku lat pięćdziesiątych. Niecały miesiąc później oboje zostali aresztowani przez UB pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Wielkiej Brytanii. Stanisława oskarżono jeszcze o szereg innych przestępstw, jak na przykład sabotaż, dywersję, z mordem politycznym łącznie. Ten ostatni zarzut był najgroźniejszy, nic więc dziwnego, że Stanisław spodziewał się kary śmierci. Rzecz jednak w tym, że tego właśnie zarzutu, jak również oskarżeń o sabotaż i dywersję ubecy jak na razie nie byli w stanie udowodnić. Mieli jedynie poważne podejrzenia, dlatego usiłowali wymusić zeznania torturami. Potwierdzenie podejrzeń ubeków oznaczałoby wydanie na siebie wyroku. Jeden tylko zarzut był bezspornie oczywisty i niewymagający żadnego dalszego udowadniania; mianowicie Stanisław wraz ze swoją narzeczoną i jeszcze jednym akowcem, któremu ziemia paliła się pod nogami, zorganizowali ucieczkę sportowym samolotem do Szwecji. Samolot miał odlecieć z gdańskiego lotniska, ale nie odleciał, choć pasażerowie siedzieli już na swoich miejscach, gotowi do podróży. Ktoś zadenuncjował. Uprzedzeni funkcjonariusze UB wywlekli z samolotu niedoszłych porywaczy i posadzili w areszcie. Teraz zaś usiłowali torturami wymusić zeznania, przez które oskarżeni sami na siebie wydaliby wyrok – i to w sprawach o wiele poważniejszych niż porwanie samolotu. Jak Stanisław podkreślał, teraz wszystko zależało od Haliny, od jej roztropności i odporności.

Modliliśmy się ze Staszkiem, by Bóg dał dziewczynie siłę i mądrość.

Następnego dnia po wyznaniach Stanisława przyszło mi przeżyć bardzo trudne przesłuchanie. Jedno z najtrudniejszych w ciągu całego mojego 4-miesięcznego śledztwa. Jeszcze długo przed pobudką, gdzieś około 5.00 rano kazano mi się ubierać i sprowadzono do pokoju przesłuchań. Miałem stamtąd wrócić dopiero wieczorem, gdy już było ciemno.

Główny problem, który tym razem interesował śledczych, to kto z moich szkolnych kolegów, oprócz mnie, redagował jeszcze ulotki, kto mi pomagał, komu je pokazywałem. Najwidoczniej podejrzewali, że na terenie mojej szkoły działała jakaś większa organizacja. Na wszystkie te pytania odpowiadałem uporczywie, że wszystko robiłem sam i nikomu żadnych ulotek nie przekazywałem, bo nie widziałem takiej potrzeby.

Ubek, który pierwszy mnie przesłuchiwał – ten sam, który 5 marca złożył mi elegancko meldunek o śmierci Stalina – nie był szczególnie przykry. Najwidoczniej uważał siebie za następcę Sherlocka Holmesa, ponieważ skupiał się na wykazywaniu sprzeczności w moich zeznaniach. Krzyczał wprawdzie i groził, ale mnie nie bił. Niestety ok. 14.00 nastąpiła zmiana śledczych. Teraz wziął mnie w obroty mój stary znajomy z pierwszego 48-godzinnego przesłuchania; ten, który kopnął mnie na powitanie poniżej pleców. Ujrzawszy mnie, wyznał na samym wstępie, że gdyby to od niego zależało, to by mnie po prostu ukatrupił, bo „tacy wrogowie klasowi” nie powinni się pętać po świecie. Następnie zaczął mnie obrzucać wulgarnymi wyzwiskami. Jedno z nich ubliżało mojej matce, więc ostro zaprotestowałem. Trzasnął mnie z całej siły w twarz, aż spadłem ze stołka, ale w sumie spodziewałem się takiej reakcji. Był naprawdę rozwścieczony, wyraźnie tracił panowanie nad sobą i chyba nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co mówi, bo zaczął wykrzykiwać nade mną: „Ty polska świnio! Ty polski prosiaku! Ty mnie chcesz uczyć zasad dobrego wychowania?”.

Wtedy jeszcze nie rozumiałem wymowy tych wyzwisk. Dopiero koledzy z celi wyjaśnili mi później, że w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego stanowiska oficerów śledczych i prokuratorów wojskowych zajmowali ludzie nie tylko polskiego pochodzenia.

Pierwszy raz w życiu czułem się tak zniechęcony, ale się nie bałem. Czuję raczej gniew i bezsilną wściekłość. Nie miałem najmniejszej ochoty ani płakać, ani skomleć o litość, co najwidoczniej jeszcze bardziej rozwścieczyło mego prześladowcę. W pewnym momencie skoczył do mnie, porwał mnie za włosy i zawlókł do stołu. Zaczął walić moją twarzą o jeden z czterech jego rogów. Wybił mi zęby. Wprawa, z jaką ten rakarz to robił, pokazywała, że już wielu więźniom przerzedził uzębie.

Poczułem, że usta mam pełne krwi. Dwa zęby od razu wypadły oprawcy pod nogi. Trzy następne wypadły mi tego samego dnia. Przez moją obolałą głowę przebiegła mi smutna myśl – jak ja teraz będę wyglądał, taki szczerbaty.

Konwojent, który mnie odprowadzał, pozwolił mi wejść do łazienki i przemyć pokrawioną twarz. Gdy wszedłem do celi, koledzy spojrzeli na mnie ze współczuciem. Próbowałem się uśmiechnąć, ale nie było to łatwe z opuchniętą twarzą. Na znak, że trzymam się dzielnie, próbowałem wyseplenić jakiś sytuacyjny żarcik w rodzaju: „Oto, koledzy, wracam do was od swego dentysty, sławnego »wybijzęba«. Jest to prawdziwy fachura w swoim rodzaju i wam go polecam, ponieważ ten wybitny dentysta za swe cenne usługi nie bierze ani grosza!”. Koledzy nie uśmiechnęli się jednak ani trochę. Ich twarze wyrażały gniew. Stanisław uściśnął mi mocno rękę i powiedział uroczyście: „Kajtek, jestem z ciebie dumny. Umiesz być Polakiem”. Tego dnia przynajmniej w mojej celi chodziłem w prawdziwej glorii bohaterstwa. Pomyślałem sobie nawet, jak to miło czuć się bohaterem narodowym. Co mi tam zęby. Dałbym je sobie wszystkie wytłuc, byle móc cieszyć się tym miłym samopoczuciem.

Nie wiedziałem, że już wkrótce sam siebie rozczaruję.

Po dniu przerwy ubecy znów przypomnieli sobie o mnie. Śpieszyło im się chyba, by zakończyć moje śledztwo, bo brali mnie potem prawie codziennie na przesłuchania. Gdy mnie odprowadzano do pokoju przesłuchań, byłem przekonany, że ujrzę zaraz za biurkiem mojego sławnego „dentystę”. Tego dnia czekał na mnie jednak ten drugi – „Sherlock Holmes”. Gdy wszedłem do pokoju, uśmiechnął się do mnie życzliwie i powstał na powitanie. Zdziwiło mnie to zachowanie. Byłem jeszcze zbyt naiwny, by wietrzyć w tej kurtuazji jakikolwiek podstęp. Zastanawiało mnie jedynie, co mogło odmienić tego ubeka, że nagle stał się dla mnie taki grzeczniutki. Oto teraz wyraża mi głębokie współczucie, że mnie tak dotkliwie pobito. Po chwili dodał: „Wiem, Sroka, że jesteście głodni. Zjedzcie sobie bułkę z szynką i popijcie herbatą”.

Było ok. 9.00, nadchodziła zatem pora najdotkliwszego głodu więziennego. Co prawda zjadłem przed chwilą śniadanie – kawałek gliniastego, razowego chleba i popiłem niesłodzoną kawą zbożową. Ale zdaniem samych ubeków takie śniadanie nie było po to, by się nim najeść lub choćby zaspokoić głód. Miało jedynie zapobiegać śmierci głodowej.

Bułki nie widziałem na oczy już od ponad trzech miesięcy. Patrzyłem więc na tę podarowaną mi przez śledczego jak zahipnotyzowany. W naiwności swojej nie spodziewałem się po tak uprzejmym ubeku niczego złego, żadnego podstępu. Sądziłem po prostu, że naszła go fala szczerych, ludzkich uczuć. Zjadłem więc

bez skrupułów ofiarowaną mi wielkodusznie bułkę, popiłem herbatą, a na koniec wytarłem usta serwetką.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że udawane dobroć, życzliwość, współczucie, a także hojność w rozdawaniu bułek z szynką były jedną z metod prowadzenia śledztwa – dwóch śledczych: jeden pies, a drugi anioł, jeden drze się, klnie i bije po twarzy, a drugi pyta o zdrowie. A wszystko po to, żeby psychicznie zmiękczyć przesłuchiwanego.

Niestety, dałem się złapać na tę metodę. Ubek zapytał mnie tonem wzbudzającym głębokie zaufanie, tak po ojcowsku, kto widział ulotki sporządzone przeze mnie.

Do dziś nie rozumiem, jak się to mogło stać. Wiem, że nie usprawiedliwia mnie to, że byłem zmęczony i niewyspany. W jakimś fatalnym zaćmieniu umysłu podałem mu beztrzesko nazwisko kolegi z klasy, Heńka P. W tym samym momencie uświadomiłem sobie, że popełniłem kolosalne głupstwo. Śledczy pytał mnie jeszcze o coś, lecz ja, nie zważając na nic, zawołałem głośno: „Boże! Zmiłuj się nade mną! Co ja narobiłem?”. I rozbeczałem się jak mały dzieciak. Zrobiło mi się ciemno na duszy. Jestem słabeuszem! Zdrajcą! Kapusiem! Załamałem się na śledztwie jak cienki patyk. Zdradziłem kolegę. Oto, jaki ze mnie bohater. A jeszcze wczoraj byłem przekonany, że jestem silny i niezłomny jak Zawisza.

W tej mojej rozpaczycy zacząłem działać całkowicie nieracjonalnie. Prosiłem śledczego ze łzami w oczach, by wymazał to moje nieodpowiedzialne zeznanie, by nie robił z niego użytku: „Panie kapitanie! Ja nie chcę być kapusiem! Ja skłamałem. Błagam! Nikt nie widział moich ulotek”. „Sherlock Holmes” patrzył na mnie spokojnie, jakby nieco ironicznie. Nie odezwał się ani słowem. Widząc, że w takim stanie na nic mu się już więcej nie przydam, odesłał mnie do celi. Gdy smutny i zapłakany wróciłem do kolegów, spytali mnie: „Co? Dzisiaj też cię bili?”. Odpowiedziałem ze wstydem: „Nie, nie bili. Sam bez bicia wyspałem kolegę”. Staszek spojrzał na mnie z wyrzutem: „Jak mogłeś?”. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Ale potrzebne mi były takie własne słowa, nie pociecha. Czuję, że zawiniłem, więc słusznie należy mi się nagana.

Gdy po jakimś czasie przynajmniej częściowo ochłonąłem i nadawałem już do rozmowy, Stanisław wypytał mnie o to, co się wydarzyło, a następnie ostrzegł: „Teraz na najbliższych przesłuchaniach będą cię z całą pewnością nękać, byś zechciał pogłębić swoje zeznania odnośnie Heńka. Nauczony własnym, bolesnym doświadczeniem miej się na baczności. Pamiętaj, że z ubekami nie wolno prowadzić żadnych towarzyskich rozmów, jeśli chce się być w zgodzie z własnym sumieniem”.

Spytałem go, czy sądzi, że mogą Heńka skazać za samo to, że widział moje ulotki? Stanisław odrzekł, że jest taki artykuł w komunistycznym kodeksie karnym, pospolicie określany jako „wiedział, a nie powiedział”, pod który mogliby Heńka zakwalifikować. Wykorzystując ten artykuł komuchy chcieli zmusić Polaków, aby donosili jedni na drugich. Ktoś oskarżony z tego artykułu może posiedzieć kilka lat w więzieniu. „No, pięknie! – wykrzyknąłem. – To znaczy, że przez moją naiwność i głupotę skazałem kolegę na kilka lat katorgi”.

Znów zrobiło mi się na duszy ponuro i beznadziejnie. Cały czas modliłem się do Boga, by zmiłował się nade mną i zdjął ze mnie piętno hańby. Pomyślałem, że dobrze by było podjąć w tej intencji solidny post. Kolegów w celi prosiłem o modlitwę. Zastukałem również do celnika z tą samą prośbą.

Następnego dnia rano oznajmiłem kolegom, że dziś nie będę jadł chleba. Trudna to była dla mnie ofiara – wyrzec się głodowej porcji pożywienia, ale miałem silną motywację. Poprosiłem, aby mój chleb podzielili między siebie.

Dwa dni później wezwano mnie na przesłuchanie. Schodząc na dół, obmyślałem sobie, jaką by tu zająć postawę. Sprawa wydawała mi się jednak nie do uratowania. Złożyłem bowiem zeznania i stało się. Podczas przesłuchania „Sherlock Holmes” ani słówkiem nie napomknął jednak o sprawie Heńka. Ja też nie. Pocieszałem się, że może zapomniał o moim fatalnym zeznaniu, więc po co mu przypominać.

Kilka dni później wezwano mnie do „wybijzęba”. Ten również nawet nie zahaczył o Heńka. Jakby nie trafiły do niego moje zeznania. Przecież takie rzeczy się nie zdarzają. Czyżby cud? Czyżby Bóg raczył wysłuchać błagań grzesznika?! Po upływie miesiąca, kiedy nadszedł czas naszej rozprawy, pytałem moich szkolnych kolegów, którzy przyszli, aby zobaczyć się z nami, czy ubectwo czepiało się Heńka. Odpowiedzieli, że nikogo oprócz mnie żadne ubectwo się nie czepiało. A zatem dobry, litościwy Bóg zmiłował się nade mną. Uchronił moje sumienie od paskudnej plamy.

Bądź uwielbiony, Boże, za Twoje Miłosierdzie! Bądź pochwalony za to, że pomimo całej mojej słabości i ułomności nie stałem się dla nikogo powodem cierpienia i krzywdy.

Do dziś nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Wpadały mi do głowy różne wytłumaczenia. Czyżby „Sherlock Holmes” pod wpływem moich rozpaczliwych błagań rzeczywiście nie uwzględnił tego, co wypaplałem? Koledzy z celi uznali to za mało prawdopodobne, choć orzekli, że wykluczyć się tego nie da. Zastukałem do celnika i spytałem, co on na ten temat sądzi. Odpukał mi mniejszej tak: „Ty, Broniu, chyba masz słabą wiarę. Nie wierzysz w skuteczność

modlitwy, przecież modliłeś się, a raczej wielu z nas modliło się za ciebie. Czy zatem nie wierzysz, że modlitwy te zostały po prostu wysłuchane? Bądź więc na tyle grzeczny i nie zadawaj Panu Bogu niepotrzebnych pytań”.

Wszelako pomimo doznanej od Boga łaski odczuwałem niekiedy cień żalu wobec Niego o to, że nie pozwolił mi zbyt długo cieszyć się chwałą bohatera. Przez krótki czas rzeczywiście wydawało mi się, że mam prawo widzieć w sobie twardziela, który mimo że wybijano mu zęby, pary z gęby nie puścił. Przyznaję, że dobrze mi było z tym samopoczuciem. Dla młodego mężczyzny taki powód do chwały bywa przedmiotem najwyższego pożądanego.

Czemu więc Bóg dopuścił, bym sam sobą tak boleśnie się rozczarował?

Potrzebowałem jeszcze wielu lat, by dojść do wniosku, że na nic wysokie mniemanie o sobie, jeżeli nie jest oparte na fundamencie prawdy. Gdy już byłem w Jaworznie, miałem wątpliwe szczęście spotykać różnego rodzaju „załamanców” – kapusiów, służalców, tzw. aktywistów, piszących dla podlizania się panegiryczne wiersze na cześć komuny. Wszyscy oni uważali się za bohaterów, aby przynajmniej we własnych oczach podreperować mocno nadwerżoną reputację. Ale na próżno. Byli to bowiem ludzie smutni i ponurzy, a w dodatku złośliwi. A złośliwość i zgryźliwość to ponoć nieomyślne oznaki nieczystego sumienia.

Chyba jednak najgłębszy pokój serca i najprawdziwszą radość daje człowiekowi przekonanie, że pomimo całej swojej ludzkiej słabości jest się pod opieką dobrego, kochającego Boga.

* * *

Kończył się marzec. Za oknem lub jeśli kto woli – za więzienną kratą, świeciło wiosenne słońce. Zrobiło się ciepło. Tym smutniej było siedzieć teraz w ciemnej, ponurej celi, gdzie wciąż trzeba było płoszyć ciemności światłem żarówki, bo okno było malutkie. Choć od owych bolesnych przesłuchań minęło już kilka tygodni, to jednak dźwięki poranione po wybiciu zębów wciąż mnie bolały.

Mimo niewesołych perspektyw na przyszłość w naszej celi tętniło życie. Na razie nie brano nas na przesłuchania. By zagospodarować jakoś czas, opowiadaliśmy sobie różne historie. Stanisław dzielił się z nami ciekawymi, wojennymi przygodami. Dzięki temu zapominaliśmy o swym więziennym losie.

Pewnego dnia, jak zwykle po obiedzie, usiadłem pod ścianą, aby pogadać sobie z celnikiem. Niestety, tym razem nie udało mi się go wywołać. Głucha cisza. Pomyślałem, że może został wezwany na przesłuchanie. Postanowiłem więc zastukać wieczorem, jeśliby w międzyczasie on pierwszy do mnie nie zastukał.

Ale niestety ani wieczorem, ani przez cały następny dzień nikt się już z celi nr 8 nie zgłaszał. Domyśliłem się, że zapewne wywieziono już Czesia do więzienia na ulicy Strzeleckiej. Dwa dni wcześniej mówił przecież, że jego śledztwo zostało zakończone, może się zatem spodziewać wywózki.

Zrobiło mi się smutno.

Pan Bóg na moje trudne dni życia dał mi w celniku dobrego, życzliwego współtowarzysza niedoli. Wiele mu zawdzięczam. Przeto westchnąłem do Pana, aby pozwolił mi spotkać jeszcze tego człowieka, z którym przegadałem tyle godzin, a którego nigdy dotąd nie widziałem. Dobry Bóg już wkrótce spełnił moją prośbę. Najpierw jednak miałem stać się narzędziem cudownego Bożego Miłosierdzia względem innego współtowarzysza celi więziennej, Stanisława.

Moje śledztwo też miało się ku końcowi. Pewnego pięknego kwietniowego poranka sprowadzono mnie na dół. Tu spotkałem się nie tylko z samym śledczym, lecz także z prokuratorem, który miał mnie sądzić i skazywać. Przy niewielkim stoliku siedziało nas trzech: „Sherlock Holmes”, prokurator i ja. Teraz miała się rozegrać scena, jakby żywcem wyjęta z taniej groteski.

Prokurator, chcąc mnie o coś spytać, nie zwracał się bezpośrednio do mnie, lecz przez pośrednictwo śledczego: „Spytajcie, kapitanie, oskarżonego Bronisława Srokę, czy...”. Ja, słysząc przecież, o co mnie pytają i chcąc zaoszczędzić niepotrzebnej gadaniny, próbowałem odpowiedzieć na pytanie, zwracając się wprost do prokuratora. Ten wszelako energicznie zaprotestował. W ten sposób przez ponad godzinę trwał ten niezwykle trialog.

I jak tu się nie śmiać?

W ten sposób zakończyło się moje śledztwo. Teraz pozostało już tylko czekać na transport do więzienia. Miałem się go doczekać już wkrótce, bo zaledwie za kilka dni. Nie obyło się jednak przy tym bez pewnych komplikacji.

Tych, których po zakończonym śledztwie przeznaczano już na wywózkę do tzw. Sing-Sing (w polskiej nomenklaturze więziennej określano tak więzienie karno-śledcze przy ulicy Strzeleckiej 2 w Gdańsku), wyprowadzano najpierw piętro wyżej do łazienki, która od wielu już lat służyła za poczekalnię. Pomieszczenie znajdowało się na samym początku oddziału kobiecego. Na naszym piętrze też była taka łazienka, w tym samym położeniu. Więźniowie korzystali z niej dwa razy dziennie, rano, tuż po pobudce, oraz wieczorem, przed pójściem spać. Wynoszono wtedy i oczyszczano kible. Zależnie od przeróżnych okoliczności takie czekanie w łazience na dalszą podróż mogło trwać od pięciu minut do czterech godzin.

Od współwięźniów, a także od klawiszy słyszałem już co nieco o tej „poczekalni”. Kiedy mnie w niej zamknięto, wiedziałem, że za ścianą siedzą kobiety. Pomyślałem sobie zatem, jakby to było miło, gdyby udało mi się porozmawiać z pięknymi paniami. Mocno powątpiewałem jednak, czy którakolwiek z nich zna alfabet Morse’a. Mimo to siadłem pod ścianą i zacząłem stukać w nią guzikiem.

Odezwały się. I to nawet kilka naraz. Stukały coś bez ładu i składu, aby stukać.

Po chwili, na wszelki wypadek, posłałem do nich jakiś tekst alfabetem Morse’a, jednak bez wiary, że otrzymam odpowiedź. Jakże wielkie było moje zaskoczenie, gdy po tamtej stronie ściany ktoś zgrabnie zaterkotał prawdziwym alfabetem Morse’a. Rytmicznie, fachowo, wprawnie, ledwie nadążałem z odbiorem. Sprawczyni tego terkotu przedstawiła mi się. Ma na imię Halina, siedzi już prawie dwa miesiące i nie wie, co ją czeka, ponieważ stawiane jej zarzuty są groźne. Zapytywała z kolei, kim ja jestem, za co siedzę i skąd znam alfabet. Odpowiedziałem, że mam na imię Broniek, jestem uczniem dziewiątej klasy, a siedzę za organizację. Morse’a znam, bo jestem harcerzem. „A ty, Halinka, skąd znasz Morse’a?” „Jeszcze z czasów wojny” – odpowiedziała.

W tej chwili coś mi zaczęło świtać; ma na imię Halina, siedzi już drugi miesiąc za sprawy polityczne i jest radiotelegrafistką. Wszystko się zgadza, ale czy to możliwe? Czy nie jest to przypadkiem jakaś ubecka sztuczka? Postanowiłem się upewnić. „Halina – pytam. – Czy ty nie chciałaś porwać samolotu i zwać do Szwecji?” Nastąpiła dłuższa cisza. Rozumiem. Ona też ma prawo podejrzewać, że to ubecka prowokacja. Zapytałem więc: „Czy znasz Stanisława P.?” „Tak, znam. To mój narzeczony i współnik w mojej sprawie. A ty skąd go znasz?” „Jeszcze 20 minut temu siedziałem z nim w jednej celi. A teraz, Halinko, uważaj dobrze, co ci powiem”. Wystukałem jej wszystko, co wiedziałem na temat zeznań jej narzeczonego. Trudno, trzeba było zaryzykować. Może to nie prowokacja, a cudowna Boska interwencja – pomyślałem sobie. Halina najwyraźniej ucieszyła się z przekazanych jej wiadomości. Po chwili stuka do mnie: „Dziękuję! Należy ci się duża buźka!”. Odpowiadam jej: „Pewnie, że mi się należy”. Zadała jeszcze kilka pytań na temat tego, co wiem o zeznaniach Stanisława. Co wiedziałem, to jej powiedziałem.

Przez chwilę pogawędziliśmy sobie o sprawach bliskich sercu, choć niezwiązanych bezpośrednio z naszą obecną sytuacją. Z krótkich wypowiedzi Haliny wywnioskowałem, że jest to dziewczyna wesoła, pogodna i inteligentna i że na zabój kocha Polskę. Ponadto zwierzyła się, że wiara w Boga jest teraz jej największą otuchą oraz że w modlitwie odnajduje największą siłę i pociechę. Bardzo krzepiąca była dla mnie ta rozmowa. W pewnej chwili Halina powróciła nagle do zasadniczego

tematu: „Broniek! Gdybyś jeszcze spotkał Staszka, to przekaz mu...”. Przerwałem jej energicznie: „Już go nie zobaczę. Zaraz mnie wywiozą na Strzelecką. Po to przecież mnie tu wyprowadzili”. Nalegała jednak: „Ale gdybyś go zobaczył, to przekaz mu...”. Już jej nie przerywam. Słucham tylko, co takiego chce przekazać Stanisławowi. Okazuje się, że nie są to żadne pozdrowienia ani całusy, lecz bardzo konkretne wiadomości, które mogłyby mieć istotne znaczenie dla sprawy.

Zrobiło mi się smutno, że nie mogę spełnić prośby Haliny, bo przecież nie wrócę już do Stanisława, do celi nr 9. Tak mi się przynajmniej wydawało. Zaproponowałem jej jednak, byśmy się razem przez chwilę pomodlili – każde z nas po cichu, aby dobry Bóg miał nas w swojej opiece. Przerwaliśmy więc na moment stukanie. Po kilku minutach ona pierwsza do mnie zastukała: „Pomodliłam się z całego serca także i za ciebie. I nawzajem proszę, byś i ty pamiętał o mnie w modlitwie”. Odpowiedziałem skwapliwie: „Halinko, daję słowo, będąc się bardzo gorąco za ciebie modlił, tym bardziej że Stanisław opowiadał mi o tobie, że jesteś piękną kobietą”. Za te poufale słowa Halina dała mi klapsa: „Oj, Bronku, widać, że jesteś dzieciak”. Za tę obelgę chciałem jej odpalić coś okrutnie złośliwego, ale w tej właśnie chwili zazgrzytał klucz w zamku, a w drzwiach stanął konwojent: „Bierzcie swoje manatki, Sroka. Wracacie pod swoją dawną celę. Nie ma już dziś dla was miejsca w więzieniu. Dopiero za kilka dni się zlużuje”.

I w ten oto sposób znalazłem się znowu wśród swoich dawnych kolegów. Według klawiszy coś podobnego nigdy się jeszcze nie wydarzyło, aby jakiś aresztant skazany na transport do Sing-Sing wrócił z łazienki do swej dawnej celi.

Staszek leżał na sienniku pokrwawiony i posiniaczony – znów został pobity w czasie śledztwa, ale gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się: „Witaj, Kajtek! Jakim cudem znów się tu znalazłeś wśród nas? Przecież mieli cię wyprawić do Sing-Sing”. „Ano chyba słusznie mówisz, że cudem, ale jak ci coś powiem, to pęknieś z zazdrości”. „???” „Otóż całowałem się z twoją Halinką przez ścianę”. „Ty podrywacz, gadaj, jak to było?” „Przede wszystkim nie jestem podrywaczem. To ona mi zaproponowała całuska, jak jej przekazałem to, co wiem na temat twoich zeznań. No i co? Zazdrościsz mi?” „Cholernie! Ale mów dalej”. Opowiedziałem mu więc wszystko po kolei. Ze szczególną uwagą słuchał tego, co przekazała mi Halina na końcu, czyli relacji z jej zeznań. Co rusz chwalił swą narzeczoną, że mądrze zeznaje. Gdy mnie wysłuchał do końca, zawołał: „Jak tu nie wierzyć w cuda?”. „No właśnie. Ja też się o to pytam”. „Kajtek! Żebyś ty wiedział, jak ważne rzeczy mi przekazałeś. Chyba naprawdę ocaliłeś mi życie. Teraz wiem, czego mam się trzymać w zeznaniach”. „Ja też dziękuję Bogu, że mogłem być narzędziem w rękę Jego Świętej Opatrzności”.

Pobyłem jeszcze parę dni w celi nr 9, wśród swych serdecznych przyjaciół. A potem przewieziono mnie do więzienia przy ulicy Strzeleckiej, czyli do sławnego gdańskiego Sing-Sing, gdzie wraz z moimi kolegami z Podziemnej Kolonii czekałem na rozprawę. Ze Stanisławem już nigdy więcej się nie spotkałem. Dowiedziałem się później, że tak jak ja został skazany na 5 lat więzienia. Jego narzeczona dostała 2 lata za usiłowanie porwania samolotu.

Nie wiem, jakie były dalsze losy tych dwojga moich przyjaciół. Czy się pobrali? Gdzie zamieszkali po odsiedzeniu wyroku? Jak im się ułożyło życie? Wspominam ich z wdzięcznością i życzliwością, czasem modłę się za nich. Jeśli żyją do dziś, to każde z nich miałoby teraz przynajmniej 86 lat.

Cieszę się, że Pan Bóg pozwolił mi uczynić dla nich coś dobrego.

Sing-Sing

Na początku kwietnia 1953 r. przewieziono mnie na ulicę Strzelecką do więzienia wybudowanego jeszcze przez Prusaków. Jechałem ulubionym ubeckim samochodem – Citroënem, pod eskortą aż trzech funkcjonariuszy. Byłem dumny, że w ich oczach jestem tak groźnym przestępcą, że wymagam tak licznej obstawy.

Przejechaliśmy przez kilka bram. Każdej z nich strzegł osobny klawisz z pięciem kluczy w dłoni. Wreszcie wprowadzono mnie do budynku więziennego. Znalazłem się na drugim piętrze, na długim korytarzu – z każdej strony było po kilkadziesiąt cel. Wyglądało to jak słynne amerykańskie więzienie Sing-Sing, które kojarzyłem z filmów gangsterskich. Ubecy przekazali mnie oddziałowemu. Ten zaprowadził mnie pod celę nr 11. Z okropnym zgrzytem zamka otworzył drzwi i wepchnął mnie do środka.

Był to oddział śledczy. Cele były tu większe niż na Okopowej – mniej więcej 3 na 4 m. Większość przebywających tu więźniów czekała dopiero na rozprawę. Po wyroku natomiast kierowano ich do innych oddziałów więzienia.

W celi, do której mnie wepchnięto, zastałem dwóch aresztantów, obaj mieli około 30 lat. Jeden miał posturę osiłka, drugi miał ciemny wąsik i ubrany był w zielony mundur ze złotymi guzikami. Uśmiechnąłem się nieśmiało i się przedstawiłem: „Broniek jestem”. Ten w zielonym mundurze wlepił we mnie oczy i zawołał z niedowierzaniem: „To myśmy chyba jeszcze do niedawna rozmawiali ze sobą przez ścianę. Czesław jestem, celnik”. Padliśmy sobie w objęcia jak dwaj starzy przyjaciele. Ten trzeci, który przedstawił się jako Zbyszek, marynarz floty handlowej, patrzył na to wszystko zdziwiony, niczego nie pojmując.

I tak oto znaleźliśmy się z celnikiem w jednej celi. Nie musieliśmy się o nic pytać. Wiedzieliśmy o sobie prawie wszystko.

To, co tu opisuję, może się wydawać jakąś niesamowitą opowieścią. Czasem ja sam patrzę na ten trudny odcinek mego życia jak na serię niezwykłych zbiegów okoliczności. Czuję wówczas jednak, że nie jestem w porządku wobec dobrego Boga, który w najtrudniejszym okresie mego życia dawał mi dowody, że jest ze mną i nade mną czuwa. Po tym, czego wtedy doświadczyłem, wierzę w skuteczność ufnej modlitwy. Śpiewamy przecież w jednym z psalmów: „Biedak zawołał, a Pan go wysłuchał!”. Przekonałem się osobiście, jak prawdziwe są te słowa. I chcę dać temu świadectwo.

Bóg naprawdę wysłuchuje modlitwy tych, którzy Mu zaufali. Czasem w niezwykły sposób. Dlaczego tłumaczenie wszystkiego przy pomocy martwego, ślepego, nierozumnego przypadku miałoby być bardziej racjonalne, bardziej naukowe niż uznanie, że w świecie działa Rozumna Przyczyna? Czemu niektórzy wolą wybrać raczej absurd aniżeli sens? Dlaczego niektórym ludziom, nawet wierzącym, tak trudno uwierzyć w skuteczność modlitwy?

* * *

W celi nr 11 mieszkaliśmy z celnikiem ponad dwa miesiące. Żegnał mnie, gdy mnie przerzucano po wyroku z naszej celi na inny oddział Sing-Sing. To był pożyteczny okres w moim życiu. Ważne było już choćby samo to, że warunki bytowe uległy poprawie. Na przykład okno w celi było znacznie większe niż na Okopowej, a ściany były pomalowane na seledynowo. Dla więźnia ma to duże znaczenie. Takie drobne szczegóły bardzo poprawiają nastrój. Ponadto stąd nie brano już na przesłuchania. Była też tzw. wypiska, czyli możliwość kupienia sobie jakiegoś jedzenia za pieniądze przysłane z zewnątrz. Oznaczało to dla mnie koniec trwającego od początku lutego głodowania.

Pewnego dnia powiadomiono mnie, że mam na koncie 50 zł. Pieniądże przysłała mi mama. Za tę sumkę można było już coś kupić. Przeciętny zarobek wynosił wtedy 2500 zł. Potem rodzinka przysyłała mi regularnie po 300 zł miesięcznie.

Pamiętam jak dziś, że kupiłem sobie wtedy za tę moją pierwszą więzienną wypiskę ćwiartkę masła, dwie konserwy rybne, słoik sztucznego miodu, 20 dag czosnku i 2 kg jasnego chleba.

Wypiskę tego dnia miała cała nasza cela. Sprowadzono nas do kantyny, na parter, każda cela po kolei. I tak co dwa tygodnie. Dla celnika i marynarza też była to pierwsza więzienna wypiska. Tego dnia mieliśmy zatem nie lada ucztę. Po powrocie z kantyny położyliśmy wszystko na stole. Był cukier, masło, dwa kilogramy kielbasy, konserwy rybne, jakieś słodczyce, jabłka, no i mió

czasnek, który cieszył się dużym powodzeniem. Po raz pierwszy od długiego czasu najedliśmy się wreszcie do syta. Szczerze dziękowaliśmy za to Panu Bogu.

Zresztą w więzieniu na Strzeleckiej jedzenie było nieco lepsze niż na Okopowej. Dodatkowo dostawaliśmy tu pół kostki topionego sera i łyżkę cukru. Raz w tygodniu dawano nam kawałek mięsa lub ryby, przeważnie dorsza.

Aby nie wyjść z wprawy w stukaniu alfabetem, próbowałem nawiązać kontakt z sąsiadami. Ci z prawej odstukiwali mi coś bez ładu i składu, ale sąsiad po lewej, którego imienia nie pamiętam, okazał się żołnierzem służby czynnej z piechoty. Morse'a znał tak jak ja – z harcerstwa. Siedział od ponad pół roku pod zarzutem zniewagi majestatu wodza rewolucji – podczas sprzątania świetlicy wojskowej strącił niechcący miotłą portret Lenina. Portret spadł na ziemię i się rozbił. Żołnierz natychmiast został aresztowany i przekazany prokuraturze wojskowej. Później dowiedziałem się, że został skazany na pół roku więzienia. Prokurator domagał się dużo więcej.

Maj roku 1953 był wyjątkowo zimny. Spadł śnieg, nawet sporo. A ja wyładowałem w karcerze za wdrapywanie się na okno, co było surowo zakazane. Gdy strażnik przyłapał mnie na tym po raz drugi, stwierdził, że lekceważę jego upomnienia. I tak trafiłem w zimną noc do zimnego karceru ze szczurami.

Zbyszek, który znał gdańskie karцery, zaopatrzył mnie w nielegalne pudełko zapalek i poradził mi, bym zabrał ze sobą trochę toaletowych gazet.

Dobrze mi poradził.

Do karceru można było wziąć ze sobą tylko jeden koc, bez prześcieradła. Prycza z dębowych desek była twarda jak więzienna dola. Obudowano ją kratami, tak że nie było dostępu do drzwi. Zastukanie na klawisza było więc niemożliwe. Klawisza zresztą i tak nigdy tam nie było. Pojawiał się jedynie w czasie rozdawania posiłków. Ponoć w noc wszyscy klawisze ze wszystkich pięter schodzili się do jednej kanciapy i do świtu grali w karty.

Do karceru sprowadzono mnie około 20.00. Kazano zdjąć ubranie, złożyć na stołku i wystawić na korytarz. Zostałem w cienkich płóciennych gaciach i koszulce. Klawisz zachęcił mnie jeszcze uprzejmie, abym kładł się spać. W celi na pewno nie było więcej niż 7 stopni. Na dworze było poniżej zera. Trząłem się z zimna i szczekałem zębami. Owinąłem się kocem, ale nie na wiele się to zdało, nawet gdy złożyłem koc na dwoje. Położyłem się na pryczy i zwinąłem w trąbkę, aby koca starczyło na nakrycie całego ciała. Długo nie mogłem zasnąć. Wreszcie, wciąż trzęsąc się z zimna, zapadłem w drzemkę.

Obudziłem się, gdy poczułem, że coś mi przebiegło po grzbiecie. Potem znów. Wokół słyszałem piski. Przypomniały mi się wszystkie makabryczne opowieści o tym, jak zgłodniałe szczury pożerają ludzi.

Sięgnąłem po przemycone zapalki i zapas gazet toaletowych. Jedną z nich zmiąłem tak, by mogła służyć za pochodnię. Kiedy ją zapaliłem, zobaczyłem na posadzce trzy duże wilgotne szczury, które najwyraźniej dostały się tu przez kanalizację. Gapily się na mnie z zainteresowaniem. Tupnąłem nogą – żaden z nich nawet nie drgnął. To ja się bałem, nie one. Musiałem zmusić je, by wróciły tą drogą, którą przylazły, i zatkać porządnie otwór kolanka w kiblu.

Zapas gazet mógł mi wystarczyć zaledwie na cztery pochodnie. Tymczasem pierwsza z nich już się dopalała.

Na szczęście zauważyłem, że pod deskami pryczy leży kilka cegieł – nieomylny znak bohaterskich zmagania moich poprzedników z tymi obrzydliwymi stworami. Wziąłem jedną z nich i rzuciłem w szczura – trafiłem go w nogę. Narobił okropnego pisku i na trzech nogach, pośpiesznie uciekł do kanalizacji. Pozostałe dwa ruszyły za nim.

Pozostałem sam na polu walki. Czuję się jak zwycięski torreador. Teraz pozostało mi już tylko zatkać otwór cegłami.

Pomimo srogiego zimna udało mi się przedrzemnąć do pory pobudki o 6.00. Mogłem już wziąć z korytarza stołek z ubraniem. Zwinąłem się na pryczy jak poprzednio i usiłowałem zasnąć.

Mniej więcej godzinę po śniadaniu, gdy znów zapadałem w drzemkę, obudził mnie przeraźliwy hałas – odgłosy awantury, wrzaski, przekleństwa, wyzwiska. Jakby cała drużyna klawiszy prowadziła jednego nieszczęśnika.

Otwierają się drzwi karceru. Na korytarzu słychać odgłos podkutych butów, jakieś szamotanie... Wreszcie klawisze wpychają ciągle bluzgającego delikwenta do ciemnej karcerowej celi, a ten rzuca im jeszcze na odchodne piękną wiązanekę – jak w powieściach Londona.

Po wyjściu strażników nastąpiła chwila ciszy, po czym nowy karcerowicz zaczął mocnym barytonem śpiewać modny wówczas przebój: „O, Mary i John! O, Mary i John! Jak oni się kochają! Nie ma w całym Ohio pary nad Mary i John!”

Zaciekawił mnie ten twarziel, który w karcerze zamiast się załamać, wyśpiewuje przeboje.

Kichnąłem, żeby zasygnalizować, że ja też tu jestem. Na to urwał się recital wokalny i padło pytanie: „Co za licho? Zdaje się, że ktoś kichnął bez pozwolenia. Czy jest tu kto?”. Potwierdziłem nieco ironicznie moje istnienie: „I owszem. Jest tu ktoś”. „Nie zgrywaj się przyjacielu, tylko przyznaj się, coś za

jeden”. Więc się przyznałem: „Broniek jestem, licealista-antykomunista. Ty też się przyznaj, czym sobie zasłużyłeś, że cię tu przyprowadzono w tak uroczystej, honorowej asyście. Musiałeś nieźle narozrabiać”. „Od razu narozrabiać. Jestem chłopiec grzeczny, więc raczej rzadko rozrabiam. Znalazłem się tutaj za szczerość. Klawisz mnie wnerwił, więc mu powiedziałem bardzo szczerze, co o nim myślę”. „Z pewnością myślałeś o nim nie tak, jak sobie tego życzył i stąd całe nieporozumienie”.

Mój głos zastanowił chyba rozmówcę, bo nagle zapytał: „Ile masz lat?”. „Wstyd się przyznać, ale jak się jest w dziewiątej klasie, to raczej nie wypada mieć więcej jak pięćdziesiąt, no nie? – odpowiedziałem ironicznie. – Ale powiedz mi jeszcze łaskawie, jak mam na ciebie wołać?” „A wołaj sobie, jak ci się podoba. Jestem Włodek, marynarz z ORP »Błyskawica«”.

Zamurowało mnie. Włodek z „Błyskawicy”. Jeden z owych polskich bohaterów narodowych, o których głośno dziś jest nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.

Gdy w 1949 r. na stanowisko naczelnego dowódcy peerelowskich Sił Zbrojnych został mianowany, a ściślej, narzucony przez Moskwę, dotychczasowy marszałek Związku Sowieckiego Konstantin Rokossowski, przez środowisko wojskowe przeszła fala protestów. Najbardziej stanowczo zaprotestowała właśnie załoga „Błyskawicy”. Kapitan, oficerowie i cała kilkudziesięcioosobowa załoga postanowili wsiąść na okręt i powrócić do Anglii. Niestety ktoś ich zadenuncjował i gdy polski niszczyciel wypłynął w morze, otoczyły go peerelowskie i sowieckie kanonierki i zmusiły do powrotu. ORP „Błyskawica” nie był wyposażony w amunicję, zatem bronić się nie mógł. Zresztą dowództwo okrętu takiej decyzji i tak by nie podjęło, by nie dopuścić do rozlewu krwi.

Represje wobec ujętej załogi były srogie. Kapitan i kilku oficerów skazanych zostało na karę śmierci. Natomiast pozostałych skazywano na 10 do 15 lat więzienia. Postawa załogi „Błyskawicy” w czasie śledztwa i rozprawy była godna najwyższego uznania i szacunku. Pomimo tortur na śledztwie nikt się nie załamał, nikt nie sypał, w czasie rozprawy zaś nikt się nie kajał. Wszyscy zgodnie podkreślali, że ich decyzja była protestem przeciw sowietyzacji armii polskiej.

Jeszcze za moich czasów w gdańskim więzieniu krążyły opowieści o tym, jak godnie dowódcy „Błyskawicy” szli na śmierć. To byli prawdziwi bohaterowie.

Zresztą nie tylko dowództwo, ale i cała załoga naszego sławnego okrętu wojennego cieszyła się wprost legendarną czcią. Gdy byłem już w Sztumie, więźniowie wyglądali przez okno na podwórko spacerowe, czy nie zobaczą tam kogoś znajomego. Czasem ktoś wołał: „O, zobaczcie! Ten drugi od końca

w szeregu to marynarz z »Błyskawicy«. Wtedy wszyscy cisnęli się do okna, także kryminaliści, by zobaczyć bohatera.

I oto los sprawił, że tu, w karcu, mam teraz możliwość pogadania z jednym z owych wielkich bohaterów, którzy swym zuchwałym czynem zadziwili Polskę i cały świat. Sama świadomość wielkości tego człowieka onieśmieliła mnie do tego stopnia, że nie widziałem, co powiedzieć, a zwłaszcza nie miałem ochoty na dalsze przekomarzanie się. Jakby jakiś dzielny husarz spod Wiednia stanął teraz przede mną! Czuję, że powinienem powiedzieć coś podniosłego. Dziś nie pamiętam, co powiedziałem, chyba coś w stylu: „Jako jeden z bohaterskiej załogi »Błyskawicy« jesteś chlubą i dumą narodu”. Wyszło bardzo niezgrabnie. Jąkałem się.

Z kłopotu wybawił mnie sam Włodek: „Broniu, czemu ty się ze mnie nabijasz?”. I szybko zmienił temat: „Z moich obliczeń wynika, że masz dopiero 17 lat”. Nie omieszkałem uzupełnić: „Owszem, twoje obliczenia są poprawne. Mam dziś dokładnie 17 lat i 12 dni, bo urodziłem się w samo komunistyczne Święto Pracy”. „O, nieszczęsny! Po coś to uczynił?”

I tak przegadaliśmy cały dzień, zapominając, co to więzienna nuda. Wieczorem kończyła mi się kara karceru. O 20.00 przyszedli po mnie. Przy pożegnaniu Włodek krzyknął do mnie: „Broniu! Trzymaj się dzielnie!”. Odrzeczyknąłem: „Dobrze! Spróbuję, ale to nie jest takie proste”.

Mieliśmy się znów zobaczyć dopiero za rok, w Jaworznie.

Czesia – celnika, i Zbyszka – marynarza floty handlowej, zastałem w dobrym zdrowiu i pogodnych nastrojach. Miałem im co opowiadać. Szczególnie rozbawiła ich relacja z moich dzielnych zmagani z szururami. Podziękowałem Zbyszkowi za jego dobre rady i za pudełko zapalek, bez których nie wiem, jakbym sobie poradził.

Dwa dni po moim powrocie z karceru otrzymałem z prokuratury akt oskarżenia – nieomylny znak, że zbliża się termin rozprawy. Urzędowy dokument liczył 17 stron drobnego druku i zawierał stwierdzenia, w świetle których byłem bardzo groźnym przestępcą. Według tego dokumentu miałem tylko jedną naprawdę solidną pasję życiową, którą było namiętne szkalowanie Związku Radzieckiego. Ta moja grzeszna skłonność znajdowała zaś swój upust w tym, że redagowałem ulotki o treści najczęściej antyradzieckiej.

Innym, stawianym mi w tym dokumencie zarzutem, było produkowanie bomb, min i granatów – i to wszystko z materiałów przeze mnie samego wytworzonych. Było jeszcze wiele innych zarzutów, które prokurator wytaczał przeciwko mnie – nielegalne posiadanie broni, uprawianie propagandy antykomunistycznej

wśród młodzieży szkolnej etc. Po tylu latach trudno przypomnieć sobie ich dokładne brzmienie. Najpoważniejszy spośród nich był zarzut przynależności do podziemnej organizacji, której celem było obalenie przemocą ustroju Polski Ludowej (art. 86 par. 2 KKWP – Kodeksu Karnego Wojska Polskiego: „Kto usiłuje przemocą zmienić ustrój Państwa Polskiego, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci”, oraz art. 24 par. 1 Dekretu z dnia 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa: „Kto przechowuje pisma, druki lub wizerunki wymienione w art. 23, podlega karze więzienia do lat 5”). Z tych też artykułów zostałem skazany.

W owym czasie bardzo po peerelewskich więzieniach i obozach pracy tułało się wielu młodych Polaków skazanych z tego właśnie artykułu. W gronie „politycznych” jego treść określano ironicznie: „Chciał obalić do góry nogami PRL...”.

Tyle jeśli chodzi o treść mego aktu oskarżenia. Ale ów dokument, oprócz treści, posiadał dla mnie jeszcze inną, bardzo cenną wartość. Otóż sporządzony był na kartkach papieru zapisanych tylko po jednej stronie. W ten sposób stałem się posiadaczem 17 czystych stron papieru. Był to jak na więzienne warunki bardzo cenny nabytek.

Teraz pozostało mi tylko skombinować jakiś ogryzek ołówka. Warto zaznaczyć, że zarówno kartka papieru, jak i ołówek to artykuły, których posiadanie było w naszym więzieniu zabronione. Wyjątek stanowił tu właśnie akt oskarżenia bądź jakiś inny ważny dokument sądowy.

Ucieszyłem się z posiadania owych kartek papieru, miałem bowiem w planie zapisać sporo rzeczy. Przede wszystkim zamierzałem odtworzyć z pamięci układ okresowy pierwiastków. Zależało mi na tym, by nie zapomnieć podstawowej wiedzy z chemii. Chciałem ponadto sporządzić, także z pamięci, kilka map.

Ciągle jeszcze jednak pozostawał problem z ołówkiem.

Któregoś dnia przy śniadaniu westchnąłem publicznie, że bardzo przydałby mi się jakiś kawałek ołówka. Wówczas wyszło na jaw, że Zbyszek jest niedoścignionym mistrzem w zdobywaniu rzeczy niedozwolonych. Ze swego schowka w szparze posadzki począł wyjmować po kolei pudełko zapatek, dwa gwoździe, nawet pół żyłki (posiadanie tego artykułu było szczególnie ścigane przez władze więzienne) i wreszcie... kawałek ołówka. Położył go na więziennym stoliku, resztę zaś schował pieczołowicie do kryjówki. „Oto masz swój upragniony ołówek. Daję ci go do czasowego użytku...” „Cudotwórco! – wykrzyknąłem – Jakiś ty wielki!”

Z radością sięgnąłem po ów szczątek ołówka i zabrałem się do szkicowania tablicy Mendelejewa.

Któż mógł przewidzieć, że wyniknie z tego straszna chryja, a przy tym totalna kompromitacja straży więziennej.

Władze więzienne urządziły kipisz na naszym oddziale. Kipisz, to taka gruntowna rewizja celi. Klawisze poszukują wtedy różnych niedozwolonych rzeczy: żyłek, lusterek, ołówków, zapalek, a także grypsów czy nielegalnych druków.

Do naszej celi weszło trzech funkcjonariuszy. Mój akt oskarżenia leżał na stoliku – nie miałem powodu, by go chować. Czułem się przecież jego całkowicie legalnym posiadaczem. Niestety, jeden z klawiszy przytrzymał się do niego, a dokładniej do tego, co było na nim napisane moją ręką. Zaczął głośno krzyżeć, że oto odkrył jakiś szyfr, który niezbitie dowodzi, że w więzieniu zawiązał się spisek.

Próbowałem mu tłumaczyć, że nie jest to żaden szyfr, tylko układ okresowy pierwiastków chemicznych. Na to on wrzasnął: „Co wy mi tu, Sroka, będziecie... [brzydkie słowo] o jakichś tam pierwiastkach chemicznych! Ja dobrze wiem, co to jest! Mnie nie wywiedziecie w pole. Ja się znam na szyfrach”.

Pozostali klawisze przerwali przeszukiwanie celi, cała trójka z wielkim zaciekawieniem przyglądała się moim notatkom. Stwierdzili jednomyślnie, że to jest niewątpliwie szyfr i że sprawę trzeba niezwłocznie oddać do sądu. Jak zwykle w podobnych okolicznościach nie mogłem powstrzymać się od śmiechu – co tylko pogorszyło moją sytuację.

Zaprowadzono mnie do naczelnika więzienia. Pomyślałem sobie, że jeśli on reprezentuje podobny poziom intelektualny jak jego trzej podwładni, to marny mój los. Na szczęście naczelnik po dłuższej chwili zastanowienia odrzucił teorię spiskową, lecz i tak wlepił mi 48 godzin karceru.

Tym razem karc nie okazał się tak uciążliwy jak poprzednio. Na dworze było ciepło, nawet upalnie. Przed szcurami, których dowody istnienia odkrywałem na posadzce w obfitości, zabezpieczyłem się, obciążając klapę klozetu kilkoma dużymi cegłami, a litościwy klawisz nie pozamykał mi okiennic, nie musiałem więc wegetować przez dwie doby w całkowitych ciemnościach.

Gdy wyspany i w całkiem niezłej kondycji powróciłem do swej celi, nie zastałem już niestety Zbyszka. Dokądś go w tym czasie przeniesiono. Zrobiło mi się smutno – był dobrym, wesołym kolegą i znał mnóstwo dowcipów. Przykro mi było, że nie mogłem się z nim pożegnać. Pozostawił mi w spadku swój nielegalny ołówek. Na szczęście pozostał Czesiek – stary, wypróbowany druh.

Następnego dnia wprowadzono do naszej celi nowego towarzysza niedoli, Ignacego, „powieściopisarza” – tak go między sobą nazywaliśmy. Miał około sześćdziesiątki i był strasznym gadułą – to cecha bardzo uciążliwa dla więziennego otoczenia. Mówił od rana do wieczora. Tuż po pobudce, gdy my stawaliśmy

do porannej modlitwy, on rozpoczął swoje monologi – i nie było dla niego ważne, czy go ktoś słucha, czy nie. Gdy z Czesiem rozpoczynaliśmy jakąkolwiek rozmowę, on się natychmiast włączał i nie dopuszczał nikogo do głosu. On się przecież najlepiej na wszystkim zna, on jest najlepiej poinformowany, on zawsze ma coś mądrego do powiedzenia. Marzyliśmy choćby o krótkiej chwili spokoju. Daremnie. Po całych dniach musieliśmy wysłuchiwać opowieści o jego miłosnych przygodach, o namiętnej grze w karty, o ciotkach i wujkach oraz o wszystkich innych bardziej lub mniej nudnych sprawach. Nie potrafił zrozumieć, że jego gadulstwo jest uciążliwe dla współlokatorów, mimo że wprost zwracaliśmy mu uwagę. „Zrozumcie mnie, koledzy – żalił się. – Muszę gadać, bo w ten sposób bronię się przed załamaniem”. Pomyślałem sobie bardzo niepochwlebnie o egoistycznym facecie, który postanowił bronić się przed własnym załamaniem kosztem innych. Pomyślałem, że też byłbym taki, gdybym się nie modlił, gdybym nie usiłował pracować nad sobą w duchu chrześcijańskiej miłości bliźniego. Przecież takie gadulstwo to dowód na brak silnej woli.

Zrozumiałem wówczas, że powinienem się modlić o życzliwych i kulturalnych towarzyszy w celi. Tak wiele bowiem zależy od tego, czy w celi panuje zdrowa atmosfera wzajemnej życzliwości, czy ponury egoizm. Gdy wspólnotę celi tworzą ludzie sobie życzliwi, pogodni, kulturalni, wtedy łatwiej znosić ciężar więziennej doli, wtedy towarzysząca więźniowi świadomość kilkuletniego wyroku staje się mniej stresująca.

Niestety, więzień nie może wybierać sobie towarzystwa. W więziennych drzwiach nie ma klamki od wewnątrz, by można było wyjść i poszukać sobie jakiegś innej, bardziej odpowiadającej naszym gustom grupy.

Dlatego też mądrzy więźniowie, którzy rozumieją, że w warunkach więziennych skazani są na siebie, robią wszystko, by zachować w celi dobre, koleżeńskie relacje. Unikają zatem niezdrowej rywalizacji, nie popisują się swoją nieustępliwością, nie podkreślają swej ważności, by nie prowokować współwięźniów do tego samego.

Bo tak naprawdę do życia w celi stosują się te same zasady co do życia w rodzinie. Rodzinę, w której panują wzajemny szacunek, zgoda i miłość porównuje się do przedsionków nieba. Natomiast rodzina skłócona przypomina piekło, w którym każdy czuje się udręczony i smutny.

Na szczęście w celach, w których przyszło mi odsiadywać wyrok, a było ich kilkanaście w ciągu blisko 30 miesięcy odsiadki, panowała na ogół koleżeńska atmosfera. Tylko raz trafiłem między ludzi skłóconych, nieufnych wobec siebie. Najgorsze było przebywanie w jednej celi z ludźmi, którzy uważali się za

ważniejszych od innych, nie liczyli się więc ze współwięźniami. Prowadziło to do częstych kłótni, awantur i bójek. Każdy z nas, a było nas 16, marzył o tym, by móc wreszcie zamieszkać w jakiejś normalnej wspólnocie.

Rozprawa

Około połowy maja wszyscy uczestnicy antykomunistycznej podziemnej organizacji młodzieżowej Podziemna Kolonia otrzymali z Wojskowego Sądu Rejonowego w Gdańsku powiadomienie o terminie rozprawy. Miała ona trwać trzy dni. Było to jakoś pomiędzy 20 a 25 maja 1953 r. W tym czasie odbyły się wszystkie rozprawy i zapadły wyroki: Zygmunt – 6 lat pozbawienia wolności i pozbawienie praw obywatelskich, ja – 5 lat, Leszek – 3 lata, Konrad – 2 lata, Edek – kilka lat poprawczaka. Zostaliśmy skazani z artykułu 86 par. 2 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego, za przynależność do nielegalnej, spiskowej organizacji, która ma na celu obalenie przemocą ustroju PRL.

Trzy dni rozprawy – muszę przyznać, że bardzo mi to schlebiało. Organizacja młodzieżowa, z której zaledwie pięciu członków zasiada na ławie oskarżonych, najstarszy z nich liczy sobie 20 lat, a najmłodszy to 16-latkowie – to znaczy, że komunistyczny wymiar sprawiedliwości, który zagrzmiął przeciwko nam surowym swym głosem w gmachu Rejonowego Sądu Wojskowego przy ulicy Stefana Batorego w Gdańsku-Wrzeszczu, potraktował nas poważnie – jako grupę groźnych spiskowców. Jak na represyjny system peerelowski nie były to jednak wyroki zbyt srogie.

Wyrok ogłoszony na sali sądowej przyjąłem spokojnie, z podniesionym czołem, a w „ostatnim słowie” nie było z mojej strony żadnych objawów fałszywej skruchy, nie prosiłem o łagodny wymiar kary, co w dalszej karierze więziennej było mi wielokrotnie wypominane. Prosiłem tylko, by nie pozbawiano mnie możliwości dalszego kształcenia się, na co prokurator oświadczył tonem pouczającym, że przecież Polska Ludowa dała mi warunki do nauki, ale ja nie chciałem z nich skorzystać, więc o co mi jeszcze chodzi.

Największym umocnieniem była dla mnie w tamtym momencie postawa mojego ojca. Był obecny na rozprawie, patrzył na mnie spokojnie, a po ogłoszeniu wyroku podszedł do mnie, uściśnął mi dłoń i powiedział: „Gratuluje ci postawy godnej Polaka. Chcę ci powiedzieć, że jestem z Ciebie dumny”. Te ojcowskie słowa stały się dla mnie wspianiałym pokrzepieniem na dalsze, więzienne lata.

Na takie gratulacje zasłużyłem sobie zresztą nie tylko ja. Większość moich współtowarzyszy z Organizacji, którzy zasiadali teraz wraz ze mną na ławie oskarżonych, zachowywała się z godnością.

Z pięciu lat więzienia, na które mnie skazano, odsiedziałem prawie połowę. W kwietniu 1955 r. już jako 19-letni młodzian, wyszedłem na wolność. Swoich wywrotowych poglądów nie zmieniłem jednak ani na jotę. Nie opuściła mnie też skłonność do szkalowania Związku Radzieckiego. Ani troszeczkę też nie nauczyłem się miłować socjalizm w jego bolszewickim wydaniu. Na nic zdał się więc cały „resocjalizacyjny” wysiłek władzy ludowej. Łatwo więc było przewidzieć, że przy tak niepoprawnym usposobieniu prędzej czy później znów trafię za kratki. I rzeczywiście trafiłem. I to pod tym samym co poprzednio zarzutem knowania przeciwko władzy socjalistycznej oraz szkalowania ZSSR. A stało się to w lipcu 1970 r., gdy byłem już od kilku lat kapłanem. Trafiłem do cieszącego się w czasach stalinowskich najgorszą sławą więzienia przy Rakowieckiej w Warszawie. Wtedy już nie wybijano zębów i nie torturowano po nocach. Siedziałem wówczas dokładnie pół roku. Tak więc odsiedziałem w komunistycznych więzieniach w sumie prawie trzy lata.

W gdańskim Sing-Sing trzymano mnie jeszcze ponad miesiąc, tj. do końca czerwca 1953 r. Najpierw, zaraz po rozprawie, pod sam koniec maja zabrano mnie z celi nr 11, czyli od Czesia celnika, i przeniesiono na inny oddział, na tzw. młodzieżówkę. Tu dopiero miałem okazję przekonać się, jaki ze mnie smarkacz. Znaczna większość moich towarzyszy celi to przedstawiciele rocznika 1933, więc 20-latkowie. Byli więc ode mnie starsi przynajmniej o trzy lata. I byli to w większości więźniowie kryminalni.

Wszyscy byli już, tak jak i ja, po wyroku. Dlatego też traktowano nas inaczej niż na oddziale śledczym. Przede wszystkim tłoczono nas niemilosiernie w celach. W pomieszczeniu o tej samej powierzchni co moja dawna „jedenastka” siedzieliśmy teraz nie po trzech, lecz po dwudziestu! Mieliśmy zatem nie lada problemy ze znalezieniem jakiegoś godziwego miejsca na spanie.

Trudno było w tych warunkach nawet pomarzyć choćby o chwili spokoju. I chociaż koledzy z celi traktowali mnie życzliwie, czułem się wśród nich trochę obco. Ciągły gwar, a raczej wrzask, krzyk, wulgarne przekleństwa – wszystko to sprawiało, że począłem się izolować i zamykać w sobie.

Teraz dopiero uświadomiłem sobie wysokość mojego wyroku. Pięć lat więzienia! Przecież to kawał życia. Była to dla mnie smutna i przygnębiająca refleksja. Ogarnęła mnie zgroza... Gdy wyjdę po pięciu latach na wolność, będę już miał 23 lata.

Najbardziej przygnębiały mnie wszechobecne wulgarne przekleństwa moich współtowarzyszy. Raził mnie przede wszystkim ich bezsens. Przecież w języku

ludzi rozumnych nie powinno być takich słów. Przeżyłem wtedy coś w rodzaju rekolekcji ignacjańskich, zwłaszcza medytację o grzechu. Pomyślałem sobie, że jednym z głównych powodów cierpienia Jezusa w Ogrójcu musiała być właśnie świadomość bezsensu grzechu. Bezsens jest czymś trudnym do pogodzenia z rozumną ludzką naturą.

Ale człowiek jest słaby. Nawet już po wyjściu z więzienia przyłapałem się na tym, że i mnie pod wpływem różnych emocji zdarza się bluźnić. Czy jest to tylko skutek moich więziennych przeżyć? Nie wiem.

W tamtych trudnych chwilach czułem na sobie błogosławione skutki modlitwy moich najbliższych. Udało mi się przezwyciężyć to niedobre i na dłuższą metę bardzo szkodliwe przekonanie, że moi współtowarzysze niedoli to stado złych, niemoralnych bestii. Zacząłem stopniowo dostrzegać w nich sporo autentycznego dobra. Pewnego razu postanowiłem przełamać się i bez względu na cokolwiek klęknąć pod oknem i pomodlić się, wprawdzie po cichu, ale na oczach wszystkich. Byłem przekonany, że w takim środowisku wywoła to szydercze i złośliwe uwagi. A niech tam! Tymczasem, ku mojemu zdumieniu nie było żadnych uwag. Kiedy ukląknę, koledzy przyciszyli rozmowę; jeden drugiego uspokajał, aby nie mówić głośno, bo to by przeszkadzało w modlitwie.

Ta ich reakcja na moją modlitwę zdziwiła mnie, a jednocześnie zakłopotała. Ja przecież nie chciałem moją modlitwą nikogo uciszać, krępować czy ograniczać. Mogę się przecież modlić tak, aby nie zwracać niczyjej uwagi. Odtąd więc modliłem się „publicznie”, to znaczy pod oknem, tylko rano, zaraz po pobudce. Okazało się przy tym, że nie tylko ja się modłę. Kilku kolegów z celi też odmawia poranne modlitwy bez żadnego skrępowania. Muszę wyznać, że ta moja przygoda z modlitwą była dla mnie ważnym i pożytecznym doświadczeniem na całe dalsze lata więziennej poniewierki.

Właśnie teraz, na tym etapie katorgi, w przepelnionej do granic możliwości celi gdańskiego więzienia, przeżywałem swój najgłębszy więzienny kryzys. Uświadomiłem sobie aż do bólu, że więzienie jest dla każdego normalnego człowieka naprawdę trudnym doświadczeniem. Jest to życie w trwałym, nieustannym stresie i to niezależnie od tego, czy człowiek jest tego świadom czy nie. Wolność jest przecież najgłębszą, najbardziej podstawową potrzebą ludzkiej duszy. Przeważnie świadomość jej braku jest powodem ciągłej i głębokiej traumy. Owszem, bywają momenty, na przykład w miłym towarzystwie, podczas interesującej rozmowy czy zabawy, kiedy wydaje się człowiekowi, że zapomina o swym smutnym losie. Ale gdzieś w głębi ta trauma jest stale obecna, zawsze gotowa kąsać, szarpać i odbierać dobre samopoczucie.

Wielokrotnie słyszałem z ust moich więziennych kolegów, że bardzo nie chcą, aby im się przyśniła wolność, bo wtedy po przebudzeniu z takiego wolnościowego snu szczególnie ciężko pogodzić się z niewolą.

Niekiedy nachodzi więźnia jakaś dzika, nieprzeparata potrzeba wyjścia z celi. Za wszelką cenę! Choćby tylko na korytarz, choćby tylko na króciutką chwilę. Ale klawisz nie wypuści przecież więźnia na korytarz bez powodu. Taka niedająca się zaspokoić potrzeba niejednokrotnie nawiedzała także mnie. Pewnego dnia wpadłem na pomysł. Spuściłem chorągiewkę, czyli blaszaną klapkę przy drzwiach celi, na znak, że mam interes do oddziałowego. Po kilku minutach klawisz stanął przy celi i krzyknął przez zamknięte drzwi: „No, czego tam chcecie?”. Odkrzyknąłem mu z celi: „Obywatelu oddziałowy. To ja, więzień karny Sroka. Chciałbym pójść do dentysty, bo mnie ząb boli!”. Skłamałem tylko częściowo. Wprawdzie żaden ząb mnie nie bolał, lecz po owym krwawym mordobiciu, po którym plułem zębami, kilka zębów wciąż mi się ruszało. Ale przecież nie o zęby mi wtedy chodziło. Chciałem po prostu wyjść z celi.

Miałem szczęście. Okazało się bowiem, że był to właśnie ów jedyny dzień w tygodniu, kiedy dentysta przyjmował pacjentów. Oddziałowy obiecał mi, że za chwilę ktoś mnie do niego zaprowadzi. Sprowadzono mnie na parter. Na korytarzu, przed gabinetem dentystycznym stało w kolejce czterech więźniów. Dołączyłem do nich. Było to ponad dzienną normę. Staliśmy przepisowo, twarzą zwróceniu do ściany, z rękoma założonymi z tyłu.

Przede mną stał więzień o rozumnym wyrazie twarzy. Nie miał chyba jeszcze dwudziestu lat. Śmiesznie poruszał wargami, jakby ciągle coś szeptał, i tępo wpatrywał się w ścianę. Robił wrażenie człowieka, którego niewiele interesuje świat i jego mieszkańcy. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Nie domyślałem się wówczas, że on po prostu odmawia różaniec. Nie przeczuwałem także, że oto stoję obok człowieka, z którym będę się przyjaźnić odtąd do dziś. (W 2007 r. spotkaliśmy się w Pałacu Prezydenckim, by odebrać z rąk ówczesnego prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Kaczyńskiego wysokie odznaczenie państwowe – Krzyże Komandorskie Polonia Restituta).

W pewnej chwili przestał poruszać wargami, rozejrzał się z ożywieniem, spojrzął na mnie i zapytał: „Długo już siedzisz?”. „Piąty miesiąc” – odpowiedziałem. Mój rozmówca miał na imię Marian. Zaczęliśmy rozmowę szeptem. Pilnujący nas klawisz siedział jednak daleko od nas na ławie i wcale się nami nie interesował.

Marian siedział już prawie rok, skazany z tego samego co ja artykułu na siedem lat więzienia. Był maturzystą, mieszkał w Gdańsku, a pochodził z Wilna.

Już w bardzo niedługim czasie mieliśmy się spotkać na dłużej.

Gdy Marian wyszedł z gabinetu, wkroczyłem na jego miejsce. Dentysta w mundurze oficera marynarki wojennej w stopniu komandora kazał mi usiąść na fotelu, zajął mi w jamę gębową i długo się czemuś tam przypatrywał. Wreszcie pocieszył mnie słowami: „Nie bój się, synu! Te zęby już nigdy ci więcej nie odrosną. Gdy więc wyjdiesz na wolność, a będziesz chciał wyglądać na przystojnego młodzieńca, będziesz sobie musiał sprawić szczęki »Made in Poland«. Żadnej mądrzejszej rady dać ci nie potrafię”. Wcisnął mi jeszcze w dłoń półlitrową butelkę z tranem, dał jakieś płukadło na obolałe dziąsła i kazał wracać do celi.

Dobrze mi zrobiła ta wędrowka do dentysty. Tak bardzo pożądanego urozmaicenia starczyło jednak zaledwie na dzień. Potem znów ogarnęła mnie szara monotonia. Mój kontakt z towarzyszami z celi nie był zbyt żywy, większość dnia trwałem więc pogrążony w modlitwie lub we własnych myślach.

Na szczęście w tamtym właśnie czasie zaczęły do nas docierać za pośrednictwem gazet „toaletowych” lub przez klawiszy wieści o wspaniałych zwycięstwach naszych bokserów. Chyba nigdzie nie przeżywa się tak entuzjastycznie wiadomości o triumfach faworyzowanych sportowców, jak właśnie w więzieniu, a cóż dopiero gdy wiadomości te mają posmak patriotyczny, jak w tym wypadku. Szymura, Chychła, Antkiewicz, Pietrzykowski i cała lista innych polskich bokserów, którzy w czasie tamtych pamiętnych mistrzostw nokautowali swych przeciwników i posyłali ich na deski – te nazwiska wymawiało się wtedy jak nazwiska prawdziwych bohaterów narodowych. Niesamowitą euforię wywołała wówczas wśród więźniów wiadomość, że Chychła celnym i silnym ciosem dosłownie wyrzucił poza liny jakiegoś Rosjanina! Tę wiadomość więźniowie przekazywali sobie, krzycząc przez okno, chociaż wiedzieli, że grozi za to karcer.

Pamiętam, że wtedy z celi piętro niżej zawołano do nas, żebyśmy przysłali im „konia”, czyli po prostu kawałek sznurka na patyku, dzięki któremu można było przesyłać z celi niższej do wyższej i odwrotnie różne cenne towary, np. produkty spożywcze, papierosy, a także gazety i książki. Gdy wciągaliśmy naszego „konia” z powrotem do celi, znaleźliśmy przywiązany do niego kawałek gazety „toaletowej”. A w gazecie podane były ostateczne wyniki mistrzostw świata w boksie. Jakie radosne były dla nas te wyniki! Polacy wywalczyli wtedy osiem złotych medali na dziesięć możliwych. Nic więc dziwnego, że największym uwielbieniem cieszył się wtedy wśród nas Feliks Sztam, trener naszej kadry bokserskiej.

Pod koniec czerwca powiadomiono mnie, że w najbliższym czasie zostaną przeniesiony do Sztumu, gdzie znajduje się jedno z najbardziej osławionych więzień w Polsce. Wtedy wyroki odsiadywali tam przede wszystkim więźniowie

polityczni: żołnierze polskiego podziemia niepodległościowego, uczestnicy różnych antykomunistycznych organizacji młodzieżowych, marynarze z „Błyskawicy”, żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy po powrocie do kraju skazywani byli na długie lata więzienia pod zarzutem szpiegostwa. Siedzieli tu także Ukraińcy z organizacji UPA (tych było tu chyba w tamtym czasie najwięcej), hitlerowscy przestępcy wojenni itp.

Wyroki spotykało się tu wysokie; przeciętnie 10, 15 lat, nierzadko dożywocie. Byli także przestępcy kryminalni o wysokich wyrokach. Gdy tam przybyłem, przedstawiono mi autentycznego ponoć zbójnika tatrzańskiego Antka Noconia. Był on na moim oddziale tzw. kalifaktorem, czyli należał do więźniów usługujących, rozdających posiłki.

Ale po kolei. Pewnego pięknego, czerwcowego poranka wywołano mnie z celi, kazano zabrać wszystkie manele i sprowadzono na parter. Tam znajdowały się tzw. cele przejściowe. Wepchnięto mnie do jednej z nich. Ku mojej wielkiej radości zobaczyłem tam moich przyjaciół z Podziemnej Kolonii. Był też Marian – mój nowy znajomy spod gabinetu dentystycznego. Było jeszcze kilku innych współtowarzyszy, których nie znałem. Wszyscy wiedzieli, że mamy jechać najbliższym transportem do Sztumu.

W nowej celi szybko wytworzyła się miła, serdeczna atmosfera. Wszyscy byliśmy „polityczni”. Trzy dni później zaprowadzono nas do suki więziennej. Tu już siedziało sporo więźniów z innych cel przejściowych. Zrobiło się ciasno i tłoczno.

Zgodnie z ówczesnymi przepisami więziennymi więźniowie podczas transportu powinni być skuci. Klawisz oznajmił nam, że skuwani będą więźniowie z wyrokami powyżej pięciu lat. Jedną parą kajdan skuwano razem dwóch więźniów. W pewnej chwili podszedł do mnie klawisz od skuwania i zapytał krótko: „Ile lat?”. Niezupelnie zorientowany, o co chodzi, odrzekłem: „Siedemnaście”. Kajdankowy złapał mnie za rękę, wprawnym ruchem założył mi kajdany i przykuł do jakiegoś starszego jegomościa, który siedział obok mnie. Uśmiechnęliśmy się grzecznie do siebie. Po chwili jednak na twarzy klawisza dał się zauważyć wyraz ogromnego wysiłku intelektualnego. Spojrzał na mnie. „Siedemnaście lat więzienia?” „Nie, panie sierżancie. Nie więzienia, lecz życia”. Kajdankowy zrobił minę jakby chciał mnie udusić. Zaklął brzydko. Koledzy klawisze zaczęli rechotać. Zrozumiał, że się ośmieszył i zdjął mi kajdany. Nie ucieszyło mnie to jednak, bo właśnie patrzyłem, trawiony zazdrością, jak skuwano razem Zygmunta i Mariana – oni mieli wyroki powyżej pięciu lat. W tej chwili miałem żal do sądu, że dostałem tak niski wyrok.

Do samochodu, który mógł pomieścić dwadzieścia osób, wepchnięto czterdzieści. Trudno było ruszyć ręką czy nogą. Podczas jazdy chciałem wyprostować ścierpniętą nogę. Najprościej byłoby wcisnąć ją po prostu pod ławkę, ale pod ławką były już cztery inne nogi, każda miała innego właściciela. Moją pozycję w czasie owej pamiętnej jazdy dałoby się przedstawić przy pomocy słów piosenki, która opisywała figury tańca „boogie-woogie”. Śpiewaliśmy ją jako uczniowie liceum „...zgięty w kręgosłupie, lewe ucho trzyma wsparte na kolanie!”.

Gdy po dwóch godzinach takiej jazdy przybyliśmy wreszcie na miejsce przeznaczenia, byliśmy zmaltretowani, że nadawaliśmy się już tylko do reanimacji.

Sztum

W Sztumie spędziłem prawie cztery miesiące – od początku lipca, aż do końca października. Dziś mogę ocenić, że był to pożyteczny okres w moim młodzieńczym życiu – przede wszystkim dzięki ludziom, których spotkałem wtedy na swej drodze.

A spotkałem tam nie tylko Polaków, nie tylko bohaterów AK, ale jeśli wolno tak się wyrazić – towarzystwo międzynarodowe. W sztumskich celach, rozmiarami mniej więcej równych tym z gdańskiego więzienia, siedziało na ogół od 6 do 8 więźniów. W mojej celi siedziało czterech Polaków, dwóch Ukraińców i dwóch Niemców. Poszerzyło to niewątpliwie moje horyzonty myślowe. Nauczyłem się wtedy brać pod uwagę nie tylko polską rację stanu i rozumieć racje przedstawicieli innych narodów. To zaś, paradoksalnie, umocniło mnie w moim szacunku dla polskiego myślenia zarówno historycznego, jak i politycznego.

Spośród Polaków siedzieli: kapitan Tomasz, żołnierz Armii Krajowej, z wyrokiem 15 lat więzienia; Zygmunt, dowódca Podziemnej Kolonii, a więc mój dowódca; Bolesław – starszy już wiekiem rolnik z województwa lubelskiego, z wyrokiem 10 lat, skazany za to, że pozwolił napić ze swej studni konie „leśnej kawalerii”; no i ja, 17-letni wówczas wywrotowiec. Z najgłębszą rewerencją wspominam przede wszystkim kapitana Tomasza, który był moim towarzyszem w celi przez wszystkie cztery miesiące mego pobytu w sztumskim więzieniu. Był on dla mnie wzorem prawdziwego, rozumnego, polskiego patrioty. To pod jego kierunkiem nauczyłem się oceniać poglądy zarówno Niemców, jak i Ukraińców, którzy wtedy z nami siedzieli.

Jednym z Ukraińców był Petro, lat około 30, milczący i ponury chłop ze wschodniej Małopolski. Wyglądał na rezuna, ale nim nie był, a to z tej prostej przyczyny, że prawdziwych rezunów w polskich więzieniach nie było. Jeśli schwytano Ukraińca z bronią w ręku, należącego do UPA bądź OUN, KBW czy NKWD po prostu ustawiały go w długiej kolejce pod szubienicą. Do więzienia trafiali jedynie ci Ukraińcy, których przyłapano na tym, że udzielili pomocy któremuś z oddziałów, np. przenocowali w stodole, nakarmili, napiili konie itp. Nasz Petro za taką właśnie pomoc udzieloną upowcom został skazany na dziesięć lat więzienia.

Znacznie bardziej interesujący wydawał mi się drugi Ukraińiec, z którym przyszło mi siedzieć w sztumskiej celi. Przede wszystkim dlatego, że był głęboko wierzącym i praktykującym unitą, czyli grekokatolikiem. Miał 45 lat. Z zawodu był nauczycielem języka ukraińskiego, pracował w ukraińskiej szkole średniej na Rzeszowszczyźnie. Nie pamiętam już dziś dokładnie, za co siedział, ale chyba też za jakąś przysługę wyświadczoną banderowcom. Skazano go na dziesięć lat. Na imię miał Myhajło.

Jak już wspominałem, w celi siedziało z nami też dwóch Niemców. Jeden z nich był do tego stopnia zawzięty, że nie odzywał się w ogóle po polsku. Miał 20 lat, pochodził z Mazur i siedział za uprawianie propagandy hitlerowskiej. Już nie pamiętam, jaki dostał wyrok.

Drugiego z Niemców trudno właściwie nazwać Niemcem. Był to raczej zniemczony Ślązak. Dlatego odbywał swoją karę 15 lat więzienia w Polsce, a nie w NRD czy w ZSRS – peerelowski wymiar sprawiedliwości uznał go bowiem za polskiego renegata i zdrajcę.

Mówił świetnie po polsku, nie śląską gwara, lecz poprawną polszczyzną. Miał około 40 lat, a na imię Alojz. Do Wehrmachtu zgłosił się na ochotnika i dosłużył się tam stopnia kapitana. Z jego opowieści wynikało, że na swój wyrok zasłużył sobie tym, że już podczas wycofywania się Niemców z Polski wraz z podległym sobie oddziałem saperów wysadzał w powietrze różne obiekty gospodarcze po to tylko, by nie wpadły w ręce Polaków.

Hauptmann Alojz, tak go tytułował jego hitlerowski współwyznawca z naszej celi, utkwił mi w pamięci przede wszystkim jako osobnik wyjątkowo niekoleżeński. Od czasu do czasu otrzymywał jakieś paczki, chyba z RFN, ale się nimi z nikim nie dzielił. Nawet z drugim Niemcem. Z czymś podobnym nie spotkałem się nigdy w mojej więziennej karierze. Całą zawartość paczki zjadał sam. Przed spożyciem z ujmującą prostotą wygłaszał zwykle krótkie przemówienie, które brzmiało mniej więcej następująco: „Wiem, panowie, że może to i nieelegancko z mojej strony, że się z nikim nie podzielę, ale jestem realistą. Gdybym się z wami podzielił, to i ja miałbym mało i wy byście się nie najedli. Pozwólcie, więc że ja sam tę paczkę skonsumuję”.

Po tych słowach brał się do roboty, w trakcie której uroczko młaskał. Zygmunt często nie wytrzymał i wypowiadał jakąś złośliwą uwagę, np.: „Czy słyszycie, państwo, jak mu smakuje!?”. Ale Hauptmann Alojz nie zważał na nic, tylko pozerwał w milczeniu zawartość paczki aż do całkowitego jej opróżnienia. Odwracał się przy tym plecami do towarzysza.

Ta niezbyt społeczna postawa Hauptmanna nie skłaniała nas jednak do tego, by nie dzielić się z nim swoją wypiską. Każdy z nas wykładał na stół to, co miał,

i wszystkich bez wyjątku gościnnie zapraszał, by zechcieli się częstować. Dziś dumny jestem z takiej postawy naszych rodaków i naszych braci Słowian. Ukraińcy też się bowiem solidarnie dzielili tym, co mieli. Przynajmniej ci, których znałem.

W naszej celi w dyskusjach pojawiały się głównie dwa wątki: ukraiński i niemiecki – obydwa pozostawały oczywiście w kontekście spraw polskich. Było dużo czasu, więc dyskusje były częste i ożywione.

W moim przekonaniu rozmowy te, prowadzone w więziennej celi przez przedstawicieli trzech skłóconych pomiędzy sobą narodów, były naprawdę interesujące i pożyteczne, przynajmniej dla mnie. Główny udział w nich brali trzej nasi najstarsi koledzy, gdyż oni mieli najwięcej w tych sprawach do powiedzenia. Z naszej polskiej strony był to kapitan Tomasz, z całą pewnością najbardziej inteligentny i kulturalny dyskutant w tym gronie, człowiek o silnej a zarazem pogodnej osobowości. Stronę ukraińską reprezentował profesor Myhajło Wankowycz. Przyznaję, że jego wypowiedzi wywarły na mnie mocne wrażenie, chyba dlatego, że z poglądami, które on głosił, miałem okazję spotkać się po raz pierwszy. Po polsku mówił poprawnie, choć z wyraźnym ruskim akcentem. Rzecznikiem spraw niemieckich był oczywiście Hauptmann Alojz – zdaniem kapitana Tomasza typowy produkt ideologii hitlerowskiej, z jej doktryną o herrenvolku i übermenschach. Wszystko, co Alojz robił, było na pokaz. Na przykład zawsze mówił z pewną manierą. Dbał mianowicie, by słowa wypowiadać energicznie, każde wypowiediane przez niego zdanie brzmiało niczym rozkaz. Najbardziej uwidaczało się to na więziennym podwórku, podczas codziennego półgodzinnego spaceru. Tam nasz Hauptmann dawał pokaz sprężystości ruchów. Silił się, by jego krok był jak najbardziej energiczny, oficerski. Ponoć większość więzionych wówczas hitlerowców cierpiała wtedy na tę manierę.

Patrząc na tę rewię energiczności, doznawałem uczucia wstydu; wstydu za niego, za tego małego, sztucznego, śmiesznego człowieczka. Myślałem sobie: Dlaczego ten facet tak się wygłupia, tak się ośmiesza?

Alojz rozmawiał właściwie tylko z kapitanem Tomaszem. No i, co rozumiałe, ze swoim rodakiem. Czasem przemówił łaskawie również do profesora Myhajly. Reszty naszego towarzystwa po prostu nie dostrzegał, jakby dla niego nie istniało. Czuł się zbyt ważny, by się z byle kim zadawać. Jego stosunek do nas był wręcz pogardliwy. Denerwowało to kapitana Tomasza, więc kilkakrotnie ostro przygadał Alojzowi, że się zachowuje jak głupawy gefreiter wobec gemeinerów: „Coś ci się tu, Alojz, najwidoczniej pomyliło”.

Alojz nie odpowiadał na uwagi kapitana. Wyraźnie czuł respekt wobec polskiego oficera.

Pewnego razu i mnie udało się zakpić z hitlerowca. Podczas jednej z rozmów roześmiałem się głośno, dziś już nie pamiętam z czego. Niemiec oburzył się na mnie jak srogi belfer na uczniaka i z gniewem w głosie krzyknął: „No i z czego ty się tak cieszysz, młodzieńcze? Ja tu nie widzę żadnych powodów do radości!”. Przyznaję szczerze, że bardzo nie lubię, gdy ktoś odzywa się do mnie takim tonem. Odpaliłem mu natychmiast: „A ja mam swoje powody do radości – i to wielkie. A już najbardziej cieszę się z tego, że Hitler dostał porządnie w skórę. Strach pomyśleć, co by było, gdyby taki Adolf wygrał wojnę!”. Na tę moją replikę nawet Ukraińcy wybuchli śmiechem. Kapitan Tomasz spojrzął na mnie z uznaniem, a do Niemca powiedział: „Ponury facet z ciebie, Alojz. Nawet śmiech cię drażni”. Alojz przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie z nienawiścią, jakbym mu szwagra siekierą zamordował. Wszakże w obecności kapitana Tomasza nie stać go było nawet na to, by się porządnie odciąć. Zasyczał tylko z nieudolnie hamowaną wściekłością: „Pamiętajcie, Niemcy nie powiedzieli jeszcze swego ostatniego słowa...”.

Dziś tamta hitlerowska pogroźka brzmi w mojej pamięci jak złowroga, ponura przepowiednia. Ale wtedy, w sierpniu 1953 r. zareagowałem na nią tak, jak na to moim zdaniem zasługiwała. Po prostu głośno się roześmiałem, a Alojza zostawiłem na pastwę jego własnej złości.

Okazało się później, na podstawie naszych wnikliwych dociekań, że Alojz nas okłamał. Oto awansował sam siebie o jeden stopień w hierarchii wojskowej. Nie był bowiem żadnym Hauptmannem (czyli kapitanem), lecz Leutnantem (czyli porucznikiem).

Od czasu do czasu Leutnant Alojz udzielał się społecznie i aranżował dyskusje na tematy wojenne. Jeśli w naszej celi w ogóle dochodziło do czegoś takiego, to prawie wyłącznie z jego inicjatywy, albowiem nasz kapitan Tomasz najwidoczniej nie czuł potrzeby prowadzenia dysput z hitlerowcem. Profesor Myhajło zaś, jeśli w ogóle zabierał głos, to prawie wyłącznie odnośnie do spraw ukraińskich.

Dyskusje oficerów polskiego i niemieckiego z reguły kończyły się ostrym zwarciem, bezkompromisowym sporem, który łatwo przeradzał się w zwyczajną kłótnię. Pewnego dnia pseudo-Hauptmann Alojz wyraźnie się rozrzewnił i począł się użalać nad wspólnym paskudnym losem zarówno Niemców, jak i Polaków. „Spójrzmy! – wołał uroczystym tenorem. – Oto meandry historii sprawiły, że dziś cierpią obok siebie w bolszewickiej niewoli Niemcy i Polacy. Tak, jak choćby w naszym wypadku, siedzi w jednej celi oficer polski obok niemieckiego, ciemiężeni przez tego samego wroga. A dlaczego tak jest? – Tu mówca zwrócił się

do kapitana Tomasza z wyrzutem. – Oto nierozumni Polacy nawet w ostatniej fazie wojny nie próbowali wykorzystać sposobności, by zapobiec zwycięstwu bolszewików. Jeszcze kilka miesięcy przed końcem wojny wywołali powstanie, aby choć trochę osłabić Niemców. A przecież zdrowy rozsądek podpowiadał wówczas, że czas najwyższy, by podjąć niemiecko-polską współpracę i razem zwrócić się przeciw bolszewikom”.

Słyszając takie dictum, kapitan Tomasz nie wytrzymał. Wyraźnie rozsierzdony wykrzyknął: „Nie pleć bzdur, kapitanie! Ja do dziś dziękuję Bogu za to, że ustrzegł nas, Polaków, przed takim pokracznym, haniebnym »braterstwem broni«, które byłoby dla nas psychiczną niemożliwością. My mamy swój honor – z bandziorami się nie zadajemy. Zresztą, jakbyśmy wyglądali w oczach naszych zachodnich sojuszników? Wyszliśmy wprawdzie z wojny, jako przegrani, ale z honorem. Mamy czyste sumienie. A to jest najważniejsze. A tobie, Alojz, radzę być na przyszłość dobrze się zastanowił nad tym, co mówisz”.

I taka była ich rozmowa. Pan kapitan Tomasz wypowiadał się może trochę emocjonalnie, ale stanowczo i z przekonaniem. Byłem z niego dumny. Mówił jak prawdziwy człowiek honoru. Tacy naprawdę byli ówczesni Polacy. Patrząc na takich ludzi, jak pan kapitan i słuchając ich słów, czułem się coraz bardziej dumny, że jestem Polakiem.

W tym miejscu nasuwa się smutna refleksja. Otóż sądy komunistyczne często skazywały naszych żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego na srogie kary, z karą śmierci włącznie, pod zarzutem współpracy z okupantem hitlerowskim. Był to zarzut zaiste podły. Przecież sędziowie komunistyczni doskonale wiedzieli, że mają do czynienia nie z kolaborantami, nie z folksdojcami, lecz z uczciwymi polskimi patriotami, którzy w żadnym razie nie mieli najmniejszej ochoty współpracować z Niemcami. Jedyłą ich winą w oczach oprawców komunistycznych było to, że nie mieli zamiaru kochać bolszewików i ich rodzimych sługusów. Dlatego mało im było, że swym przeciwnikom politycznym odbierali zdrowie podczas nieludzkiego śledztwa, że skazywali ich na okrutne wyroki. Bolszewickim kolaborantom chodziło jeszcze o to, by żołnierzy polskiego podziemia odsądzić od czci i wiary i obedrzeć z dobrego imienia.

Jak widać, ówczesni okupanci Polski nie byli ludźmi honoru. Albowiem człowiek honoru, człowiek sumienia potrafi być uczciwy nawet wobec swoich wrogów. Dane mi było spotkać w więzieniu kilku oficerów AK czy NSZ, których skazano właśnie pod zarzutem „współpracy z okupantem hitlerowskim”. Wszyscy oni podkreślali, że ów zarzut jest dla nich większą krzywdą niż wszystkie śledcze tortury, niż niesprawiedliwe wyroki sądowe.

I jak tu zgodzić się z gombrowszczyzną: „Nie obrzydłaś tobie polskość twoja? Nie dość tobie Męki? Nie dość odwiecznego Umęczenia, Udręczenia? A toż dzisiaj znowuż wam skórę łożą! Tak to przy skórze swojej się upierasz? Nie chcesz być czym Innym, czym Nowym stać się? Chcesz że, aby wszyscy Chłopcy wasi tylko za Ojcami wszystko w kółko powtarzali? [...] Do diabła z Ojcem i Ojczyzną! Syn, syn, to mi dopiero, to rozumiem! A po co Tobie Ojczyzna?”

* * *

Byłem wówczas w tym wieku, kiedy człowiek chłonie z zaciekawieniem wszystko, co mogłoby go intelektualnie ubogacić. Przysłuchiwałem się więc z wielką uwagą dyskusjom prowadzonym w celi. Ze szczególnym zainteresowaniem wsłuchiwałem się w rozmowy kapitana Tomasza i profesora Myhajły. Wtedy jeszcze nie wiedziałem o tych potwornych zbrodniach, których dokonały na Polakach oddziały ukraińskich nacjonalistów.

Myhajło przyznawał wprawdzie, że nie lubi Polaków, a to ze względu na krzywdy, które wyrządzali oni narodowi ukraińskiemu na przestrzeni dziejów. Dodawał jednak od razu, że bardziej od Polaków nie lubi Ruskich, bo w ich wypadku ów rejestr krzywd jest jeszcze dłuższy. Główną jednak tezą naszego ukraińskiego współtowarzysza celi było twierdzenie, że Polacy i Ukraińcy zupełnie niepotrzebnie wdali się w walkę przeciw sobie nawzajem, podczas gdy trzeba było wyruszyć razem przeciw wspólnemu wrogowi.

Nasz pan kapitan słuchał tych wywodów spokojnie aż do momentu, gdy Ukrainiec począł głosić potrzebę wspólnej walki Polaków i Ukraińców przeciw Moskalom. Wtedy się ożywił. „Pomnij, profesorze, że historia dała nam przecież taką sposobność, byśmy wspólnymi siłami rozzgromili bolszewika. Mam tu oczywiście na myśli wojnę z bolszewikami 1919–1920. Polska do tej możliwości podeszła poważnie. Marszałek Piłsudski zaprosił Ukraińców do uczciwej współpracy w walce przeciw czerwonemu. No, i co? Polskę stać było na to, by wystawić do walki prawie milionową armię przeciw czterem milionom bolszewików. Był to wtedy dla nas ogromny wysiłek. Natomiast Ukraina, przecież znacznie ludniejsza od Polski, wystawiła do walki zaledwie dwie dywizje, czyli niespełna 30 tysięcy żołnierzy. W ten sposób Polacy poczuli się wystawieni do wiatru. Trudno się zatem dziwić, że stracili do was zaufanie. Mieli po prostu żal do Ukraińców o to, że woleli flirtować z bolszewikami, aniżeli walczyć ofiarnie przeciw nim o swą niepodległość. Zresztą żal ten podzielał także wasz dowódca, wielki ukraiński patriota, ataman Semen Petlura. Wstyd mu było, że w co piątym wziętym do niewoli bolszewiku Polacy rozpoznawali Ukraińca”.

„No, ale gdy wam, Polakom udało się zdobyć Kijów, przestaliście się z nami liczyć. Okazaliście się nielojalni wobec nas. Nie przekazaliście bowiem zdobytego przez was Kijowa w ukraińskie ręce, chociaż Piłsudski zobowiązał się do tego przed rozpoczęciem ofensywy kijowskiej”.

Kapitan Tomasz włączył się w tym momencie, wyraźnie zirytowany: „Myśl logicznie, profesorze, i zdobądź się na uczciwy obiektywizm. Nie zarzucaj Polakom braku lojalności, bo sobie na to nie zasłużyli, to nie oni okazali się nielojalni. Powiedz, komu mieliby oni przekazać zdobyty przez siebie Kijów? Czyżby tym samym bolszewikom, na których go dopiero co zdobyli!? To byłby nonsens polityczny bez precedensu w historii. Bo przecież większość Ukraińców opowiedziała się po stronie czerwonych, z którymi myśmy walczyli. A owa garstka wojska ukraińskiego z atamanem Petlurą na czele, która walczyła po naszej stronie, nie mogła w żadnym wypadku uchodzić za autentyczną reprezentację narodu ukraińskiego. Gdybyście wystawili do walki z bolszewikami nie 30, ale 500 tysięcy wojska, a na to bez trudu mogliście się zdobyć, Polacy na pewno okazaliby się wobec was lojalni, choćby z tego względu, że przy takim rozkładzie sił, chcąc nie chcąc musieliby się z wami liczyć”.

Widać było po minie Myhajły, że nie jest on zbyt tęgim znawcą historii, nawet tej swojej, ukraińskiej. Być może znał ją, lecz w zupełnie innym naświetleniu. Słuchał tego, co mówił polski kapitan, z wyraźnym zakłopotaniem. Odzywał się rzadko, a jego próby repliki wypadały mało przekonująco. A kapitan Tomasz kończył swą argumentację: „A gdy Polacy rozgromili bolszewickich najeźdźców i tryumfowali jedno ze swych największych zwycięstw w dziejach, Ukraińcy popadali właśnie w okrutną, bolszewicką niewolę. Co im więc pozostało innego, jak tylko zazdrościć i nienawdzić Polaków jedynie za to, że im się udało odzyskać niepodległość. Sam wasz wielki metropolita unicki Grygorij Chomyszyn przyznaje w jednym ze swych listów pasterskich do narodu ukraińskiego, że u podłoża obecnej nienawiści Ukraińców wobec Polaków tkwi zazdrość. Drogi profesorze – rzekł na zakończenie kapitan – cieszę się szczerze z tego twojego wyznania, że wszystkie nasze bratobójcze walki były nam zupełnie niepotrzebne i wychodziły jedynie na korzyść naszego wspólnego wroga. Jestem całkowicie tego samego co i ty zdania. Teraz więc pozostaje nam już tylko modlić się, gorąco pragnąc i usilnie pracować nad tym, byśmy w przyszłości nie dali się już nigdy nikomu napuszczać jedni przeciw drugim”.

Czułem, że przysłuchiwanie się tego rodzaju dyskusjom na „międzynarodowym szczeblu” dużo mi daje. Wzbogaca mnie intelektualnie, a przede wszystkim rozbudza moje zainteresowanie historią, zwłaszcza historią Polski. Wzrastał mój

szacunek dla polskiego kapitana, który tak skutecznie umiał bronić polskiej sprawy wobec przedstawicieli dwóch nieżyczliwych Polsce narodów. Nade wszystko jednak umacniała się we mnie miłość do Polski, która może się szczyścić tak piękną, tak szlachetną historią.

Po siedmiu długich miesiącach odsiadki dopadł mnie kryzys, typowy więzienny kryzys. Dręczyły mnie czarne myśli, pożerała dzika tęsknota za wolnością. Przeżywałem ustawiczny stres – we dnie i w nocy. Bo przecież w szkole uczyłem się dobrze, rwałem się do nauki, miałem swoje wielkie plany naukowe. A oto teraz marnują mi tu życie. Czas płynie nieubłagane, już jestem opóźniony o jeden rok szkolny, a takich zmarnowanych lat ma być w sumie pięć! Co ze mną będzie?

Nie wymawiałem sobie wprawdzie, że właściwie dobrowolnie, sam wpakowałem się do więzienia. Gdyby trzeba było, to po raz drugi bez namysłu wybrałbym tę samą drogę. Było mi ciężko. Czułem się jak ptak w klatce. Straszliwie tęskniłem za przechadzką po lesie – po moim kochanym, małym lasku, w którym przeżyłem tak wiele radosnych chwil. Nużył mnie brak samotności. Wydawało mi się, że w tym stanie kryzysu nie byłoby mnie w stanie nic pocieszyć. Nawet modlitwa nie dawała mi oczekiwanej pociechy.

I wtedy właśnie, w dniach zwątpienia i beznadziei dobry Bóg zesłał mi niespodziewaną pomoc. Oto gdzieś w połowie września 1953 r. przyjechali do mnie na widzenie rodzice. Takie widzenie się z bliskimi przysługiwało więźniowi tylko raz w miesiącu i mogło trwać najwyżej pół godziny, a potem, jak kpili sobie więźniowie: „Koniec widzenia i do widzenia!”.

Kiedy siedziałem w Sztumie rodzice nie mieli do mnie daleko – niecałe 100 km. Ale do dziś podziwiam i myślę z wdzięcznością o mojej mamie, która gdy już siedziałem w Jaworznie, przyjeżdżała do mnie co miesiąc. Musiała przemierzyć dosłownie całą Polskę z północy na południe po to tylko, by móc się ze mną zobaczyć przez pół godziny. Takie było ówczesne więzienne prawo.

Owego wrześniowego poranka, gdy wywołano mnie z celi na widzenie z rodzicami, już sam widok moich najdroższych był dla mnie potężnym umocnieniem i pokazną porcją otuchy. Przy głosie była przede wszystkim mama, co oczywiste... Ojciec stał poważny i tylko z rzadka się odzywał. Mama zapewniała mnie, że modli się za mnie wielu ludzi. Na przykład ojciec Franciszek, jezuita z gdańskiego kościoła św. Bartłomieja, w ramach nabożeństwa do Matki Bożej Nieustającej Pomocy stale wplata odpowiednie wezwania w mojej intencji i w teźże intencji pali się codziennie świeca przy głównym ołtarzu – jako modlitwa błagalna. „Prócz tego

uczciwie pamiętają o tobie twoi koledzy oraz koleżanki z klasy – w tym roku już dziesiątej. Gdy kilka dni temu wychodziłam po nabożeństwie z kościoła ojców Kapucynów, podeszła do mnie miła dziewczyna. Mówiła wyraźnie z zaciąganym wileńskim akcentem. Przedstawiła mi się, że jest twoją koleżanką z klasy, i prosiła, bym ci powiedziała, że cała klasa serdecznie cię pozdrawia i pamięta o tobie. Chciała nawet jechać z nami do ciebie, ale powiedziano jej, że może nie uzyskać zgody na widzenie, bo należy się ono tylko najbliższym członkom rodziny”. „Powiedziała ci może, jak ma na imię?” – spytałem. „Chyba Halina albo Helena...” „Oczywiście! – wykrzyknąłem. – Któżby to mógł być inny, jeśli nie Helcia!”. Któż mówi tak pięknym, zaciągłym akcentem, jak nie ona. Helcia, dziewczyna o błyszczących oczach i jasnej, czystej twarzy. Ubrana w śliczny szkolny mundurek, czyli granatowy fartuszek z białym kołnierzykiem. Taką ją zapamiętałem.

Pokrzepiły mnie wieści przyniesione przez rodziców z wolności. Znów poczułem się mocny, prawie niezłomny. Czułem za sobą wsparcie moich serdecznych szkolnych przyjaciół. Czułem ich życzliwość, ich modlitwy, o których mnie zapewniali. Ojciec dorzucił jeszcze: „Janusz, jeden z twoich serdecznych kolegów z Kolonii, prosił mnie, bym ci powiedział, że ci zazdrości tego, że możesz cierpieć za Polskę”.

Byłem wzruszony tą życzliwością bliskich mi ludzi. Zwróciłem się do rodziców: „Powiedzcie moim przyjaciołom, że trzymam się dzielnie, i że staram się, by nie przynieść wstydu Polsce. Podziękujcie im serdecznie za życzliwą pamięć i za modlitwy. Ja też o nich pamiętam w moich paciorkach”.

Matula zaś mówiła dalej: „Niedawno spotkałam Marysię – tę twoją znajomą z pastwiska. Pochwaliła mi się, że w tym roku zdała maturę. Ale wydaje mi się, że ona cię chyba kocha. Gdy mnie zobaczyła, przybiegła do mnie z daleka, rzuciła mi się na szyję, a gdy jej mówiłam o tobie, że cię skazano na pięć lat, rozplakała się rzewnie. Prosiła mnie, bym ci powiedziała, że się co dzień modli za ciebie, tak bardzo, bardzo gorąco...”

W tej chwili rozległo się głośnie wołanie klawisza: „Koniec widzenia!”.

Rodzice przekazali mi jeszcze jakieś słodkości, między innymi garnuszek budyniu. Matka wiedziała, że lubię budyń, więc mi go przywoziła na każde widzenie. Wzruszało mnie to zawsze, widziałem w tym bowiem jakiś szczególny wyraz matczynej miłości.

Wróciłem do celi jako zupełnie inny człowiek, niż gdy z niej wychodziłem. To widzenie było dla mnie solidnym umocnieniem na dalsze lata odsiadki.

* * *

Miałem nad czym rozmyślać. Przede wszystkim narzucały mi się myśli na temat piękna kobiety. Byłem chyba naprawdę zakochany. Jak to Pan Bóg mądrze sprawił, zwrócił ku sobie te dwa serca – kobiece i męskie, by się przez miłość jednoczyły i wzajemnie uzupełniały. By były dla siebie wzajemnie ostoją i wsparciem. Uczynił mężczyznę wrażliwym na piękno kobiety.

Mimo wszystkich swoich wad kobieta jest w oczach mężczyzny cudowną istotą – czułą, delikatną i szczególnie wrażliwą na dobro i piękno. O wiele bardziej wrażliwą na te wartości niż mężczyzna, który nosi w sobie duszę wojownika. Niekiedy w zetknięciu z tą cudowną innością kobiety mężczyzna czuje się po prostu onieśmielony.

Ale musi to być prawdziwa kobieta; kobieta uczciwa i wierna swemu świętemu powołaniu, kobieta, która szanuje swoją kobiecość. Bo jeśli podepcze ona w sobie to, co w niej najpiękniejsze, mężczyzna będzie czuł wobec niej głęboki żal i rozczarowanie i wzgardzi nią. To nie przypadek, że najczęściej używanym nie tylko w naszym języku przekleństwem, przekleństwem wyrażającym obrzydzenie i pogardę, jest obraźliwe słowo, które oznacza upadłą kobietę.

Na czym polega najgłębsza tajemnica wielkości kobiety? W czym tkwi sekret jej piękna? Odpowiedź na te pytania wydaje się prosta. Otóż, kobieta w planach Bożych zajmuje bardzo zaszczytne miejsce. Bóg widzi w niej przede wszystkim matkę, a więc przekazicielkę swojej własnej, świętej miłości, a to jest wielka i bardzo odpowiedzialna godność, do której trzeba się uczciwie przygotować.

Niech mi wolno będzie wyznać w tym miejscu, że miłość macierzyńska była dla mnie zawsze solidnym i przekonującym dowodem na istnienie Boga. Bo czy można miłość macierzyńską tak do końca zrozumieć bez Stwórcy? Oto rodzi się dziecko, taka mała i krucha istotka, bezradna i całkowicie zdana na pomoc drugich. Bóg kocha tę dziecinę, ale przecież nie może zejść z Nieba, aby jej służyć z miłością. Dlatego przysposobił do tego kobietę, wszczepił w jej serce swoją miłość. Tak oto kobieta w imieniu samego Stwórcy miłuje swojego malucha, którego jest matką.

Takie myśli krążyły mi po głowie po owym pamiętnym dla mnie wrześnieym widzeniu. Trudno mi dziś powiedzieć, czy były to moje własne myśli, czy też zaślęszałem je gdzieś na jakimś kazaniu. W każdym razie głównym powodem tego, że nurtowały mnie wówczas takie właśnie problemy, były wiadomości, które przekazali mi moi najdrożsi. Oto okazało się, że dwie bliskie mi dziewczyny pamiętają o mnie i modlą się za mnie. Widocznie nie jestem im obojętny...

Miałem wtedy 17 lat – byłem zatem w wieku, kiedy to młody mężczyzna zaczyna patrzeć na dziewczynę jak na swą przyszłą partnerkę życiową. Dobry Bóg sprawił jednak, że na całą tę tak ważną dziedzinę ludzkiego życia starałem się patrzeć normalnie i uczciwie – jak na coś, co jest piękne i ma głęboki sens. Byłem świadom tego, że uczciwy związek pomiędzy mężczyzną i kobietą może być dla człowieka źródłem prawdziwego szczęścia i radości, byle tylko podchodzić do tej sprawy z szacunkiem i w sposób odpowiedzialny. Czułem, że istotną rolę w tym względzie odgrywa troska o czystość serca. Wiedziałem, że moje dziewczyny myślą podobnie.

Dlatego też myśl o nich nie przeszkadzała mi, ale wręcz umacniała we mnie gorące pragnienie czystości. Czułem do nich głęboki szacunek, myślałem o każdej z nich jak o siostrze Matki Najświętszej. Czułem, że wzrasta we mnie miłość, dobra, spokojna miłość, która umacnia mnie na mojej obecnej trudnej drodze. Wdzięczny byłem Bogu za ten dar miłości.

W sztumskim więzieniu przyszło mi siedzieć jeszcze ponad miesiąc. Lecz po owym wrześnieowym widzeniu nie nawiedzały mnie już żadne czarne myśli. Wiedziałem, że moja ofiara jest potrzebna Polsce, że moi koledzy, gdyby nadarzyła się im odpowiednia okazja, zrobiliby to samo co ja. Nade wszystko jednak umacniała mnie i pocieszała świadomość, że ludzie, których kocham, pamiętają o mnie i modlą się za mnie.

Po całych dniach spałem teraz zwinęty w trąbkę pod drzwiami. Budziłem się, a właściwie to mnie budzono, tylko na posiłki. Gdy była ku temu sposobność, przysłuchiwałem się w przerwie pomiędzy jedną drzemką a drugą ciekawym dyskusjom polityczno-historycznym. Kapitan Tomasz dbał o to, aby podobnych dysput w naszej celi nie brakowało.

Dobry Bóg darzył mnie łaską snu, dobrym apetytem oraz pogodą ducha. Towarzysze celi podkreślali, że mój dobry humor także im się udziela i wielce im pomaga w przewyciężaniu czarnych chwil. Tylko nasz hitlerowiec, leutnant Pustelnick, wciąż się dziwował, z czego ja się tak cieszę. Musiałem mu więc powtarzać, że cieszę się ze zwycięstwa wielkiej koalicji antyhitlerowskiej nad faszystowskim zbirami. Czy nie jest to dostateczny powód do radości?

W rzadkich teraz wolnych od snu chwilach starałem się modlić. Już wspominałem, że jeszcze w czasie śledztwa sporządziłem sobie różaniec, którego paciorki ugniecione były z chleba. Przeważnie jednak modlitwa moja nie była modlitwą błagalną, lecz dziękczynną. A jeśli już prosiłem Boga, to nie za siebie, ale za moich ukochanych, za których jednocześnie bardzo Bogu dziękowałem. Bo też miałem za co dziękować.

... Za ojca, matkę w życia wiośnie,
krąg serc, co dobrze życzy mi,
za miłość, co w mym sercu rośnie
Boże, dzięki Ci!

(z pieśni pielgrzymkowej)

Około połowy października klawisz przekazał mi urzędową wiadomość, że mam być przygotowany, albowiem w najbliższym czasie wyjedzie ze Sztumu transport więźniów do tak zwanej „przejsiówki”, czyli do więzienia rozdzielczego w Sosnowcu-Radosze. Tam „sortują” więźniów i kierują ich przeważnie do kopalni. Ja też jestem wyznaczony do tego transportu, ale mnie ze względu na mój młodociany wiek przeznaczono do więzienia młodzieżowego w Jaworznie.

Wiadomość tej samej treści otrzymał także Zygmunt, mój towarzysz i dowódca z Podziemnej Kolonii. Siedzieliśmy w tej samej celi przez cały czas naszego pobytu w Sztumie. Niestety, przez cały ten czas Zygmunt był mocno podłamany na duchu. Nie interesował się światem. Całymi godzinami siedział ponury i milczący – posępnym wzrokiem wpatrywał się w okno.

A zaczęło się jeszcze w lipcu. Na którymś z widzeń matka doniosła mu, że jego narzeczona Elżunia włóczy się teraz po Kolonii z jego serdecznym przyjacielem, Robertem, typowym bawidamkiem. Tworzą teraz klasyczną parę zakochanych. Ludzie plotkują o tym po wszystkich kolonijnych opłotkach. Gdy matka Zygmunta przed swoim wyjazdem na widzenie z synem spytała Elżbietę, czy nie zechciałaby pojechać wraz z nią, ta odpowiedziała cynicznie: „Nie jestem zainteresowana”. „A czy mam pozdrowić Zygmunta od ciebie?” Odpowiedź brzmiała: „Jak pani sobie życzy”.

Aby przedstawić dalszy przebieg tej historii, muszę wybiec o kilka miesięcy do przodu. Otóż w Jaworznie, gdzie przez jakiś czas razem pracowaliśmy na prefabrykacji, stan Zygmunta pogarszał się w sposób widoczny z każdym dniem. Chodził wprawdzie do pracy, ale do nikogo się nie odzywał. Nachodziły go stany, które niepokoiły nawet klawiszy.

Bardzo ubolewałam nad obecną kondycją mego „towarzysza broni”. Czulem się jednak bezsilny. Jak mu pomóc? Nigdy nie miałem ani nie chciałem uciekać się do taniej, banalnej pociechy. Myślę, że już lepsza od tego jest sama tylko życzliwa obecność, bez słów i bez zbędnych gestów i mocny, przyjacielski uścisk dłoni. Tej obecności mu nie żałowałam. A ponadto modliłem się za niego serdecznie.

W miarę możliwości starałem się z nim spotykać jak najczęściej, choćby po to, by być przy nim. W Jaworznie, gdzie drzwi celi całymi popołudniami bywały pootwierane, nie było to zbyt trudne. Wydawało mi się, że Zygmunt potrzebuje

tych naszych spotkań. Wspominaliśmy podczas nich nasze „stare, bohaterskie czasy”. Pewnego razu, w sposób całkowicie przeze mnie niezamierzony, udało mi się wstrząsnąć moim przyjacielem przez zawstydzenie. Kiedyś bowiem, gdy mnie rozgniewał swoją apatią, rzekłem do niego szczerze: „Zygmunt, zawsze uważałem ciebie za twardego, mocnego wojownika i wiem, że taki jesteś. Ale teraz widzę, że taka sobie dziewczka, niewierna i nieuczciwa, pozbawiła cię sił i chęci do życia. Proszę cię, stary, weź się w garść! Otrząśnij się z tej twojej słabości. Ona naprawdę nie jest warta, byś tak się przez nią załamywał”.

Byłem pewien, że za takie słowa Zygmunt srodze się na mnie pogniewa. Przecież jego ukochaną Elżunię nazwałem dziewczką. Ale miło się rozczarowałem. Powiedział krótko: „Wygłaszaj mi częściej takie kazania, są mi potrzebne”.

Największą wszakże pociechą oraz powodem jego ozdrowienia stała się wizyta jego matki w Jaworznie, rok po tej sztumskiej, a zwłaszcza wieść, którą mu wtedy przywiozła. Oznajmiła Zygmuntowi, że Elżunia nie pokazuje się teraz na Kolonii, ponieważ wstydzi się pokazywać ludziom na oczy i pogrążona jest w głębokim smutku. Robert bowiem zostawił ją i ma poważny zamiar ożenić się z inną.

Gdy, nie bez pewnej złośliwej satysfakcji, Zygmunt przekazał mi tę wiadomość, spytałem go od razu: „No, i co? Masz zamiar powrócić po wyjściu do swojej Elżuni?”. Odparł mi wesoło: „Bronku! Wbrew pozorom jeszcze nie zwariowałem!”.

Kiedy w kwietniu 1955 r. wyszliśmy na wolność, Zygmunt prędko znalazł sobie uczciwą pracę i uczciwą żonę. Mieli troje dzieci i żyli ze sobą szczęśliwie aż do śmierci Zygmunta, która nastąpiła chyba w 1991 r.

Kilka dni po powiadomieniu nas o tym, że zostaliśmy wyznaczeni do transportu, wczesnym rankiem, tuż po pobudce, wywołano nas z celi. Kazano nam zabrać ze sobą wszystkie osobiste manatki i sprowadzono na dół – na więzienne podwórze. Stała tu już duża grupa więźniów. Wciąż jeszcze doprowadzano nowych. Panował gwar i ożywienie. Rozpoznawali się wzajemnie starzy znajomi, witali się, śmiali się głośno. Kławisze nie interweniowali, nie uciszali nas. My z Zygmuntem też od razu odnaleźliśmy naszych przyjaciół z Podziemnej Kolonii. Dano nam prowiant na drogę: porcję chleba ze smalcem i trochę cukru. Następnie ustawiono nas w szeregu i poprowadzono na dworzec pod zbrojną eskortą kławiszy. Tam czekał już na nas specjalny wagon więzienny z kratami w oknach i matowymi szybami. Miał zostać dołączony do pociągu osobowego jadącego na Śląsk. Wagon ten mógłby być nawet całkiem wygodny, gdyby nie

był ponad wszelką rozsądną miarę przeładowany. Podzielony był na niewielkie przedziały, o połowę mniejsze od przedziałów w pociągach osobowych. Każdy z nich mógł więc pomieścić cztery osoby, oczywiście w normalnych, ludzkich warunkach. Natomiast nas wpychano po ośmiu. Oznajmiono nam przy tym, że sami już musimy zatroszczyć się o to, by poradzić sobie ze zdobyciem miejsca. Było to zadanie trudne do wykonania.

Na domiar złego sprzysięgła się przeciwko nam także pogoda. Była wprawdzie połowa października, ale słońce na bezchmurnym niebie grzało jak w letni, upalny dzień, temperatura na dworze przekraczała 20 stopni.

Przyznaję, że zabrakło mi wyobraźni. Myślałem sobie – jest październik, więc może być chłodno. Odziałem się więc w ciepły wełniany sweter. Mama zrobiła mi go własnoręcznie na drutach i wręczyła na którymś z widzeń.

Ucieszyłem się, że udało mi się zdobyć miejsce na górnej półce przedziału. Zdawało mi się, że zrobiłem na tym dobry interes. Miejsca wprawdzie miałem mało, o połowę mniej, niżbym go znalazł w normalnym, osobowym przedziale, nogi wystawały mi daleko poza półkę, a usiąść nie było jak, bo nisko nad półką był już sufit wagonu. Przy tym musiałem stale czuwać, by nie spaść pasażerom na głowę. Ale gdy spojrzałem w dół, pomyślałem sobie, że tym na dole też jest lekko.

Wyjechaliśmy ze Sztumu trochę po 8.00, a do Sosnowca mieliśmy dojechać około 15.00. Początkowo, póki wagon jeszcze się nie nagrzał w słońcu, było znośnie. Lecz mniej więcej od południa nasz przedział zaczął się przemieniać w saunę. Zrobiło się potwornie gorąco. A jak z praw fizyki wynika, najgoręcej bywa na górze – czyli u mnie, na górnej półce. O ile pamiętam, nigdy dotąd nie było mi tak gorąco. Pociłem się więc okrutnie. Byłem potwornie spragniony. Chciałem zdjąć z siebie sweter, ale jak to zrobić? Gdybym zaczął się ze swetrem szamotać, z pewnością spadłbym z półki, a bardzo tego nie chciałem. Leżałem więc cichutko i cierpiałem niby na dnie czyścica. Czekałem, aż nadejdzie nasza kolej, otworzą się drzwi przedziału i wypuszczą nas do łazienki.

Musiałem jednak długo czekać, ponieważ drzwi do poszczególnych przedziałów otwierano po kolei. A póki nie wróciła z łazienki jedna grupa, nie otwierano drzwi od następnego przedziału. A przedziałów było dużo. Owym zaś szczęśliwcom, którym udało się wreszcie trafić do łazienki, nie śpieszyło się zbyt, aby z niej wyjść. Każdy z nich miał sporo spraw do załatwienia.

Kilku starszych więźniów, którzy czekali na swoją kolejkę, zemdłało od nadmiaru gorąca. Obawiałem się, że i mnie może spotkać to samo. Wreszcie na krótko przed przyjazdem do stacji końcowej otworzono nasz przedział i mogliśmy

pójść do łazienki. Pierwsza rzecz, którą zrobiłem, to zdjąłem z siebie sweter, następnie napiłem się wody z kranu – zimniej i niezbyt czystej. Piłem długo.

Tymczasem nasz wagon dojeżdżał już do stacji docelowej. Po chwili kazano nam wysiadać i poprowadzono pieszo do przejściowego więzienia w Sosnowcu-Radosze. Moi towarzysze podróży mieli w nim zabawić zaledwie tydzień, potem mieli być rozwiezieni do różnych obozów pracy, przeważnie do kopalni. Ja natomiast spędziłem tu prawie dwa miesiące. Już w czasie marszu czułem, że ze mną jest coś nie w porządku. Dopadło mnie jakieś paskudne choróbsko. Po dotarciu na miejsce nie byłem w stanie zjeść kolacji.

Chyba jeszcze nigdy w życiu nie miałem tak wysokiej gorączki. Następnego dnia rano znalazłem się w więziennej izbie chorych. Przeleżałem w niej trzy tygodnie.

Gdy wróciłem jako ozdrowieniec do celi, więzienie było prawie puste. Następnym większym transport więźniów miał przyjechać dopiero za dwa tygodnie. Zamknięto mnie w dużej, o ile pamiętam, 24-osobowej celi. Przez dziesięć dni byłem w niej zupełnie sam. Po raz pierwszy ujrzałem w więzieniu prawdziwe łóżka, dotąd bowiem spaliśmy na posadzce, na którą kładliśmy siennik. Łóżka były piętrowe.

Byłem wdzięczny lekarzowi więziennemu za trzy cenne przysługi – za to, że przepisał mi dietę odżywczą, z codziennym kawałkiem mięsa, za to, że zgodził się na przedłużenie mi spaceru z pół godziny do dwóch godzin dziennie. Dzięki temu mogłem wyjść po obiedzie do parku więziennego, włóczyć się po nim i wracać dopiero na 16.00, gdy już było prawie ciemno. Wreszcie wdzięczny mu jestem za to, że gdy wychodziłem ze szpitala, wręczył mi półlitrową butelkę tranu. Gdy udawałem się po południu na przechadzkę, kierowałem swe kroki do kuchni. Tam prosiłem kucharzy-więźniów o trochę cebuli. Dawali mi, ile chciałem. Kroiłem cebulę na drobne kawałki i zalewałem tranem. Potrawka nie była zbyt smaczna, ale za to bardzo odżywcza.

W celi było bardzo zimno; było widać parę, a zatem poniżej 12 stopni. Bałem się, że się znów rozchoruję. Dlatego zwróciłem się do oddziałowego z uprzejmym zapytaniem, czy nie ma jakiegoś sposobu na to, aby w tym pomieszczeniu zrobiło się choć odrobinę cieplej. Odparł mi na to, że sprawa jest beznadziejna i niczego się nie da zrobić, ponieważ więzienie jest prawie puste, więc dla jednego czy drugiego takiego nieszczęśnika jak ja nie opłaca się uruchamiać całego centralnego ogrzewania. Wreszcie zakończył swe wywody: „U mnie na dyżurce też nie jest gorąco. Jeśli wam zimno, to otulcie się kocami. Jest ich tu pod dostatkiem. Na każdym łóżku po dwa. Chyba wam wystarczy”. Obiecał mi jeszcze, że jak mnie zobaczy leżącego na łóżku, nie będzie mnie zganiał.

Wylazłem więc na górę piętrowego łóżka, nakryłem się pięcioma kocami i prześcieradłem i zrobiło mi się jako tako. Da się żyć mimo wszystko. Tym bardziej że udało mi się właśnie wykupić wypiskę za matczyne pieniądze. Jedzenia miałem więc pod dostatkiem. A najbardziej smakowała mi kielbasa śląska. Trzymałem ją pod zagłówkiem i sięgałem po nią dość często.

Przy rozdawaniu kolacji oddziałowy spytał mnie, czy nie wolalbym przypadkiem przejść do celi naprzeciwko. Siedzi tam aż dwóch więźniów. Byłoby mi raźniej, a chyba i trochę cieplej. Popatrzyłem na niego z rozpaczą: „Panie oddziałowy, litości! Niech mnie pan tu zostawi. Mnie jest dobrze samemu”. Spojrzał na mnie szczerze zdziwiony. „Ano, siedźcie tu sobie, skoro chcecie się bawić w pustelnika”.

Niestety, niedługo dane mi było cieszyć się samotnością. Któregoś wieczoru, po powrocie z dwugodzinnej przechadzki, spostrzegłem, że zaczynają grzać kaloryfery. Znak to był nieomylny, że władze więzienne spodziewają się przybycia nowego transportu. Około 20.00, po kolacji, gdy właśnie miałem zamiar sięgnąć po następny kawałek kielbasy, na korytarzu rozległ się tupot nóg i gwar wielu głosów.

Czytałem właśnie w *Ogniem i mieczem* scenę, gdy Skrzetuski wymyka się z twierdzy zbarskiej, by osamotnionym w boju rycerzom sprowadzić pomoc wojsk koronnych. Z emocji zatykało mi dech w piersiach. Lecz w tej chwili zazgrzytał zamek i otworzyły się drzwi mojej celi. Wbiegło do niej około dwudziestu chłopów – wszyscy rozkrzyczani, przeważnie młodzi. Rzucili się od razu, by pozajmować sobie miejsca na łóżkach i ulokować w bezpiecznym miejscu swoje tobołki. Początkowo nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Przerwałem czytanie patriotycznej lektury, by ocenić moją nową sytuację. Ocena nie wypadła najgorzej. Wśród przybyłych wyróżniała się 8–10-osobowa grupa młodych ludzi w wieku maturalnym. Robili wrażenie osób wesołych i sympatycznych. Wyraźnie trzymali się razem, jakby tworzyli jedną grupę bliskich znajomych. Uderzyło mnie, że większość z nich mówiła śpiewnym, wileńskim akcentem. Aha – pomyślałem sobie. – Mam was. Wiem, skąd jesteście. W końcu jeden z ferajny zauważył moją obecność. Podszedł do mnie i zagadnął prowokująco: „Młodzieńcze wybladły. Przyznaj się, coś za jeden”. I bez pytania wyjął mi książkę z ręki, aby zobaczyć tytuł. Gdy przeczytał, na jego twarzy zajaśniał wyraz uznania. Zrobił minę, jakby skosztował czegoś bardzo smacznego.

Przyznaję, że uraził mnie ten jego niekonwencjonalny sposób, w jaki mnie potraktował. Odpowiedziałem mu, zatem chłodno: „Jeśli chcesz wiedzieć, to nie będę skrywał. Przed tobą jestem młodzieńcem wybladłym, jak sam słusznie zauważyłeś”. W tym momencie mój rozmówca mocno mnie zawstydził.

Zrozumiałem, że nie warto być obraźliwym. Otóż, zamiast wycedzić przez zęby jakieś mocno złośliwe, ironiczne słowo, uśmiechnął się przyjaźnie, wyciągnął do mnie rękę i przedstawił się: „Manius jestem”. Uścisnęliśmy sobie dłonie po przyjacielsku. „Jestem Broniek” – przedstawiłem się już bez dąsania. I mówię dalej: „Mogę ci powiedzieć, skąd jesteście. Nie potrzebujecie się przedstawiać, bo sam wpadłem na to. Dałbym sobie moje piękne uszy poobcinać, że się nie myślę...”. „Widzę, że jesteś prorokiem. No, to powiedz, skąd jesteście!” Odrzekłem mu skromnie: „Prorokiem to ja nie jestem, ale znam się troszeczkę na geografii. Dlatego jestem pewny, że jesteście z Gdańska”. „Skąd ci ta mądrość?” – wykrzyknął zdziwiony. „Otóż stąd – odpowiedziałem – że sam mieszkałem w Gdańsku i dlatego wiem, że tam co trzeci zaciąga po wileńsku, tak jak większość z was”. Manius roześmiał się, a następnie zaprowadził mnie do swoich kumpli. „Przedstawiam wam naszego krajana z Gdańska”.

Okazało się, że cała ta wesoła ferajna to uczniowie jednego z gdańskich liceów, a siedzą za to samo co ja, to znaczy za przynależność do antykomunistycznej organizacji młodzieżowej. Poczulem się wśród nich jak w gronie serdecznych przyjaciół.

Jednak zrodziło się w mojej głowie pewne podejrzenie. Nie dawało mi spokoju, jak natrętna mucha. Postanowiłem zatem koniecznie je zweryfikować. Następnego dnia, w czasie śniadania zagadnąłem moich nowych przyjaciół z bratniego gdańskiego liceum. „Dziewczeta z naszego IV LO przylatywały nieraz do szkoły wyraźnie rozpromienione i wołały z daleka, że na murach Gdańska znów jacyś studenci porozlepiali ulotki o wyraźnie wywrotowej treści. Treść jednej z niech mogę nawet zacytować: »Niech żyje Związek Radziecki! Ano, niech sobie żyje! Ale przecież nie naszym kosztem!«”. Mówiąc to, patrzyłem uważnie na reakcję moich przyjaciół. Okazało się, że moje podejrzenia były najzupełniej słuszne. Gdy cytowałem treść ulotki, spojrzeli po sobie znacząco. Na ich twarzach malował się wyraz zadowolenia. Jeden z nich zawołał jakby z wyrzutem: „Skąd tym waszym dziewczynom wpadło do głowy, że to od razu musieli być studenci? Dlaczegoż nie mogli to być uczniowie szkoły średniej?”. Dogadaliśmy się szybko. Okazało się, że to właśnie przez nich redagowaną bibułę spotykaliśmy tak często na murach Gdańska; to od nich ściągnęliśmy treść niektórych bardziej pikantnych ulotek; to oni byli owymi niewidzialnymi przedstawicielami Polski Podziemnej, którzy przez swą działalność umacniali w narodzie wiarę w ostateczne zwycięstwo.

Ze swej strony przyznałem im się w całej pokorze i ze skrucą, że to my popełnialiśmy wobec nich bezwstydną plagiat, redagując i kolportując ulotki, których treść zaczerpnęliśmy od nich, bez ich zgody ani pozwolenia. Zostałem łaskawie rozgrzeszony, tym bardziej że teraz oni z kolei przyznali się do tego,

że większość powielanych przez nich ulotek też nie była ich autorstwa. Z tego zdaje się wynikać, że wtedy w podziemiu plagiat był zjawiskiem powszechnym.

Zaprzyjaźniliśmy się serdecznie. Myślę, że taką przyjaźń przeżywać mogą jedynie ludzie, których łączy wielka, święta i czysta idea. Jak wśród pierwszych chrześcijan.

Treścią naszych rozmów, które nas pochłaniały, były najczęściej marzenia o Polsce – wolnej, niepodległej i silnej moralnie. Nasz patriotyzm był ambitny – stawiał przed nami wysokie wymagania moralne, nakazywał uczciwą pracę nad sobą, nade wszystkim kazał liczyć się z honorem. Wszyscy, choć w różnym stopniu, byliśmy ludźmi religijnymi. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem, spotykaliśmy się na wspólnej modlitwie. Naszą religijność, nasz katolicyzm uznawaliśmy zawsze za istotny składnik naszej polskości.

W czasie ożywionej rozmowy zdarzało się, choć rzadko, że ktoś z towarzystwa użył wulgarnego słowa – najczęściej było to wyzwisko pod adresem komunistycznych pacholków. Według opinii samych użytkowników tych niecenzuralnych wyrazów była to po prostu nieunikniona konieczność. Albowiem słowa te najpełniej i najbardziej adekwatnie oddawały rzeczywistość. Przeto żadnym innym określeniem nie dałoby się ich zastąpić.

Nasze towarzystwo lubiło śpiewać. Na ogół nie śpiewaliśmy pieśni kościelnych, z wyjątkiem trzech, które stanowiły naszą codzienną modlitwę. Były to: „Kiedy ranne wstają zorze...”, „Wszystkie nasze dzienne sprawy...” oraz „Pod Twą obronę...” Najchętniej śpiewane były przedwojenne piosenki wojskowe, niekiedy frywolne, jak na przykład ta, znana przed wojną chyba każdemu polskiemu żołnierzowi: „Z łączki na łączkę wołki ganiała...”.

Dobrze czuliśmy się w swoim gronie – było pobożnie, patriotycznie i wesoło, żartowaliśmy sobie czasem. Gdyby wtedy przyszedł do nas naczelnik więzienia i powiedział nam, że w tej chwili możemy iść na wolność, to chyba odpowiedzielibyśmy: „Panie naczelniku, po co się tak śpieszyć? Czy nie dałoby się odłożyć tej uroczystości na jutro? Albo jeszcze lepiej – na pojutrze?”.

Ale niestety, na tym świecie wszystko, a więc także i to, co dobre, musi się skończyć. Pod sam koniec listopada poinformowano moich przyjaciół z Gdańska, że następnego dnia rano pojadą transportem do kopalni „Wesoła II”, o ile dobrze pamiętam, bo tam zostali skierowani. Nie mieli daleko. Szyby tej kopalni widać było z okna naszej celi.

A więc znów zostałem zupełnie sam, na szczęście nie na długo. 10 grudnia 1953 r. przewieziono mnie z niewielką grupą młodocianych więźniów do Jaworzna.

Jaworzno

Tu miałem spędzić półtora roku. Stąd wyszedłem wreszcie na wolność i powróciłem do najbliższych po blisko trzydziestu miesiącach. Stąd też wyniosłem chyba najwięcej więziennych wspomnień, bo tu właśnie przeżyłem dużo niecodziennych przygód.

Wiele lat po wyjściu z więzienia w mojej głowie zrodziły się refleksje.

Pierwsza z nich dotyczy wypędzonych z ojczyстых stron Kresowiaków – tej części naszego narodu, która wyszła najbardziej pokrzywdzona z wojennej zawieruchy. Wielu ich było także w Jaworznie. Nieomal na każdym kroku można było usłyszeć uroczą, śpiewną mowę, rozpoznawalną już przy pierwszym wypowiedzianym zdaniu.

Nasi Kresowianie po wypędzeniu z rodzinnych stron osiedlili się w dosyć zwartych skupiskach w zachodnich i północnych regionach Polski, to znaczy na terenach dzisiejszych województw: dolnośląskiego, lubuskiego, zachodniopomorskiego, gdańskiego oraz warmińsko-mazurskiego. Stanowili szczególny rodzaj Polaków – wyjątkowo towarzyscy, pogodni, głęboko religijni. Co ich jednak nade wszystko wyróżniało, to ich szczerzy patriotyzm oraz szacunek i przywiązanie do wartości narodowych. Nic więc dziwnego, że to właśnie oni tak gęsto zaludniali, jako więźniowie polityczni, ówczesne więzienia i zakłady karne.

Gdy dziś, z perspektywy XXI w. wspominam czasy mej więziennej młodości, żal mi duszę ścisła, że już coraz rzadziej można usłyszeć na ulicach naszych miast i miasteczek dźwięki pięknej, kresowej mowy. Brakuje mi jej. W ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat wyrosło nowe pokolenie, które nie używa już mowy swych kresowych rodziców, bo woli posługiwać się ogólnopolskim językiem literackim. A ja zdaję sobie sprawę, że zanik tego naszego kresowego języka stanowić będzie z całą pewnością bolesne zubożenie polskiej różnorodności, naszej polskiej tradycji i kultury.

To właśnie z Kresowiakami dane mi było zaprzyjaźnić się szczególnie serdecznie. Im też wiele zawdzięczam. Marian z Wilna, Roman z Mołodeczna, Kazik ze Lwowa, Bolek z Równego i wielu innych – to moi towarzysze więziennej niedoli, bliscy i wierni towarzysze, z którymi podtrzymywaliśmy się wzajemnie w znoszeniu codziennych uciążliwości życia w zamknięciu. Niestety, tylko

z jednym z nich, z Marianem, udało mi się utrzymać do dziś trwały kontakt. Po wyjściu na wolność mieszkaliśmy bowiem przez jakiś czas w Gdańsku, toteż o wszystkich tych moich serdecznych kumplach, z którymi zaprzyjaźniłem się w obozie, starałem się uczciwie pamiętać w modlitwie i w codziennej mszy świętej – aż do dziś.

Chyba znane są nam wszystkim mądre i prawdziwe słowa z bajki Mickiewicza, „że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie”. Ja bym je tylko nieco uzupełnił – nie tylko prawdziwych przyjaciół, ale i prawdziwych chrześcijan, prawdziwych Polaków i w ogóle prawdziwych ludzi poznaje się w niedoli. To właśnie niedola jest owym najtrudniejszym sprawdzianem przyjaźni. I tylko ona pozwala wychować do prawdziwej przyjaźni z bliźnimi.

Inna moja refleksja na temat życia w Zakładzie Progresywnym w Jaworznie dotyczy więźniów kryminalnych, czyli pospolitych przestępców – złodziei, chuliganów, gwałcicieli, a nawet morderców. Stanowili oni w naszym zakładzie nieco ponad połowę ogólnej liczby więźniów.

Władze komunistyczne celowo mieszały więźniów politycznych z kryminalistami, aby upokorzyć pierwszych. Cel nie został jednak osiągnięty.

O dziwo, nie miałem też złej opinii o więźniach kryminalnych – ci, których spotkałem w Jaworznie, mimo swej grzeszności i słabości, byli ludźmi dobrej woli. Przez cały okres mego pobytu w Jaworznie, przez półtora roku, nie byłem świadkiem żadnego publicznego ekscesu, który raziłby moje chrześcijańskie uczucia. Owi więźniowie nie byli oczywiście nieskazitelni moralnie. Pomimo jednak wszystkich ich słabości czy skłonności do złego, wyraźnie żyła w nich zdrowa ambicja, aby w imię honoru i poczucia ludzkiej godności przeciwstawiać się swoim własnym słabościom. Obowiązujący wśród nich kodeks głosił, że najbardziej godnym potępienia i pogardy przestępstwem jest donosicielstwo. Zaraz na drugim miejscu był homoseksualizm. Aktywni homoseksualiści stanowili najbardziej pogardzaną kategorię ludzi – zwłaszcza w oczach więźniów kryminalnych. Smutny, więc był los tego, którego przyłapano na uprawianiu praktyk homoseksualnych. Czekano go mordobicie. Lecz nie było to bynajmniej pastwienie się nad nieszczęśnikiem, lecz wymierzenie kary w majestacie prawa. Na naszym oddziale działał bowiem sąd koleżeński, złożony zarówno z więźniów politycznych, jak i kryminalnych. O ile dobrze pamiętam, podobne sądy działały także na innych oddziałach na zasadzie tzw. samorządu więziennego. Gdy zatem przyłapano kogoś na kapowaniu, praktykowaniu homoseksualizmu czy wreszcie na okradaniu współwięźniów (np. z papierosów lub z produktów żywnościowych), zwoływano ów „sąd”. Stawiono delikwenta przed obliczem

„trybunału”, a ten po niezbyt wnikliwym rozpatrzeniu sprawy wydawał wyrok. Ze względu jednak na ubóstwo środków, którymi „sąd” dysponował w wymierzaniu sprawiedliwości, wyrok bywał zazwyczaj stereotypowy – z zasady karą było mordobicie.

Na ogół najłagodniejszy wyrok wydawano na więziennych złodziei. Kara polegała na tym, że po prostu zakładano takiemu na szyję dużą, tekturową tablicę z opisem winy. Przeważnie napis na tablicy głosił: „Jestem złodziejem! Okradałem kolegów z jedzenia i papierosów, za co wszystkim bardzo przepraszam”. W wyznaczonym czasie kilku osiłeków prowadziło takiego od celi do celi. W celach czekano już na delikwenta. Zazwyczaj jednak nie pastwiono się nad nim, a jedynie drwiono z niego i obrzucano wyzwiskami. Nie było wypadku, ażeby największy choćby cwaniak nie podporządkował się wyrokowi sądu koleżeńkiego. Surowsze kary „sąd” orzekał wobec dwu pozostałych przestępstw. Zarówno kapusie, jak i homoseksualiści musieli się liczyć z tym, że czeka ich niezły łomot.

Może nasunąć się wątpliwość, czy owe represje stosowane przez więźniów Jaworzna wobec kapusiów i homoseksualistów nie były jedynie przejawem prymitywnej nietolerancji. Problem wydaje się o tyle ważny, że w naszych czasach spotykamy się z natrętną propagandą o tajemniczych źródłach, która pragnie wmówić społeczeństwu, że każdy przejaw niechęci czy dezaprobaty wobec homoseksualizmu jest już aktem karygodnej nietolerancji.

Jednakże ta niechęć i pogarda nie miały swojego źródła w religii czy też w woli dochowania za wszelką cenę wierności etyce chrześcijańskiej. Jeśli nawet czynnik religijny odgrywał tu pewną rolę, to jedynie w niewielkim stopniu. Trudno byłoby przecież podejrzewać tych ludzi o nadmierną gorliwość w przestrzeganiu prawa Bożego. Z pewnością nie był to również wyraz prostackiej nietolerancji, co im skwapliwie zarzucają współcześni genderyści.

Zjawisko to ma niewątpliwie głębsze korzenie. Otóż moim zdaniem był to po prostu akt zdrowej samoobrony. Albowiem pomimo wszystkich swoich moralnych wad i ułomności więźniowie kryminalni, przynajmniej ci, których znałem, byli z całą pewnością ludźmi ambitnymi. Starali się być na swój sposób surowi wobec siebie. Wielu z nich szczyciło się pokaznymi bliznami na piersiach. Były to ślady po ranach, które albo sami sobie zadali, albo też rzeczywiście nabyli podczas jakichś bójek na noże. Stawiali sobie wysokie wymagania, zwłaszcza na polu męstwa, choć nie zawsze udawało im się je spełnić. Oczywiście ich wzorcem osobowym nie był bynajmniej św. Stanisław Kostka, lecz raczej jakiś westernowy twardziel. Były to zatem ideały, które niewiele miały wspólnego z chrześcijańską

pokorą. Wyznawali bowiem coś w rodzaju etyki naturalnej, która każe gardzić słabością. A słabość kojarzyła im się przede wszystkim ze zbytnią uległością wobec wynaturzonych form popędu seksualnego. Oni zaś chcieli żyć zgodnie z naturą. Dlatego w homoseksualistach widzieli słabeuszy moralnych, którzy tchórzliwie wycofali się z walki i skapitulowali wobec własnych słabości, przeto traktowano ich niby zarazę, którą należy gardzić i której trzeba unikać.

Relacje między więźniami politycznymi i kryminalnymi były moim zdaniem całkiem poprawne. Wprawdzie kryminalni zwykli byli szydzić z idealizmu więźniów politycznych, ale z pewnością nie było w tym szyderstwa jakiejś zapiekłej złośliwości. Kilkakrotnie usłyszałem skierowane pod moim adresem następujące słowa: „Ja przynajmniej wiem, za co siedzę, bo tego, co nakradłem, tego mi nawet pies nie zliże. Ale ty, za co siedzisz?”. Jednakże kryminalni szanowali politycznych. Pewnego razu, gdy po zjedzeniu obiadu wychodziliśmy z jadalni, przyцепił się do mnie jakiś kryminalista, już nie pamiętam o co, i zaczął się odgrażać. Wrzeszczał, kłął, wyzywał, groził, próbowałem się odcinać, ale tamten był bardziej wygadany i przede wszystkim silniejszy ode mnie. Zrobiło się groźnie. Nie miałem zamiaru ustępować. Czekałem desperacko na dalszy bieg wydarzeń. Wtem podszedł do mego prześladowcy jego kumpel, też złodziej, z Warszawy, z którym siedziałem kiedyś w jednej celi. Powiedział krótko: „Stary, odcwel się od niego, bo to chłopak z organizacji”. Natychmiast poskutkowało. Były prześladowca spojrział na mnie już bez gniewu, a na znak pojednania klepnął mnie porządnie w plecy. Odszedł w swoją stronę.

Jako „chłopak z organizacji” poczułem się niezmiernie dowartościowany.

Wśród ówczesnych kryminalnych niewielu było takich zdegenerowanych cyników, którzy by nie uznawali żadnych ludzkich wartości. Większość z nich stanowili ludzie na swój sposób otwarci na ideały patriotyczne. Także religijność była wśród nich powszechna, choć oczywiście pojmowali ją na swój sposób.

Zarówno wśród więźniów politycznych, jak i kryminalnych miałem wielu serdecznych przyjaciół. Trudno mi dziś powiedzieć, których z nich oceniałbym wyżej. W jednych i drugich bowiem działała łaska Boża.

Mój stosunek do kryminalnych ukształtowało też pewne zdarzenie.

Wspominałem już, że aresztowano mnie 2 lutego 1953 r., w święto Matki Bożej Gromniczej. Za ledwie dwie godziny przed aresztowaniem byłem w kościele na mszy św. Miałem przy sobie mszalik. Książeczka ta aż do końca grudnia 1953 r. przeleżała w różnych więziennych depozytach w kieszeni mojej kurtki, w której zostałem aresztowany. Brakowało mi tego mszalika. Dopiero po przybyciu do Jaworzna pojawiła się możliwość jego odzyskania. Wystąpiłem

więc z prośbą do naczelnika więzienia o zezwolenie na korzystanie z książeczki. Naczelnik udzielił zgody na jej wydanie.

Odtąd, aż do dnia mego wyjścia na wolność, w każdą niedzielę korzystałem z mszalika, by choćby na odległość przeżyć mszę świętą i przeczytać teksty Pisma Świętego wyznaczone na daną niedzielę. Przez pierwsze dwie niedziele modliłem się sam. Ale już pod koniec drugiej „suchej mszy św.” jeden z kolegów z celi zainteresował się tym, co robię i co czytam. Gdy mu wyjaśniłem, ucieszył się i zapytał, czy i on mógłby przyłączyć się do modlitwy. Zaprosiłem go z radością.

Na trzecią niedzielę było nas już więcej, bo dołączyło w sumie chyba siedmiu kolegów. Ale odtąd trzeba już było czytać głośno, bo nie mogliśmy wszyscy naraz czytać z jednego mszalika. Ponieważ podczas czytania jąkałem się, funkcję lektora przyjął na siebie Leszek ze Starachowic, który czytał dobrze i z wyczuciem.

Po miesiącu liczba modlących się wzrosła już do trzydziestu. Zasilili nas koledzy z innych cel, bo w niedzielę wszystkie drzwi na oddziałach były pootwierane. Ledwie mieściliśmy się w jednym pomieszczeniu. Teksty liturgiczne czytało na zmianę dwóch lektorów. Na tego drugiego, oprócz Leszka, zgłosił się Heniek z Poznania, student polonistyki. Oddziałowi na szczęście nas nie prześladowali. Udawali, że o niczym nie wiedzą i niczego nie rozumieją. Na rozpoczęcie i zakończeniu naszej modlitwy śpiewaliśmy zawsze jakąś pieśń religijną. Najczęściej było to „Kiedy ranne wstają zorze...”, „Pod Twą obronę...” lub którąś z pieśni maryjnych, a na zakończenie zawsze śpiewaliśmy „Boże, coś Polskę...”.

Uczestnicy tych niedzielnych spotkań przy mszaliku cenili je sobie i podkreślali, że zaspokajają w ten sposób istotną potrzebę chrześcijańskiego serca, umacniają się w dobru i ubogacają się wewnątrznie. Widać było wyraźnie, że wielu naszych kolegów przeżywało modlitwę naprawdę głęboko. To, co mnie szczególnie zaskakiwało, to fakt, że więźniowie kryminalni angażowali się w tę naszą modlitwę wcale nie mniej niż polityczni.

Po spotkaniu modlitewnym urządzaliśmy skromną agapę, w czasie której każdy z nas wykladał na stół to, co mieliśmy dobrego z wypiski. Podczas spożywania agapy rozmawialiśmy często na tematy religijne. Pamiętam, że podczas takiej właśnie rozmowy przeżyłem coś, nad czym zastanawiam się do dziś. Rozmawialiśmy o cudach. Jeden z uczestników wyznał, że ma wielkie trudności z wiarą w cuda. Trudno mu po prostu uwierzyć w coś, czego nigdy nie widział. Wtedy Leszek, ale nie ten ze Starachowic, powiedział do nas: „Chciałbym zdemontrować wam, koledzy, coś, co was zapewne zainteresuje. Może mi się uda. Nie wiem, czy Kościół nazwałby to cudem, bo być może da się to wytłumaczyć

przy pomocy jakichś sił dotąd nieznanymi, lecz naturalnymi, ale zjawisko jest w każdym razie interesujące. Potrzeba mi do jego zademonstrowania siedmiu ochotników”. Zgłosiliśmy się bez ociągania. Leszek posadził nas po jednej stronie stołu, przy którym jadaliliśmy posiłki. Stół był duży, ciężki, dębowy. Mieściło się przy nim spokojnie szesnastu chłopów. Kazał nam połączyć wszystkie nasze ręce palcami. Poprosił, byśmy się wyciszyli, skupili. Sam stanął dwa metry naprzeciw nas. Jedną rękę trzymał wyciągniętą w kierunku stołu. W pewnym momencie podniósł rękę wyżej. Wtedy stół uniosł się bez żadnego widocznego wysiłku spokojnie w górę. Uniosły się nogi od jego strony. Oparty był tylko o dwie – te od naszej strony. Wszyscy byliśmy zdumieni. Zjawisko dokonywało się wyraźnie wbrew prawu grawitacji; duży, ciężki stół jak pieśń staje posłusznie na dwóch łapkach. Tego nie wytłumaczy żaden fizyk. Nawet nasz niedowiarek był poruszony. Doświadczenie powtarzaliśmy jeszcze kilkakrotnie – zawsze się udawało.

Nasze niedzielne modlitwy przy mszaliku nie stanowiły dla nas jedynej okazji do spotykania się w szerszym, koleżeńskim gronie. Kiedy w grudniu 1953 r. znalazłem się w Jaworznie i skierowano mnie do pracy na prefabrykacji, zastałem tam już sprawnie działające kółko samokształceniowe. Wśród jaworzniaków bowiem panował prawdziwy głód wiedzy, głód kształcenia się. Młodzi ludzie, pozbawieni kontaktu ze szkołą, nie chcieli mimo wszystko wypaść z kursu, postanowili zatem dokształcać się na własną rękę.

Gdy dowiedziałem się, że na terenie naszego oddziału istnieje i działa takie kółko samokształceniowe, poprosiłem jego uczestników, aby przyjęli mnie do swego grona. Zgodzili się chętnie. Kiedy się przekonali, że moją wielką miłością jest chemia, obarczyli mnie nawet odpowiedzialnością za przygotowywanie pogadanek z tego zakresu.

Czym prędzej zwróciłem się do naczelnika więzienia z prośbą o zgodę na to, aby rodzice mogli mi przekazać na widzeniu kilka podręczników i książek. Naczelnik zgodził się, ale zanim zgodę tę uzyskałem, musiałem wysłuchać długiego przemówienia na temat, jaki to ze mnie niewdzięcznik wobec władzy ludowej. Ona dała mi możliwość kształcenia się, a ja, łajdak, zamiast się uczyć, wdałem się w jakieś tam konspiracje.

Po uzyskaniu pozwolenia natychmiast napisałem list do rodziców – wypisałem tytuły książek, na których mi najbardziej zależało. Podczas najbliższego widzenia mama przekazała mi cały worek książek, a wśród nich najbardziej potrzebne mi podręczniki z chemii. Teraz już mogłem stać się aktywnym uczestnikiem naszego kółka samokształceniowego.

Spotykaliśmy się regularnie, dwa razy w tygodniu wieczorami, w czwartki i niedziele. Każde spotkanie poświęcone było tylko jednemu przedmiotowi, za każdym razem innemu. Spotkania trwały różnie – od godziny do dwóch. Zależało to od tego, jak się rozwinęła dyskusja. Mieliśmy zatem spotkania z dziedziny literatury, matematyki, biologii i chemii. Brakowało nam jedynie specja od fizyki. Później dołączył do nas kolega Leszek z Bydgoszczy, który bardzo ciekawie przedstawiał problemy historyczne.

Nie mogliśmy niestety realizować materiału z danego przedmiotu według programu szkolnego, bo go po prostu nie znaleźliśmy. Każdy „wykładowca” mógł zatem przedstawiać swoją pogadankę jako wybrane zagadnienia z omawianej przez niego dziedziny.

Ceniliśmy sobie wysoko te nasze naukowe spotkania, ponieważ byliśmy świadomi, że wiele z nich korzystamy. W każdym spotkaniu uczestniczyło kilkunastu więźniów. Ja osobiście brałem w nich udział przez ponad rok.

Wypada zaznaczyć, że uczestnikami spotkań nie byli wyłącznie więźniowie polityczni, choć ci niewątpliwie stanowili większość. Wśród kryminalnych znaleźli się bowiem nie tylko absolwenci szkoły podstawowej – by wspomnieć choćby naszego kolegę aptekarza, który już po ukończeniu farmacji trafił za kratki za jakąś grubszą aferę finansową. Ten lubiany przez kolegów kpiarz i dowcipniś o wiecznie dobrym humorze był, obok Mariana z Gdańska, głównym filarem naszych spotkań poświęconych biologii.

Na początku września 1954 r. spotkała nas bardzo miła niespodzianka. Oto bowiem ogłoszono przez radiowęzeł, pospolicie zwany przez nas szczekaczką lub kołchoźnikiem, że kto chce, może już od zaraz zapisać się do szkoły, a ściślej do liceum ogólnokształcącego.

Cieszę się, że mam teraz możliwość sprawę tę poruszyć. Skłania mnie do tego poczucie wielkiej wdzięczności wobec tych polskich profesorów, którym w tamtym trudnym czasie nie był obojętny los młodych Polaków, całkowicie pozbawionych możliwości kształcenia się. Zdobyli się na odwagę, by twardo domagać się dla nich prawa do kontynuowania nauki. Otóż, od początku 1954 r., gdy po śmierci Stalina zelżał nieco terror komunistyczny, grupa profesorów z Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Katowicach, z dyrektorem na czele, poczęła wytrwale upominać się u naczelnika więzienia w Jaworznie o możliwości kształcenia się dla trzech tysięcy młodych ludzi uwięzionych w zakładzie. Profesorowie podkreślali, że sytuacja jest nienormalna i nie powinna

mieć miejsca w państwie socjalistycznym oraz że podejmują się oni całkowicie bezinteresownie zorganizować i prowadzić wśród więźniów nauczanie na poziomie szkoły średniej.

Ponoć naczelnik początkowo nawet słyszeć nie chciał o jakimkolwiek więziennym nauczaniu. W końcu jednak musiał ustąpić pod silnym naciskiem pedagogów. I w ten sposób od września 1954 r., po zdaniu wszystkich wstępnych egzaminów, znów stałem się uczniem liceum ogólnokształcącego. Byłem nim do końca kwietnia 1955 r., czyli do wyjścia na wolność.

Dzięki inicjatywie i odwadze katowickich profesorów utraciłem tylko jeden rok nauki, a nie trzy. Profesorowie przyjeżdżali do nas dwa razy w miesiącu, w soboty i niedziele po południu na tzw. konsultacje. Omawiali z nami trudniejsze zagadnienia z przedmiotów, które wykładali. Resztę musieliśmy opracowywać sami na podstawie podręczników. Wtedy przekonał się, jak wiele nam dały i jak bardzo pomogły nam w nauce owe kółka samokształceniowe, w których uczestniczyliśmy jeszcze przed powstaniem naszej szkoły więziennej.

Profesorowie przyjeżdżali oczywiście także na zakończenie roku szkolnego, aby przeprowadzić z nami egzaminy oraz udzielić promocji do następnej klasy. Ponieważ wypuszczono mnie z więzienia przedwcześnie, nie zdążyłem się więc załapać na końcowy egzamin po dziesiątej klasie. Musiałem specjalnie pojechać w tym celu do Katowic – wtedy po raz pierwszy zobaczyłem „moją” szkołę.

Wszystkie egzaminy udało mi się zdać pomyślnie. Przy okazji najserdeczniej jak tylko umiałem podziękowałem profesorom za ich nieocenioną przysługę. Po zaliczeniu dziesiątej klasy do matury mogłem już zatem się przygotować i zdać ją na wolności – w sławnej gdańskiej „topolówce”, czyli w III LO przy ul. Topolowej.

* * *

W więzieniu w Jaworznie skierowano mnie do pracy na prefabrykacji. Produkowano tu różnego rodzaju betonowe elementy budowlane: pustaki betonowe, tzw. trylinki, czyli ogromne płyty betonowe do budowania dróg, belki DMS. Nigdy się nie dowiedziałem, od czego pochodzą te nazwy. Praca była ciężka, a normy wyśrubowane. Chłopcy pracowali dzielnie, ponieważ mieli nadzieję, że jeśli wykonają normę, to będzie im policzony dzień za dwa, czyli jeden dzień pracy jak dwa dni siedzenia, a więc będzie o połowę mniej do odsiadki.

Początkowo wyznaczono mnie do produkcji. Wciśnięto mi do ręki ogromną szufłę i kazano wrzucać świeży beton do form pustaków, które trzęsły się na stole wibracyjnym. Nie byłem typem siłacza, w dodatku nigdy jeszcze nie pracowałem fizycznie, a beton był koszmarnie ciężki. Już po pierwszej godzinie

pracy całkowicie wysiadłem. Byłem zlany potem i ledwie trzymałem się na nogach. Koledzy z mojego zespołu zaczęli narzekać, że przeze mnie nie uda im się wykonać normy.

Nie chciałem być dla nich zawadą. Odrzuciłem szufłę i usiadłszy na włączonym stole wibracyjnym, powiedziałem drżącym głosem: „Wybaczcie, koledzy. Nic na to nie poradzę. Sami widzicie, że nadaję się wyłącznie do pracy artystycznej”. Zlazłem ze stołu, bo nie dało się ma nim zbyt długo usiedzieć bez szwanku dla zdrowia. Mój brygadzysta, też więzień, ludzki chłop, ulitował się nade mną. Odesłał mnie do kantorka, bym przeczekał tam do końca dniówki, dopóki nie przyjdzie klawisz i nie zaprowadzi nas wszystkich na oddział.

Nie wiem, jak mój zespół poradził sobie tego dnia beze mnie, jak udało im się uzupełnić brak jednego członka załogi, ale normę ponoć wykonali.

Nazajutrz skierowano mnie do pracy w biurze prefabrykacji, do spisywania numerów i rodzajów wagonów, które przyjeżdżały po odbiór betonowych pustaków.

W celi, w której mieszkaliśmy w szesnastu chłopa, atmosfera była dobra i panowała wzajemna życzliwość. Niestety, do czasu... Po powrocie z pracy braliśmy się za swe ulubione zajęcia. Niektórzy miło sobie gwarzyli, wspominając dni wolności. Inni studiowali swoje ulubione przedmioty, jeszcze inni oddawali się czytaniu książek z biblioteki – bo mieliśmy dostęp do więziennej biblioteki, nawet niezłe zaopatrzonej, zwłaszcza w beletrystykę.

Od czasu do czasu ucinaliśmy sobie wspólną rozmowę, a raczej dyskusję na tematy polityczno-patriotyczne. W wyniku jednej z takich rozmów miałem możliwość przekonać się dobitnie, jakie przykre i bolesne bywają skutki donosicielstwa i jak dotkliwą krzywdę może wyrządzić kapuś współwięźniowi.

Pewnego wieczoru, po kolacji poprosiliśmy jednego z naszych kolegów, który był dobrze obeznany z tematyką historyczną, by opowiedział nam coś na temat cudu nad Wisłą, czyli o wojnie z bolszewikami w 1920 r. Kolega ów miał na imię Leszek i był członkiem jednej z większych i bardziej w owym czasie znanych organizacji niepodległościowych. Działała ona w Bydgoszczy, a założył ją jezuita o. Stanisław Szymański. Od pierwszych zdań widać było, że Leszek zna się na temacie doskonale. Słuchaliśmy go z zapartym tchem. Był osobą głęboko religijną i na zakończenie swej prelekcji pięknie poprowadził z nami modlitwę o niepodległość Polski. Wszyscy głęboko przeżyliśmy tamten wieczór.

Niestety, Leszkowi przyszło zapłacić wysoką cenę za swoją posługę patriotyczną. Dwa dni później, z samego rana w drzwiach naszej celi stanęło trzech klawiszów z paskami pod brodą. Był to znak nieomylny, że są na służbie i pełnią

niesamowicie ważną funkcję. Wywołali Leszka z celi. Już do nas nie wrócił. Dowiedzieliśmy się nieco później od zaprzyjaźnionego klawisza, że nasz kolega został odesłany do Strzelec Opolskich. Znajdował się tam tzw. karniak, czyli więzienie o mocno zaostrowym rygorze – postrach każdego więźnia jaworznickiego. Klawisz dodał jeszcze, że Leszka odesłano tam dlatego, że ktoś z naszej celi go zakapował, donosząc, że uprawia w celi politykę.

Po tym zdarzeniu atmosfera w celi stała się nieznośna. Wszyscy patrzyliśmy na siebie nieufnie, upatrując w sobie nawzajem owego kapusia, który zadenuncjował kolegę. Doświadczyłem wówczas na własnej skórze, jak paskudnie czuje się człowiek podejrzewany o tak nieczne czyny. Na szczęście jeden z naszych kolegów, który z racji pełnionej przez siebie funkcji (farmaceuta) ocierał się o najwyższe szczyty hierarchii więziennej, dowiedział się niebawem, kto był prawdziwym winowajcą. Kamień spadł nam z serca. Powróciła atmosfera wzajemnego zaufania.

Ukaranie winowajcy wzięli na siebie nasi kryminalni, a następnego dnia zabrano kapusia z naszej celi. Jeszcze jeden dowód na to, że oskarżenie było trafne. Skoro bowiem kapuś został zdekonspirowany, to już na nic się więcej w naszej celi nie przyda. Trzeba go więc stąd zabrać i wpakować gdzie indziej. Niechże i tam służy dalej Polsce Ludowej przez donoszenie na współwięźniów! Taki był sposób rozumowania tych od werbowania szpicli.

Dotykam tu bolesnego problemu kapusiów więziennych, którego jednak przy omawianiu postaw moralnych ówczesnych więźniów pominąć się nie da. Trzeba mocno podkreślić, że na tle powszechnie wtedy panującego idealizmu, koleżeństwa i solidarności zjawisko to było czymś marginalnym. Ale niestety istniało. I dawało się więźniom dotkliwie we znaki, tak jak w wypadku naszego kolegi Leszka. Czy można sobie wyobrazić coś bardziej niemoralnego i niehonorowego niż nakłanianie do donosicielstwa? A tymczasem w komunistycznych więzieniach werbowanie kapusiów, nakłanianie więźniów do donoszenia na współtowarzyszy niedoli za obietnicę pozyskania osobistych korzyści było czymś powszechnym, niejako wpisanym w komunistyczny system represji. Z proceduru tego uczyniono w komunistycznych więzieniach rozbudowaną i starannie zorganizowaną instytucję, którą obsługiwał cały sztab funkcjonariuszy, przeważnie oficerów służby więziennej.

Taki kapusiowy donos mógł brzmieć następująco: „Więzień X wypowiadał się w celi krytycznie na temat władzy ludowej i ustroju socjalistycznego. Ponadto wyrażał się pogardliwie o ZSRS”. Za tego rodzaju przestępstwo groziła surowa kara, nawet wyrok kilku lat więzienia. W wyniku tego rodzaju donosów niejeden nasz kolega stawał ponownie przed sądem lub – w najlepszym wypadku – zsyłany

bywał do karniaka. Nic więc dziwnego, że w powszechnym mniemaniu nie tylko więźniów, lecz i niektórych uczciwych klawiszy, kapuś to skończony łotr, zdrajca i zaprzaniec.

Oprócz kapusiów funkcjonowali wtedy w Jaworznie tzw. aktywiści. Niekoniecznie musieli donosić na kolegów, wysługiwali się jednak w inny sposób władzy ludowej. Ci na przykład, którzy obsługiwali radiowęzeł, wykrzykiwali różne państwowotwórcze haselka w rodzaju: „Brawo, koledzy z kopalni »Kościuszkowa«! Wykonując wyznaczoną normę, dobrze zasłużyliście się Polsce Ludowej. Natomiast górnicy z kopalni »Komuna Paryska« – wstyd! Nie wykonaliście dziś waszej normy, choć władza ludowa tak bardzo na was liczyła”.

Ta kategoria „budowniczych socjalizmu” też była przez współwięźniów pogardzana, choć nie w takim stopniu, jak rasowi kapusie. Uważano ich powszechnie za moralnych połamańców – i chyba słusznie. Trudno byłoby ich nazwać ludźmi honoru.

Zastanawialiśmy się nieraz, dlaczego właśnie w komunie tak bardzo popierane było donosicielstwo, nie tylko więzienne. Przecież w przedwojennych polskich więzieniach jakiegokolwiek instytucjonalne szpiclowanie było nie do pomyslenia – właśnie dlatego, że uważano je za coś wysoce niemoralnego, sprzecznego z poczuciem honoru i własnej godności.

Otóż reżim komunistyczny, jako system totalitarny, odznaczał się zawsze chorobliwą, graniczącą z obłędem podejrzliwością władzy wobec własnych obywateli. Z tego wzięta się owa dążność reżimowego aparatu ucisku do werbowania spośród członków społeczności jak największej liczby szpiclów, donosicieli i podobnego gatunku inwalidów moralnych o przetrąconym sumieniu. Zadaniem tej ponurej rzeszy tajnych współpracowników było donoszenie na współwięźniów lub współobywateli. Wzmacniało to kontrolę władzy nad podwładnymi i dawało jej większe poczucie bezpieczeństwa.

Wśród kapusiów zdarzali się nierzadko ludzie inteligentni, o silnej osobowości. Wielu z nich przed swym aresztowaniem uchodziło zapewne za prawdziwych bohaterów w walce o niepodległość. Jednakże w areszcie śledczym lub później w więzieniu, pod naporem różnych fizycznych i psychicznych katuszy, których doświadczał każdy więzień polityczny z większym wyrokiem, załamywali się. I nie pomogła im owa silna osobowość czy twardy charakter. Po prostu zabrakło im siły koniecznej do tego, by przetrwać trudne chwile z godnością i honorem. Tymczasem zaś większość ich towarzyszy walki, mimo że doznawali przecież tych samych cierpień, okazała się prawdziwie niezłomna. Ci skromni i niepozorni ludzie bez żadnych heroiczych gestów, bez wyzywającego wypinania

piersi potrafili przejść zwycięsko te same próby, podczas których przewrócili się przyszl kapusie.

Gdzie zatem szukać tej prawdziwej siły, która pozwala przetrwać z godnością najtrudniejsze sytuacje? Wydaje się, że to pytanie winien postawić sobie każdy uczciwy człowiek, który świadom jest własnych słabości i nie chce się sam sobą szpetnie rozczarować. Jedno wydaje się pewne, w naprawdę trudnych momentach życia twardy charakter na niewiele się przyda, jeżeli zabraknie tego, co współczesna psychologia nazywa silną motywacją. Ta zaś w swej najgłębszej istocie nie jest niczym innym, jak po prostu MIŁOŚCIĄ! Miłością do jakiejś wielkiej wartości, która cenniejsza jest nawet niż indywidualne ludzkie życie.

My, Polacy, mamy w swojej tradycji narodowej rzetelny wykaz takich wartości cenniejszych nad życie. Tymi wartościami są: BÓG – HONOR – OJCZYŻNA.

I tak sobie dziś myślę, że jeśli owa garstka kapusiów nie potrafiła pomyślnie zdać trudnego egzaminu z życia, to przede wszystkim dlatego, że ci ludzie nie umieli wznieść się ponad miłość do samych siebie. Stać ich było tylko na to, by adorować swoją „niezwykłą osobowość”, by zachwycać się swoim „niezlomnym charakterem”. Zabrakło po prostu miłości do tego, co naprawdę wielkie.

Człowiek, który opiera się tylko na sobie i kocha tylko siebie, to kiepski kandydat na bohatera.

Niedługo po zesłaniu Leszka zostałem wezwany przez „wuję” (*vel* „specę”) na rozmowę. Wątpliwa przyjemność. Czekala ona jednak każdego więźnia jaworznickiego. O wyznaczonej przez niego godzinie stawilem się w jego gabinecie i zameldowałem swoje przybycie: „Obywatelu poruczniku! Więzień karny Bronisław Sroka melduje się na rozkaz”.

Z początku „wuję” był nad wyraz uprzejmy. Kazał mi usiąść naprzeciw siebie przy biurku. Zadał kilka grzecznościowych pytań. Nauczony własnym bolesnym doświadczeniem z owego pamiętnego dla mnie śledztwa, kiedy to o mało nie wyspałem swego szkolnego kolegi, postanowiłem nie wdawać się ze „specem” w żadne grzecznościowe rozmowy. Tym bardziej że oto z przerażeniem uświadomiłem sobie, że budzi się we mnie taki mały człowieczek, który kuli się potulnie pełen uległości wobec władzy – jak mały, grzeczny piesek salonowy, który staje na dwóch łapkach i przymilnie merda ogonkiem na znak, że gotów jest wystugiwać się za byle ochłap.

Poczułem wstręt do samego siebie. A więc w ludzkiej psychice jest miejsce nawet na takich obleśnych karzełków moralnych? Boże, ratuj mnie! Chron przed złaładaczeniem! Przecież taka uprzejma uległość wobec złej władzy to pierwszy

stopień do kapitulacji. Przez ten stopień przejść chyba musiał każdy kapuś, zanim się zdecydował na współpracę.

„Wujo” w dalszym ciągu siłił się na dowcipkowanie, usiłował narzucić luźną rozmowę. Ja jednak siedziałem drętwo na krześle i nie dawałam sobie narzucić jego żartobliwej tonacji, a na zadawane mi pytania odpowiadałem zdawkowo. Widać było wyraźnie, że rozmowa z tak mało komunikatywnym osobnikiem jak ja nijak „wujowi” nie leży. Był spięty i zdenerwowany. W końcu zaczął tracić panowanie nad sobą i nawet kilka razy wyzwał mnie od smarkaczy. Ostatecznie jednak chyba zrozumiał, że nie taki cel miała mieć ta rozmowa. Aby nie przedłużać niezręcznej sytuacji, wyłożył wreszcie kawę na ławę: „Pamiętajcie, Sroka, że to, o czym tu teraz rozmawiamy, ma pozostać ścisłą tajemnicą. Nikomu ani słowa. Rozumiecie? Wy się chyba domyślcie, po co was tu wezwałem... Otóż zależy nam bardzo na tym, aby wiedzieć dokładnie, co się w więzieniu dzieje, jakie wśród więźniów panują nastroje, o czym się w celach rozmawia”. Tu „spec” zamilkł na chwilę, jakby chciał, niby dobry szachista, skupić się przed zrobieniem decydującego ruchu. Znow usiłował przybrać na twarzy wyraz bezgranicznej dobroci, szczerości i życzliwości. Wyszło mu to jakoś niezgrabnie i mało przekonująco. Wreszcie spytał: „Czy nie chcielibyście, Sroka, podjąć z nami współpracy w tej właśnie dziedzinie? Będziecie nam donosić, o czym więźniowie rozmawiają w celi. Nas oczywiście najbardziej interesują rozmowy na tematy polityczne. Na przykład, czy ktoś nie wypowiada się krytycznie na temat ustroju PRL albo czy nie szkaluje Związku Radzieckiego. W ten sposób możecie się stać naszym współpracownikiem i wykazać przez to swoją dobrą wolę. Tak najprościej możecie udowodnić, że zasługujecie na przedterminowe zwolnienie z więzienia”. To rzekłszy, zwrócił ku mnie swe pełne oczekiwania i nadziei oblicze. Mnie jednak oblicze to wydało się w tej chwili tak śmieszne i głupkowane, a cała ta rozmowa tak kiepsko wyreżyserowana, że miałem poważne obawy, czy aby uda mi się powstrzymać od gromkiego śmiechu, co było moją słabością od urodzenia. Ale byłaby draka.

A „spec” przez cały ten czas spoglądał na mnie z miną pełną wyczekiwania. Wreszcie zapytał wprost: „No, i co wy na to, Sroka? Będziecie z nami współpracować?”. Tego już było dla mnie za wiele. Nie wytrzymałem. Parsknąłem głośnym śmiechem. „No, to teraz już wiem, jak się werbuje kapusiów – zawołałem triumfalnie, krztusząc się ze śmiechu. – I pan, panie poruczniku, chce, abym i ja został kapusiem, abym donosił na moich kolegów, którzy mi żadnej krzywdy nie wyrządzili, którzy mi ufają? A ładnie to tak? Po to mnie pan tu przecież wezwał”. Mówiąc to, śmiałem się „specowi” prosto w oczy, ale byłem naprawdę oburzony.

Jakże to tak? Facet, który nosi tytuł wychowawcy w więzieniu „progresywnym”, skłania swoich wychowanków do tak haniebnego i niemoralnego procederu jak szpiclowanie, jak donoszenie na więziennych kolegów?!

Po tym moim wystąpieniu „wujo” poczuł się widocznie mocno zawstydzony; świadczył o tym wybuch wściekłości. Począł mnie obrzucać niewybrednymi obelgami. Na to wstałem i nie pytając o pozwolenie, spokojnie wyszedłem z gabinetu. Na odchodne powiedziałem mu jeszcze: „Panie poruczniku, bardzo proszę, niech mnie pan więcej nie wzywa na takie rozmowy”. Wychodząc, wprawdzie nie trzasnąłem drzwiami, ale zostawiłem je szeroko otwarte. Wnerwiło to „spec’a” okrutnie. Nie przeczę, zrobiłem to złośliwie. Roztrzęsiony „oficer werbunkowy” darł się jeszcze za mną, bym wrócił, ale bezskutecznie.

To moje zachowanie wobec „wuja” nie było żadnym aktem bohaterstwa czy nadzwyczajnej odwagi. Po prostu wiedziałem, że w Jaworznie pod żadnym pozorem nie wolno było kławiszom bić więźniów. Nic więc dziwnego, że wielu innych więźniów zachowywało się wobec „oficera werbunkowego” jeszcze bardziej arogancko.

Ponieważ jednak „wujo” był osobnikiem mściwym, postanowił zemścić się na mnie, stosując srogie kary, zgodne z tutejszym „kodeksem” karnym. Uzyskał zatem u naczelnika więzienia wstrzymanie mi wypiski na okres jednego miesiąca oraz widzenia z bliskimi na taki sam okres. Ponadto skazał mnie jeszcze na obcięcie włosów. Była to kara podówczas powszechnie stosowana, a dla niektórych więźniów dotkliwa. Kto lubi paradować po więzieniu z „łysą pałą”?! Miałem wtedy okazałą czuprynę, ale bez większego żalu poddałem się karze. Natomiast naprawdę dotkliwa mogła się okazać kara wstrzymania widzeń, w tym właśnie czasie przyjechała bowiem do mnie, do Jaworzna, mama. Przyjechała po to, aby się zobaczyć ze swoim synem, tymczasem powiedziano jej, że żadnego widzenia ze mną nie będzie, bo jej wyrodny syn jest zatwardziałym wrogiem Polski Ludowej i dlatego na żadne widzenia nie zasługuje. Poradzono jej zatem tonem nieznośnym sprzeciwu, by wróciła sobie spokojnie tam, skąd przyjechała. Mama załżała się łzami, wyjęła różaniec i zaczęła się modlić, aby dobry Bóg zmiękczył twarde serca owych mężczyzn, a ci domagali się, aby wreszcie opuściła teren więzienia. Nie bacząc na nic, tym usilniej się modliła i wreszcie przez swoją natarczywość została wysłuchana. Po godzinie, gdy już można było zwątpić w możliwość złamania strażników, do sali, gdzie przebywała mama, wszedł przypadkowo naczelnik więzienia, a ujrawszy tonącą we łzach kobietę, naprawdę się wzruszył. Miał prawo uchylić nieludzki wyrok i zezwolił wreszcie na widzenie. Zanim to wszakże uczynił, zaklinał się wobec wszystkich

zgrupowanych w sali, że porozmawia bardzo poważnie z tym gagatkiem, który swoją nieprzyjazną postawą wobec więziennego „wuja” sprawił tak srogi ból swojej rodzicielce. „Popamięta sobie tę rozmowę ów podsłakiwacz, oj, popamięta!” – wykrzykiwał wojowniczo. I rzeczywiście, następnego dnia rozmowa się odbyła. Ale nie była to zbyt pamiętna rozmowa. Ówczesny naczelnik więzienia, bodajże bezpośredni następcza sławnego zwyrodnialca Morela, był moim zdaniem jednym z najbardziej kulturalnych funkcjonariuszy straży więziennej, jakich wtedy spotkałem.

I w ten oto sposób, mimo ciężących na mnie klątw i anatem rzuconych przez więzienny wymiar sprawiedliwości, ujrzałem jednak w końcu mamę. Miała wprawdzie zaczerwienione i zapuchnięte od płaczu oczy, ale ujrawszy mnie, uśmiechnęła się. Oboje byliśmy ogromnie rozradowani. Gdy podsłuchujący nas klawisz, przy każdym widzeniu musiał taki asystować, wdał się w rozmowę z drugim klawiszem, który miał do niego jakiś interes, mama ściszym głosem powiedziała do mnie: „Jak powiem ojcu, że cię tu prześladowają jako wroga klasowego, to się z pewnością ucieszy, bo z tego wynika, że pomimo młodego wieku i drobnej budowy ciała trzymasz się jakoś”.

Kopalnia

Niedługo po moim widzeniu z mamą po Jaworznie rozeszła się wieść, że kierownictwo obozu poszukuje ludzi do pracy w kopalni. Można się zgłaszać na ochotnika. Więźniowie Jaworzna pracowali wówczas w czterech kopalniach węgla kamiennego: „Feliks”, „Sobieski”, „Kościeszko-Nowa” i „Komuna Paryska”. Mnie wiadomość ta powinna była raczej mało interesować. Do pracy w kopalni nadają się przecież ludzie o sporej tężyznie fizycznej. Uświadomiłem sobie jednak, że w moich żyłach od pokoleń płynie górnicza krew. Od 1860 r. moi pradziadkowie i dziadkowie ze strony ojca strony byli górnikami. Także mój ojciec przez kilka lat pracował w jednej z zaolziańskich kopalń. Wezbrało więc teraz we mnie pragnienie, żeby wstąpić w ślady moich górniczych przodków. I mam teraz ku temu okazję. Nie zwlekając, zgłosiłem się więc na ochotnika. Moja prośba o przyjęcie do pracy w kopalni została rozpatrzona pozytywnie. I w ten sposób stałem się górnikiem w kopalni węgla kamiennego „Kościeszko-Nowa”.

Była to kopalnia słynna z tego, że na większości jej oddziałów stale padało. W związku z tym dostawaliśmy gumowe buty z cholewami oraz ubiór podobny do rybackiego, teoretycznie nieprzemakalny. Praktycznie jednak po kilku godzinach pracy w takich warunkach bywaliśmy przemoczeni do suchej nitki. Jedynym ratunkiem przed wychłodzeniem (temperatura w kopalni wynosiła 12 stopni) był stały,

intensywny wysiłek fizyczny – na rozgrzewkę. Głębokość kopalni przekraczała 600 m. Dzień i noc musiała tam pracować pompa, by usuwać wodę, która ściekała z poszczególnych korytarzy i gromadziła się w zbiorniku pod szybem.

Pracowałem w tej kopalni od marca do grudnia 1954 r. Początkowo moja praca polegała na tym, że dostarczałem na przodek tzw. stemple. Stempel to drewniana belka, grubości ok. 20 cm, a przodek to przód chodnika, z którego pozyskuje się węgiel przy pomocy dynamitu. Po każdym odstrzale trzeba zabezpieczyć strop, by się nie zawalił. A zabezpiecza się go właśnie stemplami. Byłem odpowiedzialny właśnie za to, by owych stempli na przodku nie zabrakło. Praca mi przydzielona była wbrew pozorom ciężka, zdarzało się więc, że dostawa stempli na przodek niekiedy szwankowała. Mój brygadzista ulitował się nade mną i zdjął mnie z pracy na przodku. Zostałem posadzony na jednym z głównych korytarzy kopalnianych, na tzw. guziku, a więc na styku dwóch pasów transmisyjnych, którymi przesyłano węgiel do wagoników. Miałem czuwać, by zatrzymać górny pas w wypadku, gdyby stanął dolny. Aby go zatrzymać, naciskałem po prostu guzik... I w ten sam sposób uruchamiałem pas. Stąd się właśnie wzięła nazwa tego stanowiska – guzikowy.

Trudno o lżejszą pracę w kopalni. Skwapliwie wykorzystałem tę okoliczność na to, by się kształcić. Przecież byłem już wtedy uczniem Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Katowicach. Brałem więc ze sobą do kopalni książki, zeszyt i ołówek (długopisy były wtedy jeszcze trudno dostępne) i odrabiałem po kryjomu zadane przez profesorów lekcje.

Dobrze mi było na tym „guziku”. Przepracowałem tak pięć miesięcy i pracowałbym dalej, gdyby nie fatalny wypadek. Otóż, gdy pewnego razu wracałem po pracy pod szyb, ponad cztery kilometry drogi, prawie godzina marszu, nadepnąłem na deskę, z której wystawał wielki zardzewiały gwóźdź. Przebił nie tylko gumową cholewę, ale i stopę – na wylot! Z pomocą kolegów dokuśtykałem jakoś do windy. Tego dnia nie zgłosiłem się jednak do lekarza – ze zwykłego niedbalstwa.

Następnego ranka obudziłem się z brzydtko opuchniętą nogą i z silnym bólem w stopie. Mowy nie było, bym mógł pójść do pracy. Oddziałowy odstawił mnie do więziennego lekarza, który spojrzawszy na moją kończynę, rzekł, że w nodze siedzi gangrena. Zaaplikował mi zastrzyk surowicy i wypisał tydzień zwolnienia, a potem jeszcze trzy dni. W trakcie rekonwalescencji dowiedziałem się, że na moim „guziku” siedzi jakiś inny młodzieniec.

Gdy wyzdrowiałem, chciano mnie skierować do innej, niezbyt ciężkiej pracy; zaznaczono jednak przy tym, że tam, dokąd mnie teraz kierują, pracuje

się na trzy zmiany – także w niedzielę. A w niedzielę nie osiem, lecz dwanaście godzin. Zrozumiałem, że skoro tak się rzeczy mają, będę musiał sprzeciwić się władzy ludowej. Nie widziałem bowiem żadnego rozsądnego powodu, aby łamać zasadę odpoczywania w Dzień Pański. Tym bardziej że już od ponad pół roku zbierała się u mnie spora gromadka kolegów, którzy przychodzili, aby „na sucho” uczestniczyć we mszy świętej. Dla wielu z nich, jak sami podkreślali, było to ważne przeżycie. Gdybym się zgodził pracować w niedzielę, wracałbym z kopalni dopiero około dwudziestej, kiedy już zamykano cele.

Po drugie zaś, co było dla mnie bardzo ważne, właśnie w niedzielę zbierała się na konsultacje nasza „szkółka niedzielna”. Profesorowie z katowickiego liceum przyjeżdżali do nas na godzinę 9.00. Chciałem koniecznie uczestniczyć w tych spotkaniach. Trudno by mi było bez pomocy naszych profesorów realizować program dziewiętej klasy. Zależało mi więc bardzo, aby niedzielę mieć wolną.

Początkowo usiłowałem dogadać się z władzą pokojowo. Poprosiłem o „audyencję” u kławisza odpowiedzialnego za sprawy górnicze. Przedstawiłem swoje racje, grzecznie prosiłem. Niestety niewiele z tych pertraktacji wyniknęło. Stanowczym tonem nakazano mi stawić się następnego dnia w pracy – i koniec rozmów! Bardzo nie lubię, kiedy stawia się mnie w sytuacji bezwzględnego przymusu. Czułem, że długo tak być nie może. Jednak tym razem jeszcze ustąpiłem.

Przyznaję, że ciekaw byłem mojego nowego stanowiska pracy. Pierwszego dnia postanowiłem stanąć do roboty. Już pod ziemią dołączyłem do grupy kolegów, którzy pracowali na tym nowo wyznaczonym mi oddziale. Szliśmy krętymi kopalnianymi wertepami długo ponad godzinę. Mieliśmy zatem do przejścia około sześciu kilometrów. Im bliżej było do celu, tym rześśiej padało. Po prostu ulewa. Cywilni górnicy mówili, że kilkadziesiąt metrów ponad nami znajduje się podziemne jezioro – stąd ta woda.

Wreszcie doszliśmy na miejsce. Jeszcze nie rozpoczęliśmy pracy, a już byliśmy zmęczeni długą, trudną drogą i przemoknięci. Pokazano mi chodnik, na którym miałem pracować. Wcisnięto w dłoń solidną szuflę. Czekala już na nas cała seria pustych wagoników do załadowania. Okazało się, że mam do nich ładować nie węgiel, lecz piaskowiec, który jest kilkakrotnie cięższy od węgla. Po godzinie takiej harówki byłem wykończony, choć załadowałem zaledwie jeden wagonik. Pot łał się ze mnie strumieniami. Chciało mi się potwornie pić. Ledwo trzymałem się na nogach. Koledzy poradzili mi, abym się napił wody ze strumienia, który niby wezbrany potok górski płynął przy ścianie chodnika. Miał kolor porządnie zabielonej mlekiem kawy. Posłuchałem dobrej rady, klęknałem nad potokiem i długo żłopałem wodę z piaskiem. Czułem jak jęgo ziarnka przedzierają mi się

przez gardło. Jeden z górników pocieszał mnie serdecznie: „Nic się nie bój. Pij śmiało. Od piasku jeszcze nikt nie umarł...”. Pomogła mi ta „woda mineralna”. Poczuję się nieco lepiej. Sięgnąłem więc po szufłę, by się zabrać za „fedrowanie”. Wtedy podszedł do mnie brygadzysta i powiedział, bym postawił łopatę pod ścianą, bo do „fedrunku” się nie nadaje. Lepiej zrobię, jak się wezmę za transport wagoników do głównego korytarza. Zrobiło mi się lżej.

Postanowiłem, że będę chodził do roboty jeszcze tylko przez trzy najbliższe dni – do niedzieli. A w niedzielę, bez względu na wszystko, zastrajkuję. Będzie straszna draka, ale palicho!

Gdy nas prowadzono do pracy w kopalni, ustawiano nas najpierw przed bramą wyjściową. Każdy z nas, według ustalonej kolejności, wypowiadał swoje imię i nazwisko, „otczestwo” oraz datę urodzenia. Następnie przeprowadzano nas przez bramę i ładowano do samochodów, które zawoziły nas do kopalni. Gdy wracaliśmy z pracy, obowiązywała nas ta sama procedura.

Owej pamiętnej niedzieli przyłączyłem się wprawdzie do mojej zmiany, wypowiedziałem dane personalne, ale od razu głośno, wyraźnie zawołałem do klawisza odpowiedzialnego za nasz transport: „Obywatelu sierzancie! Trudno, ale ja dziś do pracy się nie wybieram”. Ledwie wyrzekłem te słowa, gdy przed szeregi mojej zmiany, mimo ścisłego zakazu prowadzenia jakichkolwiek rozmów, przetoczył się wesoły gwar. Więźniowie, zwłaszcza kryminalni, wprost uwielbiają przeróżne burdy i awantury, jakie nierzadko zdarzają się pomiędzy więźniami i klawiszami. Sierżant od transportu podbiegł wypytywać o powody mojej odmowy. Widząc jednak, że sobie ze mną nie pogada, bo byłem raczej powściągliwy w udzielaniu wyjaśnień, polecił po oficera od spraw górniczych. Oficer wnet przybył, podbiegł do mnie na bardzo niedużą odległość i przed frontem całego oddziału górników począł mnie lżyć i wyzywać od dewotów, świętoszków, bigotów i religiantów. Ja jednak, zamiast wpaść w przerażenie, odczułem w sobie poryw świętego gniewu i oburzenia. Nie dałem tego wszakże poznać po sobie. Gdy klawisz nie przestawał wydzierać się na mnie, postanowiłem dać mu porządnie po łapach. Gdy jeszcze raz przybliżył do mnie swe rozwrzeszczane oblicze, wyjąłem z kieszeni chusteczkę i z grymasem obrzydzenia zacząłem wycierać sobie twarz – niby, że na mnie pluje. Stojący w szeregu górnicy wnet pojęli, o co mi chodzi. Wybuchnęli gromkim, niepohamowanym śmiechem. Na to mój przeciwnik najwyraźniej opadł z sił i stracił ochotę do prowadzenia dalszego dialogu. Szarpnął mnie gniewnie za rękę i kazał iść za sobą. „Przed naczelnikiem więzienia będziecie się teraz tłumaczyć” – wrzasnął. Przed drzwiami naczelnika musieliśmy chwilę poczekać. Zobaczyłem jeszcze

przez okno, jak moi koledzy wsiadają na ciężarówkę i odjeżdżają w kierunku kopalni. Po chwili naczelnik wezwał nas do siebie. W międzyczasie klawisz odzyskał mowę i zaczął mnie brzydko przed naczelnikiem szkalować – jaki to ze mnie łajdak, grzesznik, szubrawiec i cudzołożnik. Lecz naczelnik najwyraźniej nie czuł zbyt wielkiej sympatii do klawisza, bo grzecznie, ale stanowczo kazał mu odejść. Gdy zostaliśmy sami, spytał mnie, dlaczego nie chciałem rozmawiać z funkcjonariuszem od spraw górnictwa. Jeszcze nie zdążyłem ochłonąć po awanturze z klawiszem. Ciągle byłem poirytowany. Odpowiedziałem krótko: „Jestem chłopcem nieśmiałym, dlatego głos mi się załamuje, gdy ktoś się na mnie wydziera. Wpadam w trwogę...”

Naczelnik popatrzył na mnie podejrzliwie. Spokojnie zapytał, czy kpię sobie z niego, czy tylko żartuję. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, postawił mi następne pytanie, tym razem rzeczowe i konkretne: dlaczego nie chcę pracować w kopalni.

Tu miałem już gotową, przemyślaną odpowiedź. Przedstawiłem swoje racje. Świadomie podkreślałem szczególnie to, że praca w kopalni jest ciężka, ponad moje siły. Nie chcę więc utrudniać kolegom wykonywania normy. Powiedziałem jednak również, że nie chciałbym pracować w niedzielę, do czego jestem zmuszany, ponieważ jest to sprzeczne z moimi poglądami religijnymi.

Naczelnik słuchał moich wywodów spokojnie. Wreszcie powiedział: „Nie chcecie pracować w kopalni, to nie będziecie. Nie mam zamiaru was zmuszać. Jest mnóstwo innej pracy, którą bez większego trudu możecie podjąć. Ale proszę tę sprawę załatwić porządnie. Jutro idźcie do lekarza. Niech wam da skierowanie do lepszej pracy”.

Nie spodziewałem się, że w taki sposób uda mi się uniknąć tych wszystkich klęsk, kar i gromów, które na moją głowę chciał sprowadzić klawisz od spraw górniczych. Ktoś widocznie modlił się za mnie pobożnie. Następnego dnia, zgodnie z życzeniem naczelnika, poszedłem do lekarza. Ten bez zbędnych przekomarzań dał mi skierowanie, o które prosiłem, zaniósłem je naczelnikowi, a ten przydzielił mnie do kartoflarni. Tu miałem doczekać wolności.

Kartoflarnia

W ten sposób zostałem kartoflarzem, czyli mistrzem w zakresie obierania ziemniaków. Takich jak ja było oprócz mnie szesnastu, tyłu bowiem członków liczyła sobie w owym czasie nasza kartoflarska ekipa.

Praca w kartoflarni uchodziła powszechnie za tzw. fuchę i była przedmiotem zazdrości ze strony tych ciężiej pracujących. Nie była bowiem obciążająca, a dawała dużą swobodę – wymagano wykonania bez specjalnego nadzoru niezbyt

wygórowanej normy. Dziś już nie pamiętam, ile to było kilogramów do obrania na łebka. W każdym razie zadanie naszej ekipy polegało na tym, by ustrugać tych ziemniaków na 3000 chłopa. Mieliśmy jednak maszyny do obierania, więc roboty nie było dużo. Przy tym, co istotne, kartoflarnia mieściła się w bezpośrednim sąsiedztwie kuchni, nie groził nam zatem głód...

Nic więc dziwnego, że praca w kartoflarni stanowiła przedmiot pożądania dla wszelkiego rodzaju umrzyków, a zwłaszcza cwaniaków, którzy nie chcieli się kalać żadną cięższą pracą. Niewątpliwie wiele mówiący pod tym względem był skład „etniczny” naszego kartoflarskiego zespołu. Otóż było wtedy wśród nas trzech Cyganów, tyłuż Żydów i jeden Niemiec – inwalida wojenny, a prócz tego dwóch zaawansowanych astmatyków. Tu też, po raz pierwszy w swej karierze więziennej, spotkałem więźnia młodszego ode mnie – o półtora miesiąca.

Osobiście bardzo ceniłem sobie tę względną swobodę. Nas, kartoflarzy, nie obowiązywała żadna rygorystyczna dyscyplina pracy. Do roboty przychodziłem, kiedy mi pasowało, żeby tylko norma była wykonana. A normę dało się wykonać w ciągu pięciu godzin. Potem już nikt mnie nie pytał, co robię z wolnym czasem.

Cele mojego kartoflarskiego oddziału, to znaczy te, w których nocowali kartoflarze, pootwierane były do późnego wieczora, czyli od 6.00 do 21.00. Wynikało to poniekąd z konieczności – w każdej chwili którakolwiek z naszych grup mogła zostać wezwana, nawet w nocy.

Był to czas, kiedy wyjątkowo silnie odczuwałem pragnienie dobrej, prawdziwej, głębokiej modlitwy. Tęskniłem za Pismem Świętym. Wprawdzie oddzielnym egzemplarzem Pisma Świętego nie dysponowałem; nie było go nawet w bibliotece komunistycznego więzienia, ale miałem przecież egzemplarz chicagowskiego *Mojego mszalika niedzielnego*. Czytałem więc sobie z niego niedzielne lekcje i Ewangelie, a to dawało mi dużo pocieszenia.

Czułem wyraźnie, że te pobożne przeżycia – modlitwa oraz rozważanie Słowa Bożego – wychodzą mi na zdrowie, prostują mnie, wzmacniają i wyzwalają z urazów nabytych w trakcie więziennej odsiadki. A były to urazy, których nabawiłem się nie tylko podczas okrutnego, ubeckiego śledztwa, ale chyba więcej jeszcze na skutek przebywania z Zygmuntem w jednej celi w trudnym dla niego okresie załamania psychicznego. Było to jeszcze na prefabrykacji. Z trudem znosiłem przeraźliwe krzyki pełne bezdennej rozpacz. Napady te nachodziły go przeważnie nocą, co powodowało, że do roboty przychodziłem potwornie zmęczony i niewyspany. Gdy kiedyś, w czasie takiego nocnego napadu szauł spytałyśmy oddziałowego, czy nie udałoby się umieścić biedaka w więziennym szpitalu, ten odpowiedział bezradnie: „W naszym szpitalu nie

ma oddziału psychiatrycznego. Kierownictwo więzienia dopiero usiłuje takowy uruchomić”.

Po którejś z takich koszmarnych, nieprzespanych nocy uświadomiłem sobie, że dłużej nie dam rady. Oto do zwykłych i tak już dostatecznie bolesnych utrapień więziennych dołączyła nadprogramowo jeszcze i ta tortura psychiczna. Nie wiadomo po co. Postanowiłem przenieść się do innej celi. Lecz gdy Zygmunt dowiedział się o moim zamiarze, prosił mnie wprost błagalnie: „Broniek, nie uciekaj ode mnie, proszę. Gdyby nie twoja życzliwa obecność, pewnie bym już nie żył. Mnie z takim trudem przychodzi modlitwa, więc chociaż ty się za mnie módl”.

Zawstydzilem się. Zrozumiałem, że byłoby bardzo niepięknie z mojej strony, gdybym teraz opuścił kolegę w potrzebie. Opamiętałem się. Postanowiłem, że nie zrejeruję. Wszystkie zaś bóle i cierpienia z tej decyzji wynikające ofiaruję w intencji uzdrowienia swego dowódcy. Przy okazji wypomniałem mu jednak, co mi leżało na sercu: „Zygmunt! Mam żal do ciebie. Od dłuższego czasu gromadzimy się z kolegami na wspólnej modlitwie przy mszaliku, a ciebie jeszcze ani razu z nami nie było. Gdybyś przychodził na te nasze niedzielne modlitwy, na pewno czułbyś się teraz zupełnie inaczej”. Na te gorzkie wypominki Zygmunt przyrzekł mi, że będzie próbował modlić się tak, jak potrafi i odtąd nie odpuści żadnego niedzielnego spotkania. Przyrzeczenia dotrzymał. A ja modliłem się za niego i starałem się go krzepić życzliwym słowem.

Stwierdziłem wszakże ze smutkiem, że przez to wszystko tracę zdrowie. Najwidoczniej nie służą mi te przeraźliwe nocne alarmy, mrozące krew w żyłach krzyki beznadziejności i rozpacz, te rozbrzmiewające w najgłębszej ciszy nocnej nieplanowane pobudki, po których nie da się już ponownie zasnąć. Gwałtownie nasiliły się u mnie zaburzenia snu, męczące nocne lęki i koszmary, trapiła mnie bezsenność. Miałem osiemnaście lat, a czułem się już jak ruina człowieka.

Po kilku tygodniach Zygmunt wyraźnie się uspokoił. Napady rozpaczki zdarzały mu się coraz rzadziej i były mniej drastyczne. Można z nim było rozsądnie porozmawiać. Wreszcie zabrano go do więziennego szpitala i otoczono opieką psychologiczną. Wspominałem już, że po wyjściu na wolność Zygmunt wyzdrowiał. Załapał się do pracy w stoczni, gdzie pracował przed aresztowaniem i szczęśliwie się ożenił.

Ja też po rozstaniu z Zygmuntem szybko odzyskiwałem równowagę ducha. Dziś nie mam wątpliwości, że to dzięki łasce tęsknoty za Bogiem, która rozbudza w człowieku pragnienie prawdziwej modlitwy i kontaktu ze Słowem Bożym,

prostowałem się i wracałem do normy. Głębokie i czyste przeżycie religijne zawiera bowiem w sobie moc uzdrowienia. Przekonałem się o tym osobiście!

Pod wpływem modlitwy, dzięki łasce Bożej, dzięki takim delikatnym i cichym dotknięciom Pana Boga, które ożywiają duszę i napełniają ją radością i pokojem, odkrywałem jakąś rzeczywistość nie z tego świata. Uświadomiłem sobie jasno i wyraźnie, że nie tylko jestem ciałem, materią. Że jest we mnie coś bardzo mojego, coś dla mnie istotnego, co jednak nie mieści się w granicach materii, w granicach doczesności. Zaczynałem pomału rozumieć, co znaczy nawiązywać kontakt z Bogiem.

Dobrze mi było z tym poczuciem bliskości Boga. Życie, mimo wszystkich więziennych tarapatów, wydawało mi się piękne i cenne.

Niekiedy zastanawiam się, dlaczego ludzie, także ja, tak rzadko doświadczają tego rodzaju ożywiających doznań, które budzą radość życia, umacniają wiarę i ufność, pozwalają doświadczać bliskości Boga. Odpowiedź znalazłem w Apokalipsie św. Jana: „Oto stoję u drzwi i kołaczę. Jeśli ktoś posłyszysz mój głos i drzwi mi otworzy – wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze mną!”. Ze słów tych wynika, że Bóg zawsze jest gotów nawiedzać człowieka, obdarzyć łaską, czyli dzielić się z nim swoim życiem, lecz człowiek nie zawsze jest gotów tę łaskę przyjąć. Tym zaś, co najskuteczniej otwiera nas na błogosławione działanie Boga, jest modlitwa. Pozwólmy więc Panu Bogu, aby w nas działał bez przeszkód. To uzdrawiające Boże działanie jest stokroć skuteczniejsze niż wszyscy psychologowie razem wzięci!

A tymczasem wolność, moja upragniona, wymarzona wolność, zbliżała się do mnie szybkimi krokami, choć wcale o tym nie wiedziałem. Wciąż byłem przekonany, że ciąży na mnie wyrok pięciu lat więzienia, a więc mam jeszcze do odsiadki ponad dwa lata. O moim nowym, przyspieszonym terminie wyjścia nie raczono mnie bowiem powiadomić. Takie podówczas panowały obyczaje. Dowiedziałem się o tym przypadkowo, popełniając przy okazji łajdactwo, którego do dziś nie mogę sobie wybaczyć. Był to z mojej strony akt braku koleżeństwa oraz dyskrecji.

Siedział wtedy z nami niejaki Zdzisio K. Był tak jak ja kartoflarzem. Postać wielce tajemnicza o rozkrzyczanym ego, mitoman i samochwała. Pochodził z Wielkopolski, miał około dwudziestu lat. Odsiadywał wyrok dwóch lat więzienia.

Nijkak nie mogliśmy się dowiedzieć, za co siedzi. Widać było wyraźnie, że facet coś ukrywa, kręci, zmyśla i kłamie, bo za żadne skarby nie chce się przyznać do prawdy. Początkowo usiłował przedstawiać siebie w roli groźnego wojownika

jakiejś jeszcze groźniejszej organizacji podziemnej. Jeden z kolegów, znający się na rzeczy, udowodnił nieszczęsnemu, że łże, albowiem w okolicach, które Zdzisio zamieszkiwał, żadnej groźnej organizacji podziemnej nie było. Ponadto miał zbyt niski wyrok jak na członka organizacji podziemnej.

Nasz współlokator musiał zmienić fabułę. Zaczął więc opowiadać, że został skazany za handel dewizami i że jest znanym i poważanym w gangsterskim świecie cinkciarzem o szerokich kontaktach, że przez jego ręce przelewały się tysiące dolarów, nie licząc innej waluty. Zdzisio wiedział, co robi. W owym czasie tego rodzaju fach uchodził, zwłaszcza wśród kryminalistów, za nie lada tytuł do chluby. Świadczył bowiem o wielkiej przedsiębiorczości. Trudno jednak nam było uwierzyć w tę wersję, bo mieliśmy przed sobą twarz naszego „biznesmena”, która bynajmniej nie potwierdzała szczególnej bystrości.

Tajemniczy Zdzisio osiągnął jedno – zaintrygował nas. Postanowiliśmy dociec jego tajemnicy. Jednak cały problem tkwił w tym, jak tego dokonać. Zaświatał mi plan działania: „Koledzy! Biorę to na siebie. Życzenie mi powodzenia!”.

Tego jeszcze wieczoru wybrałem się na dyżurkę, do naszego oddziałowego. Zastałem go pogrążonego w lekturze „Trybuny Ludu”. Wiedziałem, że mnie nie rozpozna po nazwisku. Nasz oddział liczył sobie około trzystu więźniów! Mogłem, więc swobodnie bujać. Zameldowałem się regulaminowo: „Obywatelu oddziałowy! Więzień karny Zdzisław K. z prośbą”. „No, czego chcesz?” Ledwie spojrzał na mnie znad gazety. Powiedziałem mu, że chciałbym zajrzeć do mojej więziennej kartoteki, by sprawdzić dane dotyczące wyroku. Regulamin więzienny dawał taką możliwość. „No, to sprawdzajcie. Aby szybko”. Oddziałowy znów zagłębił w lekturę komunistycznej gazety.

Szybko odszukałem kartę naszego Zdzisia. Interesował mnie w niej jedynie artykuł, z którego został skazany. Okazało się, że był to artykuł za gwałt na nieletniej. Nie zdziwiło mnie to zbyt. Chyba bardziej bym się zdziwił, gdyby ów artykuł opiewał, że Zdzisio rzeczywiście został skazany za handel obcą walutą.

Jeszcze raz spojrzałem na oddziałowego. Nie było go widać spoza „Trybuny Ludu”. Postanowiłem wykorzystać okazję. Szybko, najszybciej jak tylko umiałem, wszcząłem poszukiwania mojej karty więziennej. Prawdę mówiąc, niczego radosnego się nie spodziewałem. Mam pięć lat więzienia – i tyle. Ale co mi szkodzi sprawdzić? Jest. Patrę szybko, jaki mam wyrok. Patrę – i własnym oczom nie wierzę! Serce zadrgało mi z radości. Pięć lat przekreślone, a napisane: trzy lata. Termin wyjścia na wolność: 2 lutego 1956 r. O, Boże! Dzięki Ci! Za siedem miesięcy wyjdę na wolność. Za siedem miesięcy będę u mamy!

Wróciłem do kolegów z celi całej w skowronkach. Gdy im powiedziałem o przyczynie mojej radości, cieszyli się wraz ze mną. Lecz któryś konkretnie zapytał: „Dobrze, ale czy sprawdziłeś, za co Zdzisio siedzi? Bo przecież taka była twoja misja, aby się tego wywiedzieć”. Gdy wyjawilem rezultat mego śledztwa, po celi rozległ się wesoly gwar. Padały niewybredne uwagi, wulgarne kpiny, złośliwe żarciki. Samego zainteresowanego na szczęście nie było. Pełnił kartoflany dyżur na popołudniowej zmianie. Wrócił dopiero późnym wieczorem. Nie spaliśmy jeszcze. Wietrzyliśmy dobrą okazję, by się ponabijać. Więźniowie to lubią. To ich ulubiona rozrywka przy braku wszelkich innych. Ponadto kolega podpadł nam, bo kłamał, przybierał maski. To był nasz główny zarzut przeciw niemu. Przecież mógł nic nie mówić.

Kiedy wrócił, posypały się w jego kierunku kpiny i różne niewybredne żarciki, choć już nie tak kąśliwe jak przed godziną, gdy sprawa dopiero co wyszła na jaw.

Zdzisio był zaskoczony i widać było, że jest mu głupio. Na jaw wyszły jego łgarstwa i oto teraz stoi przed nami zawstydzony i upokorzony. Dowiedział się także, kto jest głównym sprawcą jego upokorzenia, kto zdemaskował jego kłamstwa i je ujawnił. Podszedł do mnie i zapytał z wyrzutem: „Kajtek! Co ja ci złego zrobiłem, że wyrządziłeś mi takie świństwo?”. W jego głosie brzmiał żal, ale nie było nienawiści. Jeden z mieszkańców celi, usłyszawszy tę wymówkę pod moim adresem, odpowiedział mu niejako w moim imieniu: „Po coś nas bujał? Teraz ci głupio i masz żal do całego świata”. Było w tych słowach dużo racji. Gdyby nasz kolega nie pozował najpierw na działacza podziemia, a potem na cinkciarza, do głowy by mi nie przyszło, aby go sprawdzać. Ale Zdzisio w jednym miał rację – rzeczywiście żadnej krzywdy mi nie wyrządził. Traktował mnie zawsze życzliwie, po koleżeńsku. Dlaczego dałem się więc wciągnąć w nagonkę przeciw niemu? Najwidoczniej padłem ofiarą tzw. psychologii tłumu. A to nie świadczyło najlepiej o mojej postawie chrześcijańskiej. Muszę zatem jeszcze sporo nad sobą popracować, aby nie ulegać bezmyślnie większości.

Z drugiej jednak strony, tylko dzięki temu brzydkiemu aktowi braku koleżeństwa udało mi się dowiedzieć, jaki jest mój obecny wyrok. A i ten nowy, poprawiony wyrok nie był ostateczny. Niedaleka przyszłość ujawniła bowiem, że los okazał się wobec mnie jeszcze łaskawszy.

Kilka tygodni później przeżyłem niezwykłą, całkowicie niepojętą dla mnie przygodę, która niepomrotnie umocniła mój autorytet w grupie kartoflarzy, zwłaszcza wśród Cyganów. Pewnego długiego, zimowego wieczoru, gdy pracowałem na drugiej zmianie, koledzy z grupy wykonali już swoją normę. Ja jeden wciąż wydłubywałem oczka z niedoczyszczonych przez maszynę ziemniaków. Robiło

się to nożem. Noże, którymi posługiwaliśmy się, nie były znormalizowane. Były więc różne zarówno pod względem długości, jak i ciężaru. Wśród nich był jeden przypominający finkę – duży i ciężki, z grubym, drewnianym trzonkiem.

Któryś z naszych Cyganów wpadł na pomysł, aby się zabawić w rzucanie nożem w drewniane drzwi. Przyjął więc groźną postawę nożownika, rzucił i... chybił. Nóż spadł z hukiem na podłogę, a Cygan stał zawstydzony, tłumacząc się, że mu coś tam nie dopasowało... Po nim próbowali inni, wszyscy po kolei, żadnemu się nie udało. Wreszcie któryś zwrócił się do mnie: „Może ty byś, Kajtek, spróbował?”. Dałem się sprowokować. Wprawdzie nigdy jeszcze nożem nie rzucałem, widziałem tylko na filmach, jak to się robi, ale naszła mnie tak niezłomna pewność, że mi się uda, że nie zahałem się ani przez chwilę. Któryś z Cyganów, widząc, że ustawiam się na stanowisku bojowym, zakpił sobie głośno: „A teraz Kajtek zademonstruje nam, jak rzutu nożem wykonywać nie należy...”. Był widać pewny, że spudłuję. Ja jednak wziąłem spokojnie nóż. Położyłem go sobie na dłoni, przycisnąłem kciukiem... i z całej siły zdecydowanym ruchem rzuciłem w drzwi. Zdziwiłem się niepomieranie – nóż utkwił głęboko w drzwiach. Aż zajęczało! Zapanowała głęboka cisza. Koledzy spojrzeli na mnie z niedowierzaniem, a dolne szczęki opadły im nisko na piersi. Cyganowi ze zdumienia wypadła z ręki kromka chleba. „Kajtek! To był naprawdę klasyczny rzut, godny kowboja. Gdzieś ty się nauczył tak celnie rzucać nożem? Prawdziwy z ciebie nożownik. Przyznaj się, ktoś ty właściwie za jeden?” A ja z miną pełną powagi, jak na nożownika przystało, wróciłem spokojnie na swoje kartoflarskie stanowisko, do mego kociołka z niedoczyszczonymi ziemniakami i zabrałem się dziarsko do kończenia mojej roboty. Koledzy nalegali na mnie usilnie, bym jeszcze raz powtórzył numer, ale ja nie dałem się już namówić. Nie ma głupich. Czułem, że drugi raz mi się nie uda. Spudłuję. Po co mam się kompromitować.

Później, gdy moi współtowarzysze od strugania ziemniaków wrócili do swoich cel, wziąłem nóż i próbowałem nim rzucać jeszcze kilkanaście razy. Ani razu mi się już nie udało. Był to całkowicie ślepy traf – jeden na kilka tysięcy. Do dziś nie mogę tego zrozumieć.

Po tej niezwyklej przygodzie z nożem udało mi się jeszcze bardziej zaprzyjaźnić z Cyganami, a raczej to oni pozwolili mi się z sobą zaprzyjaźnić. Widzieli przecież we mnie doświadczonego, groźnego nożownika. Szanowali takich osobników jako ludzi znających się na swoim fachu, który w żadnym wypadku nie był im obcy.

Zresztą, prawdę mówiąc, zjednałem sobie życzliwość moich cygańskich współtowarzyszy niedoli także przez to, że nie kryłem się ze swoją religijnością.

Oni też uważali się za gorliwych katolików, dlatego dopuścili mnie, choć zapewne tylko w niewielkim stopniu, do swych klanowych tajemnic. Wówczas to miałem okazję poznać dogłębnie, do jakiego stopnia ich stosunek do chrześcijańskich nakazów moralnych, a zwłaszcza do siódmego przykazania, uzależniony był od względów praktycznych oraz od potrzeb życiowych. Wprawdzie już o tym co nieco wiedziałem, lecz moja wiedza w tym względzie była dotąd bardziej niż pobieżna.

Udało mi się ją poszerzyć, choć sposób, w jaki to uczyniłem, może stanowić istotną przeszkodę na drodze do mojej kanonizacji... Pewnego mroźnego lutowego wieczoru, już po wystruganiu normy, podszedł do mnie najstarszy z naszych Cyganów i powiedział przyciszonym głosem: „Kajtek, jesteś drobny i szczupły, a przy tym dość silny i właśnie jako taki bardzo byś się nam przydał. Chodzi o to, że nieroztropni klawisze, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na które narażają mienie więzienne, umieścili u końca tego baraku, w którym znajduje się nasza kartoflarnia, magazyn rzeźni. Wiszą tam teraz cztery połówki świń. Każda z nich może ważyć przynajmniej 120 kilogramów. W oknie tego pomieszczenia są wprawdzie kraty, ale dla nas nie jest to żadna przeszkoda. Znamy sposoby, jak te kraty rozchylić. Czy byłbyś gotów wślizgnąć się przez rozchyloną kratę i podać nam jedną z tych świńskich połówek, które tam wiszą? Na pewno sobie poradzisz z dociągnięciem jej do okna. Akcję zaplanowaliśmy na dziś w nocy. Pójdziesz z nami?”.

Po niezbyt długim namyśle wyraziłem zgodę. Zrobiłem to nieomal z entuzjazmem. Nęciła mnie przygoda... Na razie nie brałem pod uwagę moralnych aspektów tego przedsięwzięcia. Na to będzie czas później. Teraz myślałem tylko o tym, że będzie to przygoda życia, którą warto będzie kiedyś utrwalić przy spisywaniu moich przygód więziennych. Na razie nie chciałem myśleć o tym, że w razie gdyby nas pochwycono na rabunku mienia państwowego, dołożono by każdemu z nas taki wyrok, że nie dalibyśmy rady powstrzymać się od śmiechu.

By rozchylić kraty „świńskiego” magazynu, potrzebne były rącznik i noga od stołu. Cyganie przewiązali rącznikiem mocno, solidnie, mniej więcej w połowie wysokości, dwa sąsiadujące ze sobą pręty krat. Pomiędzy tak napięty rącznik wcisnęli nogę od stołu i zaczęli nią obracać. Rącznik napiął się do granic wytrzymałości. Zaczął trzeszczeć. Ale i pręty zatrzęszczały i pomału, pomalutku zaczęły się wyginać tak, że powstał dość szeroki otwór. Jednak jeszcze nie na tyle szeroki, by można się było przezeń przecisnąć. Cyganie zawiązali, więc rącznik na dwu następnych prętach i powtórzyli obracanie nogą od stołu. Pręty wygięły się na tyle, że przez powstały otwór można już było się przecisnąć. Jeden z Cyganów zapytał

mnie: „No co, Kajtek, przeleziesz?” „Ja przeleżę, odpowiedziałem, ale problem w tym, czy świnia przelezie...” Przelazła! Udało nam się ją jakoś przecisnąć przez wygięcie w kracie. Cała akcja trwała nie więcej niż 20 minut. Teraz musieliśmy już tylko przetransportować cenną zdobycz do naszej kartoflarskiej piwnicy, poćwiartować, włożyć do wielkiego gara i zakopać w przyzmię ziemniaków.

Cyganie roztropnie postanowili, że przez kilka najbliższych dni niczego przy świnii robić nie będą. Trzeba przeczekać poszukiwania, które służba więzienna na pewno podejmie. Świnii nic złego się nie stanie – w piwnicy jest około zera stopni, jak w porządnej lodówce.

Jako były górnik, który ma znajomości wśród swych kopalnianych kolegów, zostałem obarczony zadaniem, by wykombinować kilka kilogramów karbidu. Będzie potrzebny do wysmażania wieprzowiny, wytapiania smalcu itp. Przecież nie można tego robić nad ogniskiem, bo to wzbudzałoby sensację i podejrzenia. Natomiast nad gorącym płomieniem karbidowym można smażyć dyskretnie i bez dymu. Górnicy mają nieograniczony dostęp do karbidu, to jest ich paliwo do lampek kopalnianych i nie muszą się rozliczać z pobranych ilości. Powierzone mi zadanie wykonałem bez trudu i przy obopólnej korzyści. Każdy z moich dawnych kolegów kopalnianych, który ofiarował mi karbid, dostał obfite „świńskie” wynagrodzenie.

Rzeczywiście, następnego dnia po udanej akcji w kartoflarni pojawiła się kilkuosobowa grupa klawiszzy; coś w rodzaju komisji śledczej. Mieli paski zapięte pod brodą na znak, że mają służbową misję do wykonania. Na ich czele stał porucznik. Wyglądało to groźnie. Przyznaję, byłem ciężko przestraszony. Prawdę mówi porzekadło, że na złodzieju czapka gore. Już się zastanawiałem, co będzie, jeżeli się nasza „świńska” sprawa rypnie. Dwa lata więzienia? Może więcej. A ja dokładnie za rok mam wyjść na wolność. W co ja się wpakowałem? A przy tym jaki byłby wstyd! Więzień polityczny skazany za chwalebłą walkę o niepodległość Ojczyzny pakuje się w jakąś kryminalną aferę, w zwykłe, pospolite złodziejstwo. Boże, przebac mi, bo ciężko zgrzeszyłem!

Lecz oto wtedy właśnie, w czarnych chwilach opresji, objawił się w całej swej krasie ów przesławny cygański talent do bajerowania. Jeszcze poprzedniego dnia najstarszy z Cyganów, ten, który mnie zwerbował do „świńskiej” akcji, rzekł do nas, abyśmy na wypadek ewentualnego dochodzenia cały dialog z „prześwietną komisją dochodzeniową” zdali na niego. Mamy się nie bać. On sobie poradzi. My tylko mamy siedzieć cicho, przytakiwać i obierać ziemniaki, jak przystało na grzecznych, dobrze wychowanych chłopców, którzy nie interesują się żadnymi podejrzanymi wybrykami. Podstawową taktyką stosowaną przez Cygana było

przybieranie postawy wzbudzającej jak najgłębsze zaufanie i wywołującej współczucie oraz awansowanie członków ekipy dochodzeniowej przynajmniej o dwa stopnie w hierarchii, jak również nadawanie im jak najbardziej pochlebnych tytułów. Kiedy więc weszła do kartoflarni kilkusobowa grupa klawiszy, aby „wszcząć dochodzenie”, stojący na jej czele porucznik zwrócił się do Cyganów i zapytał z wyraźną ironią w głosie, jakby zadawał czysto retoryczne pytanie: „Nie wiecie przypadkiem, gdzie się podziała połówka świni, która jeszcze wczoraj wieczorem wisiała na haku w magazynie?”. Cygan beztrzesko, prawie wesoło, odrzekł porucznikowi: „Ależ, panie majorze, chyba pan żartuje! Przecież w oknie magazynu są grube kraty, więc któż mógłby tam wleźć przez okno? Chyba żeby ktoś wszedł drzwiami, a w takim razie niech pan naczelnik pyta nie nas, więźniów, ale tych, którzy mają klucze do magazynu”. Porucznik, którego przed chwilą Cygan awansował do stopnia majora, wyraźnie poirytowany, warknął na Cygana: „Co wy, Cygan, wygadujecie? Kraty w oknie są rozchylone na tyle, że bez trudu przecisnąć się przez nie każdy osobnik o skromniejszej budowie klatki piersiowej. A swoją drogą... Kogo to mieliście na myśli? Oczywiście funkcjonariuszy straży więziennej, bo to przecież oni mają klucze. Czy nie tak? A wy, wiadomo, jesteście zawsze niewinni, jak święta Hermenegilda. Kto by was nie znał, ten by uwierzył. A tymczasem, kto się zna lepiej na takich sztuczkach z wyginaniem krat, jak nie wy, Cyganie?”. Cygan jakby tylko na to czekał. Gdy usłyszał to ostatnie zdanie, na jego twarzy odmalował się wyraz głębokiego oburzenia, goryczy i jeszcze kilku innych uczuć najbardziej odpowiednich na tę okoliczność. „Obywatelu naczelniku – rzekł z głęboką boleścią w głosie. – Po tym, co pan teraz powiedział, wiem na pewno, że na wiadomość o dokonaniu kradzieży pierwsze swe kroki skierował pan razem ze swoją »komisją dochodzeniową« właśnie tu, do kartoflarni, choć nie ma pan żadnych dowodów ani poszlak. No bo tu pracuje kilku Cyganów. A któż, jak nie oni, mógłby się dopuścić kradzieży świniaka? Żebyście panowie naczelnicy wiedzieli, jak przykro jest znosić nam, uczciwym Cyganom, tego rodzaju bezpodstawne i fałszywe oskarżenia”.

„Uczciwy Cygan” długo jeszcze perorował. Głosił swą mowę obrończą niby wytrawny adwokat. Spoglądał przy tym co chwila w oczy komendantowi, jakby chciał się upewnić, czy słowa jego wywierają na nim dostatecznie mocne wrażenie. A wrażenie musiało być zaiste porażające, skoro panowie naczelnicy wyraźnie stracili ochotę do dalszego prowadzenia śledztwa. Tym bardziej że tak naprawdę nie mieli się do czego przyczepić. Zresztą Cygan mówił chwilami tak przekonująco, że ja sam zaczynałem wątpić w to, czy naprawdę bylibyśmy zdolni dopuścić się tak ohydneho postępków jak kradzież wieprza... „Czy te oczy mogą kłamać?”

Mniej więcej po godzinie dochodzenia ekipa śledcza udała się szukać winnych gdzie indziej. Kamień spadł nam z serca. Po trzech dniach sprawa ucichła na tyle, że Cyganie postanowili wziąć się do roboty. Do „świńskiej” roboty...

Poszliśmy więc do piwnicy, odkopaliśmy widłami z przyzmy ziemniaków potężny garniec pełen świńskich przysmaków. Tam też, na kawałku wolnej podłogi Cyganie rozpalili duży ogień na karbidzie. Pożyczyliśmy też z kuchni kilka kociołków do smażenia mięsiwa. Nikt się nie pytał, na co nam one. W kuchni też pracowali Cyganie, a oni nie mają zwyczaju zadawania zbędnych pytań.

Smażenie mięsiwa i wytapianie smalcu odbywało się przeważnie późnym wieczorem. Tak było bezpieczniej. O tej porze wszelki ruch wokół naszego baraku prawie ustawał. Dużym zagrożeniem dla nas była nęcąca woń, która rozchodziła się po całej okolicy z wysmażanego mięsa. Musieliśmy się z tym liczyć. Prócz tego mógł nas zdradzić charakterystyczny zapach acetyleny, który w czasie smażenia ulatniał się z karbidu. Gdy więc jakiś wścibski pytał: „Co to za miła woń rozchodzi się po kartofłami?”. Odpowiadaliśmy mu grzecznie: „To nie u nas tak pięknie pachnie. Widocznie w kuchni smażą jakąś smakowitą pieczeń dla klawiszy. Idźcie tam i zapytajcie!”. Kuchnia zaś była w bezpośrednim sąsiedztwie kartoflarni. Łączyło nas nawet wspólne okienko, przez które podawaliśmy do kuchni obrane ziemniaki. Co do acetyleny też mieliśmy przygotowaną piękną bajeczkę. Kilka metrów od nas, po przeciwnej stronie wąskiej uliczki stała słusarnia, a w niej spawano acetylenem.

Od czasu naszego udanego skoku na „świński” magazyn wyraźnie podniosła się nam więzienna stopa życiowa. Zapomniałem, co to głód. Luksus ten trwał dla mnie do końca kwietnia, to znaczy aż do dnia mego niespodziewanego wyjścia na wolność. Cyganie nie są ludźmi drobiazgowymi. Orzekli, że każdy z nas, wtajemniczonych w nasz „świński” sekret, może kiedy chce zejść do piwnicy, odkopać z ziemniaków kociołek z pieczenią i ukroić sobie, ile potrzebuje. Przy tym o swoich bliskich kumplach z innych oddziałów też nie powinien zapominać, przecież mamy tego mięsiwa prawie 150 kilogramów! Jak zacznie brakować – mówili – to się rozejrzemy za jakąś nową połówką wieprzka.

Nie powiem, bardzo mi się podobała taka umowa. Nawet dość często zaglądałem do kociołka... Cyganie na swój sposób lubili mnie i darzyli zaufaniem. Podobała im się – jak mówili – moja pobożność, ponoć autentyczna, a nie świętoszkowata. Świętoszki ich zdaniem są na ogół ponurzy i sztuczni, a pobożność swoją praktykują na pokaz. Muszę przyznać, że ten cygański komplement szczególnie mi pochlebiał.

Chciałem być pobożny i nie wstydzilem się swej pobożności, bo uważałem, że zdrowa pobożność jest naturalną postawą człowieka myślącego, ale nigdy nie chciałem być świętoszką. Świętoszkowość zawsze kojarzyła mi się z hipokryzją, udawaniem, niezdrową przesadą, zakompleksieniem. Później przekonałem się, że wielu młodych ludzi ma ten sam problem co ja. Jak pogodzić pobożność z normalną, zdrową postawą życiową? Zniechęcały ich przykłady takiej właśnie taniej świętoszkowości na pokaz. Ten trudny dla młodego człowieka problem chętnie wykorzystywali różni propagandziści i agitatorzy ateistyczni, żeby przez wyszydzenie fałszywych postaw religijnych odciągnąć młodzież od wiary.

Wkrótce także i ja miałem stanąć w obliczu tego problemu.

Pewnej niedzieli wybrałem się jak zwykle na spotkanie przy mszaliku do moich dawnych kolegów z kopalni. Przychodziło też na nie sporo „prefabrykantów”, z którymi byłem szczególnie zżyty. Po modlitwie z mszalikiem przystąpiliśmy do naszej agapy. Każdy kładł na stół to, czym chciał się podzielić z bliźnimi. Skorzystałem z okazji, by wziąć dla swoich pokrzepionych na duchu przyjaciół także trochę pokarmu dla ciała. Odkroiłem więc z kociołka sporą porcję pieczeni; smakowitej, pachnącej, smażonej na cebulce. Zapewniam, Cyganie znają się świetnie na sztuce kulinarnej, zwłaszcza na pieczeniu mięsiwa. Włożyłem swój dar w torbę i w dobrym nastroju, zadowolony z siebie powędrowałem na oddział górniczy. Modliliśmy się pobożnie. Gdy nadszedł czas agapy, wydobyłem z torby naczynie z „darami dla wspólnoty chrześcijańskiej” i przybrawszy uroczystą minę, położyłem pieczeń na stole. Było tego nie mniej niż 2 kilo. Na ten widok twarze kolegów pojaśniały. Mimo że w Jaworznie panowały pod względem wyżywienia znacznie lepsze warunki niż w więzieniach karnych, był to bowiem młodzieżowy obóz pracy, to jednak ludzie bywali na ogół głodni, w każdym razie mieli dobry apetyt. Po odmówieniu modlitwy przed jedzeniem przemówiłem uroczystym tonem: „Teraz, przyjaciele, weźmy się za spożywanie darów Bożych w nabożnym skupieniu”. Oprócz wieprzowej pieczeni były jeszcze na stole także i inne produkty żywnościowe. Uczestnicy biesiady byli jednak szczególnie zainteresowani właśnie wieprzowiną. Było jej sporo. Dla każdego starczyłoby jej po okazałym kawałku. Zagryzaliśmy naszym jaworznickim chlebem, który był niezły. Nagle jeden z uczestników naszej uczyt powziął widocznie jakieś podejrzenie, bo tuż po modlitwie przed jedzeniem zapytał mnie chłodno, skąd wziętem taki wielki kawał mięsa. Nie podejrzewając niczego złego, odpowiedziałem mu wesoło: „Opatrzność Boża czuwa nad swym wiernym sługą”. Jednak podejrzliwy więzień nie ruszył mięsa. Ostentacyjnie odsunął od siebie talerz, na który ktoś położył mu już kawałek pieczeni. „Ja nie mam zwyczaju spożywania produktów podejrzanego

pochodzenia – zadeklarował. – Stać mnie na to, choćbym był nie wiadomo jak głodny. Jestem więźniem politycznym, a nie kryminalistą”. Jego słowa oburzyły uczestników spotkania. Nie były bynajmniej wyrazem chrześcijańskiej pokory i miłości bliźniego. Uczestniczący w naszym modlitewnym spotkaniu pospolici przestępcy poczuli się dotknięci tym dzieleniem na politycznych i kryminalnych, na lepszych i gorszych. Wśród uczestników naszych spotkań, w których zawsze brała udział spora grupa pospolitych, panowało niepisane, wpływające z ducha chrześcijańskiego prawo, że nie może być między nami żadnych podziałów, żadnej dyskryminacji.

Nikt z uczestników naszej agapy nie poszedł w ślady podejrzliwego. Wszyscy zjadali z apetytem ów produkt podejrzanego pochodzenia. Później dowiedziałem się, że wieść o zniknięciu z haka magazynu połówki świni dotarła także na prefabrykację. Być może na tej podstawie pojawiły się podejrzenia.

Po skończonej uroczystości, już po ciemku, wracałem sam na swój kartoflarski oddział. Wykorzystałem ten czas na refleksję. Była mi potrzebna. Przyznaję, byłem mocno zaskoczony wysokiem podejrzliwego więźnia i trochę upokorzony, ale nie odczuwałem żadnych poważniejszych dolegliwości sumienia. Na moim ówczesnym poziomie wiedzy z zakresu teologii moralnej, jako uczeń dziewiątej klasy, a jednocześnie jako młodociany więzień, zadawałem sobie pytanie, jak wielka ciężka na mnie wina za aktywny współudział w kradzieży świniaka.

Pomyślałem sobie, że na pewno zrobiłbym lepiej, gdybym zajął w tym wypadku bardziej radykalną postawę. Uważasz się, człeku za chrześcijanina, to bądź nim naprawdę i przestrzegaj wiernie Prawa Bożego! Nie usprawiedliwiaj się żadnymi ciężkimi warunkami życia.

Postanowiłem więc na przyszłość nie wplątywać się w żadne śliskie moralnie afery. Jednocześnie jednak czułem lęk, do dziś go czuję, przed tym, by ten mój radykalizm moralny, jeśli się nań zdobędę, nie przerodził się w praktykowanie cnoty na pokaz. A przecież stanowi to dla wielu ludzi pokusę nie do przecięcia. Do dziś jednym z głównych przedmiotów mojej modlitwy jest prośba do Boga o prostotę, o pokorę, o czystą intencję.

Wolność!

Nadszedł kwiecień 1955 r. Już od półtora miesiąca żyłem w euforii, że mam do odsiadki jeszcze tylko rok, a nie trzy lata. Dlatego nie liczyłem na żadne niespodzianki. Realistycznie nastawiłem się na to, by przetrwać ten okres niewoli w jako tako dobrym zdrowiu i z honorem.

Nadal chodziłem gorliwie do naszej „szkółki niedzielnej” i uczyłem się pilnie. W czerwcu miałem przecież zdać egzamin z dziewiątej klasy. Lecz mimo że niby znałem dokładnie dzień mego uwolnienia, to jednak zawsze z uwagą i skupieniem słuchałem tzw. wolnościówki, w czasie której przez radiowęzeł ok. 20.00 wyczytywano nazwiska tych, którzy następnego dnia mieli opuścić mury więzienia. Wszyscy, nawet ci z wyrokami 15 lat, nasłuchiwali, czy przypadkiem nie padnie ich nazwisko. Przez te dwie minuty nikt się nawet nie poruszył. A nuż... Ponoć zdarzały się wypadki, że w czasie „wolnościówki” całkiem niespodziewanie wyczytywano kogoś, kto miał do odsiadki jeszcze dziesięć lat i nie spodziewał się żadnej łaski ze strony władzy ludowej, a ten następnego dnia rzeczywiście wychodził na wolność. Były to jednak wypadki bardzo rzadkie, wyjątkowe... Mimo to „wolnościówka” była chyba najuważniej słuchanym programem emitowanym przez nasz jaworznicki radiowęzeł.

Przed „wolnościówką” transmitowany był zwykle jakiś ogólnopolski program, np. wiadomości czy jakaś muzyka. Gdy dochodziła godzina 20.00, radiowęzeł przełączał się na program lokalny. Jako zapowiedź puszczano od lat tę samą melodię – wesoły, skoczny taniec hiszpański. Wtedy na krótką chwilę ludzie zamierali w bezruchu. Cele przemieniały się w gabinety figur woskowych. Spiker ogłaszał: „Halo, uwaga! W dniu jutrzejszym wychodzą na wolność następujący koledzy...”. Tu następowała lista nazwisk i imion szczęśliwców, którzy będą jutro wyrzuceni z więzienia. Przeciętnie około dziesięciu nazwisk. Tak bywało codziennie. I znów wesoła melodyjka hiszpańska. Ze zwykłego rachunku prawdopodobieństwa wynikało, że na owych 3000 chłopów, którzy w tamtym czasie zaludniali Jaworzno, przynajmniej kilku wyjdzie następnego dnia na wolność.

* * *

Był 19 kwietnia 1955 r. Niby zwykły dzień jak co dzień. Ale dla mnie był to jeden z najszczęśliwszych dni w życiu. Zbliżała się godz. 20.00. Siedziałem po kolacji przy stole i odrabiałem lekcje. Przez nasz „kołchoźnik” leciała jakaś wesoła uwertura Rossiniego z programu ogólnopolskiego. Wtem słyhać, że ten, który obsługuje radiowęzeł, przelacza program na lokalny – dla nas, jaworzniaków. Nadają państwowotwórczy komunikat o sukcesach górników z kopalni „Sobieski”: „Brawo, koledzy górnicy! Przekroczyliście dziś normę...”. Jeszcze uroczysty apel do „prefabrykantów”, aby nie szczydzili wysiłku w pracy dla dobra socjalistycznej ojczyzny, a potem jak zwykle o tej porze: tara-ra-ra, tara-ra-ra, czyli „wolnościówka”. Rozlega się głos spikera: „W dniu jutrzejszym wychodzą na wolność koledzy...”. I lista nazwisk, jeden i drugi x, y, i nagle zaostrza się moja czujność, bo wyczytują Felka – kolegę z mojej sprawy. Nie mam czasu na refleksję, bo oto pada następne nazwisko Zygmunt H. – przecież to nazwisko mego dowódcy! Przez ułamek sekundy przeżywam chwilę trwogi. Może zapomnieli o mnie? Pada kilka nieznanych mi nazwisk, ale ja czekam, bo przecież wiem, że moje nazwisko figuruje zwykle gdzieś na końcu każdego spisu alfabetycznego.

I wreszcie czuję, jakbym śnił jakiś bajeczny sen. Nie wiedziałem, że serce może bić człowiekowi aż tak szybko... Tak! Jednak nie zapomnieli o mnie! Czy to jawa, czy sen...? Pada moje nazwisko. Boże, dzięki Ci! Chyba następną taką radość będę przeżywał dopiero po śmierci, gdy się dowiem, że jestem umieszczony na liście zbawionych. A więc jutro wychodzę na wolność!

Stoję jeszcze przez chwilę odrętwiały, własnym uszom nie dowierzając. Koledzy patrzą na mnie szczerze uradowani. Pytam ich na wpół z niedowierzaniem: „Czy to na pewno moje nazwisko wyczytano przed chwilą?”. Któryś z druhów klepnął mnie potężnie w plecy. „Ta, ty ino popatrz, Kajtek, jak ci się udało – zagadał, zaciągając po lwowsku. – No, to fajno jest! Miałeś jeszcze prawie rok do odsiadki? Jak to się stało?” Drugi kumpel odpowiedział niejako w moim imieniu: „To tylko w socjalistycznym więzieniu może panować taki bałagan. Nawet nie uprzedzą człowieka uczciwie, że mają zamiar wyrzucić go przedterminowo z więzienia”.

Ale ja w tej chwili nie miałem o to żalu do nikogo. Moja pierś wezbrała radością do tego stopnia, że musiałem dać upust swoim uczuciom. Ryknąłem więc na cały głos w jakiejś nigdy jeszcze dotąd niesłyszanej tonacji: „A ja mam wszystko w nosie! Jutro wychodzę na wolność, Alleluja, alleluja!”.

* * *

W nocy, pomimo najszczerzych wysiłków z mojej strony, nie udało mi się zmrużyć oka, choć zwykle sypiałem dobrze. Wstałem więc i zacząłem się pakować.

Na długo przed pobudką stałem już pod drzwiami spakowany i czekałem, kiedy wypuszczą mnie na wolność. Zależało mi na czasie. Myślałem sobie: Im prędzej stąd wyjdę, tym prędzej będę w domu. A tam chyba nawet nie wiedzą, że wychodzę...

Gdy tylko klawisze rozpoczęli obchód na apel poranny i otworzyli drzwi naszej celi, natychmiast wyskoczyłem na korytarz z tobołkiem rzeczy do zdania na plecach. Przestraszony klawisz spojrział na mnie nieufnie. Jego oczy wyglądające spod czapki badały mnie podejrzliwie. „Co wam się stało, Sroka? Czy wyście przypadkiem nie zwariowali? Dokąd się wybieracie o tej porze z tym tobołem?” „Obywatelu oddziałowy! Ja dzisiaj wychodzę na wolność!” – wyrecytowałem z przeziębionym uśmiechem na twarzy. Oddziałowy rzekł: „Oj, nie śpieszcie się tak. Jeszcze długo się naczekacie. Na wolność wyjdziecie nie prędzej, jak po siedemnastej. Wróćcie teraz do celi! Przyjdzie czas, to was zawołają”. Chcąc się usprawiedliwić, wybelkotałem: „Proszę wybaczyć, dopiero pierwszy raz wychodzę na wolność, więc skąd mam wiedzieć, jak się to wszystko odbywa?”.

Po śniadaniu koledzy wyszli do pracy, życząc mi szczęśliwego pobytu na wolności. Zostałem sam w celi. Radiowęzeł nadawał jakąś propagandówkę dla więźniów pracujących na drugiej zmianie, którzy teraz mieli wolne. O 9.00 nadszedł czas na stałą audycję, w której żegnano wychodzących na wolność kolegów. Można było zamówić dla nich jakiś utwór znajdujący się w zasobach jaworznickiego radiowęzła. Można też było przesłać kilka słów pożegnania, pozdrowienia. Ucieszyłem się, bo jak się okazało, koledzy nie zapomnieli o mnie. Moi dawni towarzysze z prefabrykacji i z kopalni „Kościuszko” zamówili dla mnie poloneza Michała Ogińskiego *Pożegnanie Ojczyzny* oraz dedykowali kilka życzliwych słów pożegnania. Byłem szczerze wzruszony tą ich życzliwością. Dobrzy, serdeczni koledzy! Prawdziwi towarzysze na trudne czasy.

Ledwie przebrzmiał dedykowany mi pożegnalny polonez, gdy przebudził mnie z drzemki nagły zgrzyt zamka. Pomyślałem sobie: Bogu dzięki, chyba ostatni raz to słyszę. Klawisz, który stanął w drzwiach, kazał mi zabrać wszystkie moje manele i pójść za nim. Było około 10.00. Czekala mnie jeszcze długa droga przez wszystkie formalności, których należy dopełnić, zanim się człowiek znajdzie na wolności. Wreszcie około 17.00 zamknęły się za mną ciężkie bramy więziennicze. Byłem wolny!

Teraz chodziło tylko o to, aby jak najprędzej znaleźć się u mamy.

Do Gdańska wracaliśmy nocnym pociągiem z Katowic. Było to połączenie na pewno meczące, ale najkorzystniejsze czasowo. A śpieszyło się nam bardzo.

Jechało nas trzech. Trzech żytych druhów z Podziemnej Kolonii, którzy wracali po odsiedzeniu blisko dwóch i pół roku w więzieniu. Nie miałem jeszcze nawet 19 lat, a mimo to obarczony już byłem ciężkim życiowym doświadczeniem. Mimo wszystkich emocji, które w tej chwili przeżywałem, myślałem jednak z troską także o tym, że jestem szczerbaty, więc jak najprędzej będę się musiał wystarać o jakieś uczciwe sztuczne szczęki „made in Poland”. W przeciwnym razie dziewczęta będą się ode mnie odwracać.

Gdy dojeżdżaliśmy do Oruni, było już widno. Ukazały się liczne wieże Starego Miasta z monumentalną, charakterystyczną wieżą kościoła Mariackiego. Byłem wzruszony. Miałem chyba łzy w oczach. Uświadomiłem sobie, że kocham to miasto – mój wytekniony Gdańsk! Tyle razy śnił mi się po nocach, a po przebudzeniu smutne rozczarowanie, że to był tylko sen... Boże, jakiś Ty dobry, że pozwalasz mi wracać do mojego ukochanego miasta. Dzięki Ci za to!

* * *

Wsiadłszy z pociągu na stacji Gdańsk Główny, kawałek drogi szliśmy razem. Potem się rozstaliśmy. Każdy z nas poszedł w kierunku swojego domu. Pożegnaliśmy się i umówiliśmy się na następny dzień u Zygmunta. Gdy zostałem sam, ruszyłem biegiem.

Chciałem jak najprędzej znaleźć się w domu, choć wiedziałem, że mamy teraz nie zastanę. Pamiętałem jej zwyczaje. Wiedziałem, że co dzień rano wychodzi do kościoła na mszę świętą. Potem robi zakupy i wraca gdzieś na jedenastą. Teraz zaś było kilka minut po ósmej. Ja jednak chciałem się nacieszyć chałupą i chwilę przespać, ponieważ byłem okrutnie zmęczony po dwóch nieprzespanych nocach.

Postanowiłem wejść do domu. Wiedziałem, że drzwi będą zamknięte, ale pamiętałem, że można wejść oknem. Trzeba tylko stuknąć kilka razy w ramę, a hak się odblokowuje i okno się otwiera.

Skierowałem się więc ku oknu i oto nagle nadziałem się na niespodziewaną przeszkodę. Przeszkodę nie do pokonania. Oto mój ulubiony pies, którego pamiętałem jako szczeniaka, z którym każdego dnia biegałem po moim lasku, teraz uwiązany na łańcuchu szczerzy na mnie zęby, warczy groźnie i złowrogo ujada. Był to duży pies, wielkości wilczura, więc nie było żartów. Na nic się zdały moje wołania: „Burek! Burek!”. Musiałem obejść chałupę w kółko i podejść do okna od drugiej strony. Pomyślałem sobie smutno: „Patrzcie, do czego to doszło. Mój pies mnie nie poznał...”.

Udało mi się otworzyć okno, wlałem przez nie do domu i z ogromnym zainteresowaniem spojrzałem no łóżko. Położyłem się i już miałem zasnąć, gdy nagle pies, który wciąż ujadł, całkowicie zmienił tonację. Teraz zaczął radośnie skomleć i piszczeć, jakby zobaczył kogoś bardzo przyjaznego. Ale kogóż mógł zobaczyć?

Zaintrygowany, z wielkim trudem zwlokłem się z łóżka i podszedłem do okna. Pies, gdy mnie zobaczył, zaczął skomleć jeszcze żywiej; szalał, rwał się na łańcuchu, ale już nie po to, aby mnie skrzywdzić. Nie miałem wątpliwości, że mnie rozpoznał i przypomniał sobie. Po ponad dwóch latach! Więc psy też mogą sobie przypominać.

Wyskoczyłem przez okno i podszedłem do psa szalejącego z radości. W tym momencie zobaczyła mnie pani Szymańska – sąsiadka z naprzeciwka. Rozradowana, zaprosiła mnie na herbatę. Nie wypadało mi powiedzieć, że nie przyjdę, bo mi się chce spać. Skorzystałem więc z zaproszenia. Tym bardziej że dawno, bardzo dawno nie piłem herbaty. W więzieniu podawano wyłącznie kawę zbożową.

Przy herbacie sąsiadka opowiadała mi o mojej mamie, że się o nią martwi, bo mojego aresztowania nikt jej nie widział z uśmiechem na twarzy. Zbiedniała, postarzała się ze zmartwienia. Spytałem, czy rodzice spodziewali się mego powrotu. Odrzekła, że raczej nie, bo jeszcze wczoraj matka mówiła jej, że niedługo wybiera się do mnie do Jaworzna, ponieważ właśnie mija miesiąc od ostatniego widzenia. Wyznałem, że nawet nie przeczuwałem, że przedterminowo wyjdę na wolność. Zdaniem pani Szymańskiej mogła to być zasługa mojego ojca. Pisał ponoć w ostatnim czasie jakiś apel do władz o moje i nie tylko moje zwolnienie.

Tak sobie gwarząc, spojrzeliśmy prawie jednocześnie w okno. Szła sobie właśnie drogą jakaś przygięta, przygnębiona staruszka. Przecież to nie może być moja matka, bo ona jest jeszcze młoda, ma niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Pani Szymańska wstała i wyszła ku drodze. Poszedłem za nią. Przyjrzałem się staruszce z bliska. Tak! To jednak moja mama. Ona też mnie z trudem rozpoznała, tym bardziej że zupełnie nie spodziewała się mojego powrotu. Padliśmy sobie w objęcia.

Nie było w naszym powitaniu żadnych przesadnych gestów ani zbędnych emocji. Mama po prostu trwała tak przytulona do mnie długo, długo. Widocznie tego jej było potrzeba. Wreszcie powiedziała: „Jaki pan Bóg dobry, że mi ciebie przywrócił. Boże, dzięki ci za to!”

Sąsiadka wspominała po wielu latach to nasze powitanie jako coś naprawdę wyjątkowego, coś, co godne było uwiecznienia dla potomnych.

Od tamtego czasu często myślę o tym, jaka dziwna jest miłość macierzyńska. Oto ja przez wszystkie lata odsiadki w gruncie rzeczy gwizdałem na te wszystkie

moje cierpienia. Traktowałem je jako trudną, lecz ciekawą przygodę, przy tym cierpienia te osładzała mi świadomość, że oto jestem bohaterem narodowym – niby powstaniec styczniowy, niby syberyjski katorżnik. Matka zaś przez wszystkie te lata po prostu cierpiała. Bez żadnych romantycznych pociech...

Po dwóch tygodniach od mego powrotu z więzienia trudno było rozpoznać moją mamę. Chodziła teraz wyprostowana, uśmiechnięta. Odmłodziła – jakby nie ta sama osoba.

Gdy teraz, jako kapłan, odprowadzam lub prowadzę drogę krzyżową, szczególną uwagę poświęcam czwartej stacji, czyli spotkaniu Jezusa z Matką. Ta stacja jest mi szczególnie bliska. Albowiem ubogacony życiowym doświadczeniem, rozumieniem, że Bolesna Matka Boża po stokroć zasłużyła sobie na tytuł Współodkupicielki; właśnie przez swój matczyńny ból, przez swoje współcierpienie z Męką Syna.

Mówi się dziś, i bardzo słusznie, że do zmartwychwstania Polski przyczyniają się w dużym stopniu cierpienia i ofiary tych tysięcy młodych ludzi, dziewcząt i chłopców, którzy dla sprawy nie szczędzili swego młodego życia. Którzy drzwiami i oknami wpychali się do peerelewskich więzień. Lecz w takim razie pomyślny także o tym, jak ogromną wartość mają w tym względzie męczarnie tych tysięcy polskich matek, które świadome były, że ich synowie gniją gdzieś po więzieniach bądź obozach pracy lub są torturowani i zabijani w ubeckich kazamatach.

Mama, podziękowawszy sąsiadce za przechowanie syna, wzięła mnie jak małego chłopczyka za rękę i zaprowadziła do domu. Tu spytała mnie troskliwie, co bym zjadł. Odrzekłem: „Mamo! Zapewniam cię, że mam świetny apetyt, o czym niebawem sama będziesz mogła się przekonać, ale przede wszystkim muszę się przespać, bo ledwie trzymam się na nogach...”

Spałem twardym snem, gdy około godziny 16.00 ojciec wrócił z pracy. Gdy mnie tak niespodziewanie ujrzał, ponoć popłakał się z radości. Gdybym nie spał, to zapewne i ja bym się popłakał. Ale spałem. I spałem aż do 18.00. Gdy się obudziłem, matka czekała już z kolacją. Wszyscy troje zasiadliśmy do stołu. W czasie posiłku panowała bardzo miła, radosna atmosfera. Byłem bardzo wdzięczny Panu Bogu, że mam takich kochających rodziców:

...Za ojca, matkę w życia wiosnie,
Kraąg serc, co dobrze życzy mi,
za miłość, co w mym sercu rośnie
Boże, dzięki Ci!

A miłość rzeczywiście rosla w moim sercu w zastraszającym tempie, niestety, ku utraceniu moich rodziców, a zwłaszcza mamy. Po wyjściu z więzienia czułem

się trochę jak pies dopiero co spuszczone z łańcucha. Ale nie była to tylko moja wina – nasze dziewczęta z Kolonii tak bardzo wypiękniały!

Mama jednak przez cały ten trudny dla mnie czas modliła się za mnie, abym zmądrzał. Wiedziałem, że gdy wrócę z „ksiutów” choćby o trzeciej nad ranem, to i tak zastanę ją klęczącą przy swoim łóżku, modlącą się za mnie. Zapewniam, nie była mi miła świadomość, że matka na pewno nie pójdzie prędzej spać, dopóki nie wrócę z nocnego łajdaczenia się.

Wreszcie dopięła swego. Wyprosiła mi u Boga łaskę nawrócenia – nagłego, gwałtownego. Ale i jeszcze coś więcej. Po łasce nawrócenia otrzymałem bowiem od Boga łaskę powołania, za którą jestem szczerze wdzięczny. Ale to już zupełnie inna historia, która daleko wykracza poza ramy mojej więziennej autobiografii. Na tym, więc mógłbym właściwie zakończyć moje więzienne *curriculum vitae*. Doprowadziłem je przecież do momentu, w którym kończę swą więzienną „karierę” jako skromny, jeszcze wciąż osiemnastoletni kartoflarz, niczym niewyróżniający się w swoim zawodzie.

Oto wracam do rodzicielskiego domu i na tym koniec. To znaczy mógłby być koniec.

Zakończenie

Jednak chciałbym jeszcze, choćby krótko, spojrzeć na tamten okres mego życia, który uważam mimo wszystko za szczęśliwy z perspektywy lat. Dobrze jest czasem ubogacić swoją refleksję nad życiem w ten właśnie sposób – przez pogłębienie perspektywy. Przy takim pogłębionym spojrzeniu czuję się dumny przede wszystkim z tego, że w tamtym trudnym dla Polski okresie, tak jak tysiące moich rówieśników, nie unikałem spełnienia mojego wobec niej obowiązku – obowiązku cierpienia.

Cieszę się, że Ojczyzna w osobie Prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Kaczyńskiego uznała zasadność tej mojej dumy i że w roku 2007 zostałem uhoonorowany orderem Polonia Restituta, zresztą nie tylko za to, że spędziłem kilka lat w więzieniu.

Ponadto czuję wciąż, tak jak wtedy, mocną, braterską więź z wszystkimi moimi rówieśnikami, którzy wtedy wraz ze mną cierpieli w ubeckich kazamatach. Zwłaszcza zaś z tymi, którzy dochowali wierności swoim przekonaniom.

Ciężko było, to prawda. Zapewne każdy z nas, którzy przeszliśmy wtedy przez komunistyczny system represji, odniósł jakieś trwałe, do dziś bolące rany, które odczuwać będzie do końca życia. Jednak gdy myślę dziś o tej bezsensownej, zbrodniczej wojnie, którą komuna wypowiedziała religii katolickiej oraz polskiej tradycji narodowej, niczego nie żałuję! Powtarzam sobie, że było warto.

Nie mogliśmy patrzeć z założonymi rękami na te wszystkie łajdactwa, których dopuszczał się na naszej ziemi czerwony okupant. Religia katolicka była wtedy dla nas najwyższą wartością, która nadaje najpiękniejszy sens ludzkiemu życiu. Na tej wartości zbudowana została najwspanialsza, najbardziej ludzka ze wszystkich ludzkich cywilizacji.

Niedawno, już w latach mej starości, udało mi się nawiązać serdeczny kontakt z grupą byłych młodocianych więźniów politycznych. Dziś są to już bardzo czigodne babcie i bardzo czcigodni dziadkowie, tak jak i ja jestem dziś mocno już posuniętym w latach staruszkciem. Wśród tych moich drogich nowych znajomych jest także pani Bernadeta z Bydgoszczy; w latach stalinowskich członkini dobrze podówczas znanej w całej Polsce podziemnej organizacji antykomunistycznej pod nazwą Związek Białej Tarczy. Później więźniarka słynnego więzienia kobiecego

w Bojanowie. Niedawno, podczas jednej z uroczystości rocznicowych, wygłosiła do zgromadzonych pod więzieniem harcerzy i harcerek krótkie i mądre przemówienie. Sens tego przemówienia jest mniej więcej taki: „Pytają mnie, dlaczego to robiłam. Dlaczego narażałam wtedy swoją młodość, swoje młode, dziewczęce życie? Odpowiadam, że nie mogłam inaczej. Po prostu BYŁAM! I niczego nie żałuję”. Piękne słowa. Podpisuję się pod nimi oburącz. Ja też mówię to samo. Nie mogłem inaczej! Po prostu BYŁEM! I za żadne skarby tego świata nie dałbym sobie odebrać tamtych lat cierpienia i poniewierki. Uważam je dziś za bardzo cenny kapitał. Ufam, że gdy stanę kiedyś przed Bożym Trybunałem, będę mógł spokojnie spojrzeć w twarz tak bardzo mi zawsze bliskich Żołnierzy Niezłomnych. I nie będę musiał się wstydić przed nimi. Mam bowiem świadomość, że tak jak oni nie uchylałem się od obowiązku walki i cierpienia za Polskę. Na miarę moich skromnych sił i możliwości.

Dowiedziałem się niedawno, że podobno nas, czyli tych młodych podówczas Polaków, którzy „drzwiami i oknami” wpychali się do peerelowskich więzień, uznano za ostatnie pokolenie Żołnierzy Wyklętych. Cieszę się z tego bardzo. Przynajmniej wiem, że jestem w dobrym towarzystwie. Chciałbym jaszczce wyznać ze skruchą, że przez długi czas krzywdziłem przez nieświadome niedocenywanie i lekceważenie pewną bardzo liczną i dzielną grupę Żołnierzy Niezłomnych. Mam tu na myśli nasze ówczesne dziewczęta – ciche bohaterki, które na równi z nami „drzwiami i oknami” wpychały się do więzień i na równi z nami zaludniały stalinowskie zakłady karne.

Kochane Panie!

Wstyd mi teraz, że tak mało dotąd o Was wiedziałem. Wybaczcie, jeśli potraficie! Dopiero niedawno uświadomiono mi, jak licznym i jak dzielnym byłyście wojskiem.

Patrząc na to, co się dziś w Polsce dzieje, odczuwam tak jak wtedy, w latach mej młodości, bezsilny gniew. Bo też tak, jak w latach mej młodości, toczy się dziś ciągle ta sama zła, bezsensowna walka przeciw religii katolickiej.

Tak jak wtedy, tak i dziś okrada się Polaków z ich prawa do historii. Nawet dzieci nie chce się zostawić w spokoju, lecz zastawia się na nie różne groźne pułapki moralne, byleby tylko pozbawić je tego najpiękniejszego, bo niewinnego okresu życia.

I gdy tak na stare lata muszę patrzeć na te wszystkie szatańskie absurdy, które się dziś w Polsce dzieją, ogarnia mnie tęsknota za moimi dawnymi towarzyszami z cel „Sing-Sing”, Sosnowca i Jaworzna. Chciałbym im jeszcze raz powiedzieć, że mimo wszystkich więziennych utrapień dobrze się czułem wśród nich – wśród

tych dzielnych, zawsze radosnych ludzi, którzy na zabój kochali Polskę. I bez żadnych narzekań pogodnie za tę Polskę cierpieli. Byli bowiem przekonani, że Polska jest tego warta.

Chciałoby się znów skrzyknąć... Oj, chciałoby się!
Boże Ojców naszych! Boże Kościuszków, Trauguttów, Łupaszaków – Zbaw Polskę!

Kalisz, 15 lipca 2014 r.
Ks. Bronisław Sroka – jezuita

„Polska jest matką szczególną. Niełatwe są jej dzieje, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich stuleci. Jest matką, która wiele przecierpiała i wciąż na nowo cierpi. Dlatego też ma prawo do miłości szczególnej” (Przemówienie na Okęciu, 1983 r.).

„Wołam, ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł II, papież. Wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!” (Warszawa 1979 r.).

„Może dlatego mówię tak, jak mówię, ponieważ to jest moja matka, ta ziemia! To jest moja matka, ta Ojczyzna! To są moi bracia i siostry! I zrozumcie, wy wszyscy, którzy lekkomyślnie podchodzicie do tych spraw, zrozumcie, że te sprawy nie mogą mnie nie obchodzić, nie mogą mnie nie boleć! Was też powinny boleć! Łatwo jest zniszczyć, trudniej odbudować. Zbyt długo niszczone! Trzeba intensywnie odbudowywać! Nie można dalej lekkomyślnie niszczyć!” (Kielce, 3 czerwca 1991 r.).

„Biskup Kozal, męczennik z Dachau, powiedział: »Od przegranej orężnej... bardziej przeraża upadek ducha u ludzi. Wątpiący staje się mimo woli sojusznikiem wroga«” (Westerplatte, 12 czerwca 1987)

(Fragmenty wypowiedzi świętego Jana Pawła II)

Postowie

Głównym celem, który mi przyświecał przy pisaniu niniejszych wspomnień, nie było bynajmniej dostarczenie dziejopisom jeszcze jednego dokumentu historycznego dotyczącego czasów stalinowskich lub przedstawienie warunków, w jakich żyli młodociani więźniowie polityczni w Jaworznie. Cały czas świadom byłem, że dokumenty historyczne sporządza się zupełnie inaczej aniżeli wspomnienia. W dodatku odtwarzałem je dziesiątki lat po opisywanych wydarzeniach, z małymi wyjątkami; nie podałem nawet nazwisk osób, które tu wspominam. Zamierzenie to było celowe.

Oczywiście cieszyłbym się gdyby to, co napisałem, przydało się na cokolwiek także historykom zajmującym się najnowszymi dziejami Polski. Głównym jednak celem niniejszego szkicu jest złożenie świadectwa. Mego osobistego świadectwa o tym, że dobry Bóg zawsze gotów jest pomagać i dodawać sił tym, którzy mu zaufali, choćby żyli w nie wiadomo jak trudnych warunkach.

Kończąc moje wspomnienia, chcę przede wszystkim wyrazić wdzięczność za to, że:

Bóg jest moją mocą i pieśnią,
On stał się moim Wybawcą.
Albowiem w ucisku wołałem do Niego,
A on mnie wysłuchał i na wolność wyprowadził!
(*Psalm 118*)

Wszakże wdzięczność mą pragnę wyrazić nie tylko Panu Bogu, lecz także ludziom. Tym bliskim mi ludziom, dzięki którym mój elaborat mógł w ogóle ujrzeć światło dzienne. Nie miałem bowiem najmniejszego zamiaru trudzić się spisywaniem swoich młodzieńczych przygód po ponad 60 latach od tamtych wydarzeń – będąc w dodatku już bez mała 80-letnim staruszkiem.

Dziękuję przeto moim współbraciom z ojcem prowincjałem na czele, ojcu superiorowi Sanktuarium Serca Jezusa Miłosiernego w Kaliszu, ojcu superiorowi Jerzemu Kacprzykowi ze wspólnoty zakonnej w Bydgoszczy, ojcu Jackowi Pleskaczyńskiemu ze wspólnoty z Warszawy i innym bliskim, którzy mnie z podziwu godną cierpliwością przekonywali, że warto utrwalić wspomnienia

z lat mojej awanturniczej przeszłości, choćby po to, by wykazać, że dobry Bóg roztacza swoją opiekę nawet nad takimi jak ja, gagatkami, którzy znaleźli się w ciężkich opałach życiowych.

Do grona owych dopingujących mnie dobrych duchów należeli także moi świeccy przyjaciele. Spośród nich szczególnie długi wdzięczności zaciągnąłem wobec Piotra Zaparta z Piotrkowa Trybunalskiego. Jest to człowiek o anielskiej zaiste cierpliwości. Nie tylko zachęcał mnie i dodawał otuchy, lecz nade wszystko udzielał konkretnej, technicznej pomocy, bez której niczego mądrego bym prawdopodobnie z siebie nie wydusił. Dlatego jest on jakby współautorem niniejszej książki. Niech mu to będzie zapisane w niebiańskich księgach wieczystych.

Wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do powstania moich wspomnień z serca dziękuję i wyrażam moje serdeczne Bóg zapłać.

O autorze

Bronisław Sroka SJ urodził się 1 maja 1936 r. w Bratysławie (obecnie Słowacja). Od 1959 r. w nowicjacie oo. jezuitów w Kaliszu, w latach 1961–1964 student Wydziału Filozoficznego oo. jezuitów w Krakowie, następnie Wydziału Teologicznego Towarzystwa Jezusowego Bobolanum w Warszawie, w 1968 r. otrzymał święcenia kapłańskie, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Wydział Teologii (1974). W 1953 r. jako uczeń IV LO w Gdańsku aresztowany przez UB za działalność w tajnej antykomunistycznej organizacji młodzieżowej Podziemna Kolonia, 25 maja 1953 r. skazany wyrokiem Wojtkowego Sądu Rejonowego w Gdańsku na 5 lat więzienia, osadzony w areszcie śledczym w Gdańsku, następnie w zakładach karnych w Sztumie i Sosnowcu-Radosze, następnie skierowany do pracy przymusowej w KWK „Kościszko-Nowa” w Jaworznie, w maju 1955 r. zwolniony. W latach 1955–1959 pracownik techniczno-administracyjny na Politechnice Gdańskiej. We wrześniu 1959 r. zdał maturę w III LO w Gdańsku. Od stycznia 1970 członek tajnej organizacji Ruch, w lipcu 1970 r. aresztowany, w styczniu 1971 r. zwolniony, 31 maja 1971 r. sprawę umorzono. W latach 1974–1977 duszpasterz akademicki i katecheta w Gdańsku-Wrzeszczu. W październiku 1975 r. przejął (po przeniesionym do Lublina o. Ludwiku Wiśniewskim) opiekę nad grupą gdańskiej młodzieży skupionej wokół Aleksandra Halla, Grzegorza Grzelaka i Arkadiusza Rybickiego, przyczynił się do powstania i rozwoju grupy samokształceniowej ideowo zbliżonej do Narodowej Demokracji, podczas świąt narodowych głosiciel patriotycznych kazań. W 1976 r. uczestnik protestów przeciw zmianom w Konstytucji PRL, sygnatariusz listu środowisk opozycyjnych Gdańska i Lublina do marszałka Sejmu PRL. Od 1977 r. uczestnik ROPCiO, od czerwca 1978 r. (III Spotkanie Ogólnopolskie w Zalesiu Górnym k. Warszawy) w składzie tzw. Komisji Pięciu (wyjaśniającej finansowe zarzuty wobec Leszka Moczulskiego). Publicysta w niezależnych pismach: „Bratniaku”, „Opinii”, „Rzeczpospolitej”. Jesienią 1977 r., pod presją SB opuścił Gdańsk, do 1981 r. przebywał w Lublinie; 18 grudnia 1979 r. na zaproszenie Dariusza Kobzdeja i Bogdana Borsewiczca odprawił mszę św. pod bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina w 9. rocznicę Grudnia '70. 14 grudnia 1981 r. odprawił na prośbę strajkujących stoczniowców mszę św.

w sali BHP Stoczni Gdańskiej, w grudniu 1981 r. organizator i prowadzący rekollekcje adwentowe dla członków Solidarności w Gdańsku, 1982–1986 w Świętej Lipce i Piotrkowie Tryb.; 1986–1987 duszpasterz akademicki w Warszawie, następnie katecheta w Bydgoszczy. 1998–2003 katecheta w Szczecinie, od 2003 r. w Kaliszu. Od 1979 r. publikował w pismach niezależnych: „Drodze” i „Gazecie Polskiej”, od 1980 r. w „Przedmurzu”, w 1985 r. (pod ps. Bogdan Ślęzak) napisał broszurę *Polski wrzesień 1939* wydaną przez podziemne Wydawnictwo Polskie. Ukazały się też nagrania filmowe z udziałem autora. Odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (2007).

Profesor Michał Paziewski